

MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt IX.

za

WRZESIEŃ

1900.



TREŚĆ:

- I. Odwaga cywilna *L. Strassewica.*
- II. O zbójnikach i opryszkach *G. Smólski.*
- III. Poganin Van-Li.
- IV. Najśmielszy pomysł społeczny.
- V. Jak powstają miasta w Ameryce.
- VI. Nieprzyjaciele telegrafu *Z. N.*
- VII. Fakirowie indyjscy.
- VIII. Starość *G. Dołęcki.*
- IX. Z dziedziny politycznej *R.*
- X. Ze świata kobiecego *E. Żmijewska.*
- XI. Korsarz Triplex.
- XII. Rozmaitości.

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego i S-ki

Marszałkowska № 141.

St. ZŁOTNICKI
MAGAZYN BŁAWATNY

Krakowskie Przedmieście 64.



GŁÓWNY SKŁAD
Zakładów Zyrardowskich

w WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście № 55

Otrzymał na sezon jesienny

Letniego bielenia:

Płótna. Madapolamy.

Chustki.

Bieliznę stołową. Ręczniki i t. p.

Materiały wełniane puchowe. Flanele. Barchany. Wyroby pończosznicze. Chustki ciepłe. Płódy. Kołdry puchowe, pluszowe i watówane. Damska bielizna, bluzki, szlafroki, halki etc. Męska bielizna. Krawaty. Dywany. Portjery. Firanki. Materiały meblowe.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Jednocześnie polecamy nowo-otworzoną Filję
naszą

na Nowym Świecie Nr. 36.

WORKI. WAŃTUCHY DO WEŁNY I CHMIELU.

OPONY NIEPRZEMAKALNE.

Miesięcznik KURJERA POLSKIEGO

pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Tom III

r. 1900.



WARSZAWA

Druk M. Lewińskiego i S-ki, Marszałkowska 141.

1900.

с.ч. 2922/1900/9/10.

Дозволено Цензурою
Варшава 14 Сентября 1900 г.



K.472/56/9

S P I S R Z E C Z Y

zawartych w tomie III za r. 1900 „Miesięcznika Kurjera Polskiego“.

Strona.

Sprawy społeczne.

Odwaga cywilna. <i>Ludwika Straszewicza.</i>	385
Najśmielszy pomysł społeczny.	448
Jak powstają miasta w Ameryce	460

H i s t o r j a.

Cesarz niemiecki u grobu św. Wojciecha. <i>Józef Szujski.</i>	1
Niektóre legendy warszawskie w świetle krytyki i hist. <i>W. P.</i>	22
O b. Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk. <i>Wikto- ra Gomulickiego.</i>	193
Chiny i Chińczycy. <i>E. Plauchuta.</i>	220

Z dziedziny nauki.

Drzewa olbrzymy	88
Leczenie suchot. <i>L. Gr.</i>	253
Balon hr. Zeppelina	294
Powietrze skroplone	300
Starość. <i>Gustawa Dołęckiego.</i>	503

Krajoznawstwo.

Podróż Anglika po krajach zakazanych	99
O zbójnikach i opryszkach. <i>G. Smólskiego.</i>	397

Sprawy bieżące.

Niepotrzebna trwoga	71
Monarchowie włoscy	281

Z prasy rosyjskiej	315
Z dziedziny politycznej. <i>R.</i>	307, 513

Artykuły różne.

Maki azjatyckie	170
Pływające miasta	240
Nieprzyjaciele telegrafu. <i>Z. N.</i>	475
Fakirowie indyjscy	485

P o w i e ś c i.

W ojców ślady... <i>K. Laskowskiego</i>	131, 332
Dusieciele w Bengalu. <i>L. Boussenarda</i>	145
Korsarz Triplex	137, 529
Wielkanoc żydowska	49
Wobec wroga. <i>Z. Z.</i>	209
Poganin Wan Li	431

Ze świata kobiecego.

Mody rady i wskazówki ze wszystkich dziedzin życia domowego, przepisy praktyczne i t. d. (w każdym zeszyście).

Rozmaitości.

Naukowe, społeczne. Zadania, łamigłówki i t. d. (w każdym zeszyście)

Odważa cywilna.

Wielki pisarz starożytnej Grecji, Sofokles, powiedział: „Nieszczęściem królów jest, iż im to tylko mówią, co oni chcą słyszeć.“

Na niebezpieczeństwo takie, na takie nieszczęście narażone też bywają i narody. I one, jak monarchowie, mają swoich pochlebców, swoich dworaków. A dworak to człowiek, co nie stoi wewnętrzną siłą duszy swojej, nie włada nim miłość dobra publicznego,— na widoku ma korzyść osobistą i wywyższenie własne, a zdobywa je płaszczaniem się, okrzykiwaniem głupstwa za mądrość, marności za wielkość, a samolubstwa swego za poświęcenie i wierność. Całą mądrością dworaka—układne potakiwanie słabościom siły.

Naród, tak samo jak jednostka, wtedy tylko pomysłność zdobyć i zachować zdoła, jeśli prawdziwie widzi i trafnie sądzi, jeśli nie truże się złudzeniami, jeśli słusznie ocenia siebie i innych, przeszłość i terażniejszość, zasoby własne i zdolności.

Chłop powiada: „kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbierze.“ A brak rozumu objawia się przede-

wszystkiem w ciągłym zadowoleniu z siebie. Historia na licznych bardzo kartach stwierdza słuszność chłopskiego przysłowia: pierwszą cechą upadku jest zarozumiałość, samochwalstwo, pobłażliwość, a nieraz uwielbienie dla własnych wad i błędów.

Bez surowej krytyki nie ma mądrych zamiarów i nie ma czynów dzielnych. „Kogo Pan Bóg ukarać chce“, ten albo marnieje w bezczynności, albo się porywa na czyny, nieprzystosowane do sił.

Następstwem fałszu musi być błąd, a z błędów prędzej czy później przychodzą klęski.

To są prawdy oczywiste, niezawodne, jak noc po dniu — nic odwrócić nie zdoła ich ziszczenia; nikt ich nie zażegna, nikt nie wyminie.

Dlaczegoż więc jednostki i całe gromady ludzkie brodzą tak często w fałszu? Bo rodzaj człowieczy mdły jest i ułomny. Powodzenie go psuje, niedola w zapamiętanie wtrąca, grzech wabi urokiem nieprzeartym; chętnie wierzy człowiek we wszystko, co mu łąchce ambicję i miłość własną, a złudzeń przyjemnych badać nie lubi. Szczęśliwy, kto nie miewa chwil słabości, zawrotu głowy... upadku. Tacy szczęśliwcy należą do wielkich wyjątków, a może nie ma ich wcale na szarej, błotnej ziemi.

Ileż to razy, czytając w dziejach lub w powieści o upadku wielkich ludzi — upadku, który zawsze tu przychodzi wskutek rozzuchwalenia—z gniewem i żalem wołamy: czemuż ten człowiek nie miał przyjaciela, który by mu oczy na prawdę otworzył, który by go otrzeźwił i na drogę dobrą naprowadził. Wtedy widzimy wyraźnie, że przyjaciel, gotowy do mówienia rzeczy przykrych, do zdzierania złudzeń, wytykania

błędów jest wielkim skarbem, najczęściej jedyną deską ratunku. Ale niestety, kto wszedł na pochyłość upadku, ten już deski tej nie widzi, skarbu nie ceni—przyjaciela odtrąca.

Falsz umie zawsze przypodobać się smakowi ludzkiemu słodyczą, prawda najczęściej nie chce i nie może złagodzić swej goryczy.

„Słonie łapią w doły a ludzi w pochlebstwa”—mówi Szekspir,—tłumacząc wpływ mizernih przyjaciół Brutusa na wielkiego Cezara: pokonał wrogów, złamał bunty, nie ugiął się pod ciężarem nieszczęść, a spiskowcy pod nóż go zawiedli z łatwością, bo mówili mu o wielkości, sławili cnoty jego, wynosili potęgę.

Taką samą, ściśle taką samą rolę wobec jednostek i narodów, czasem rozmyślnie, czasem bezwiednie odgrywają dworacy, „mówiąc im to tylko, co oni chcą słyszeć“.

Gdzie pochlebcy, fałszerze opinii wpływ zdobyli, tam człowiek, dbający nie o korzyść własną, lecz o dobro powszechne, nieoszczędzający nałogów myśli i rozkosznych upodobań miłości własnej ogółu, nieprzyjemny jest i niepożądany; dworacy opinii sprowadzają nań naprzód szyderstwo powszechne, a potem posądzenie i potępienie. Głos krytyki zbawczej ginie bez pożytku dla terażniejszości.

* * *

Cnota, siła, które każą i pozwalają obywatelowi nie być dworakiem, lecz głośno myśleć swą w rzeczach publicznych objawiać, niebacząc na następstwa, niezrażając się przykrościami, stanowią *odwagę cywilną*.

Wszyscy wszędzie dobrze rozumieją, wiedzą cał-

kiem jasno, iż ta cnota jest koniecznym, może nawet głównym warunkiem powszechnej pomyślności.

Odwaga cywilna, poczytywana za cnotę, jest naprawdę tylko pierwszym, najprostszym obowiązkiem obywatelskim. Czyż nie jest obowiązkiem świętym do rady nad rzeczą publiczną przynosić myśl uczciwą, nie zaś przychodzić z wykrętem i bałamuctwem. Czyż to nie występek schlebianie panującym złudzeniom i błędom, zatruwanie opinii fałszem, aby zyskać poklask, aby korzystać wśród obalamuconych ze sławy gorącego patrijoty.

Człowiek i społeczeństwo, jeśli nie idą naprzód — cofają się. Dzieła rąk i głowy ludzkiej, skoro tylko przestają się doskonalić, muszą się psuć. A bez odwagi myśli, słowa, czynu, nie ma postępu w żadnej dziedzinie życia ludzkiego, ani w technice, ani w umiejętnościach, ani w stosunkach politycznych i społecznych.

Odwagę cywilną słusznie za cnotę poczytują, bo ona jest wśród najszcześniejszych, wśród największych narodów rzadkością. Odważny obywatel, nieukrywający przekonań swoich, niezgodnych z prądami opinii, jest często owym przyjacielem — skarbem, który od złego odciąga, na drogę dobrą popycha, ale którego za to właśnie odtrącają. Mówienie w rzeczach publicznych tego, co sumienie, co prawdziwy, szczerzy patrijotyzm mówić nakazuje, zazwyczaj pociąga za sobą dotkliwie przykrości.

Naród kocha myśli i dążenia, do których przywykł. Dostał je po przodkach, wiąza się z nimi wspomnienia drogie. Widzi w nich posłannictwo dziejowe, dziedzictwo święte, w którym przebywa tajemniczy gienjusz narodu. Krytycznie badać praktycznej war-

tości tego, co ma za dogmat, nie lubi i nie umie. Porzucenie, skażenie dziedzictwa poczytuje za zbrodnię odstępstwa. A tymczasem zmieniają się warunki, zmienia się życie, i usiłowania ludzkie do nich przystosowywać się muszą. Najmędrsi, najdzielniejsi przodkowie prawd wiecznych nie wynaleźli, a byli zawsze — jak wszyscy ludzie — ułomni. Nici dziejowej zrywać nie wolno, ale nie wolno też wstrzymywać jej biegu, bo się popłacze i pęknie — trzeba ją snuć coraz dalej i dalej, coraz doskonalszą, coraz piękniejszą.

W narodzie każdym najdalej widzą i najdalej myślą wybiegają jednostki wybrane. One najpierwsze do nowych prawd dochodzą. Czy milczeć mają, czy mają się zaprzeczyć posłannictwa dla przykrości? Biada społeczeństwu, wśród których mężom przodującym zabraknie odwagi cywilnej do wypowiedzenia swych myśli. Biada społeczeństwu, wśród których szersze kręgi rozumieją myśli przodowników, mądrość ich oceniają i uznają, a przez tchórzostwo przyznać się do tego nie zechcą.

Ogół słucha i waha się, gotów prawdę uznać, ale stare wierzenia urok dlań mają, nie chce, nie umie porzucić ich odrazu — wtedy występują dworacy, a schlebując starym nałogom i złudzeniom, popularność, karierę sobie kupują. Jeśli w narodzie zamało jest odwagi cywilnej, z walki wychodzi zwycięsko przewrotność i głupstwo, opinia publiczna staje się wrogiem dobra społecznego, naród kocha się w błędach własnych i nicości, idzie do upadku. Byle mydłek, który tylko żagiel interesu własnego podstawiać umie pod prąd zaślepienia opinii, posiada wtedy głos ważniejszy i szacunek większy od obywatela, którego myśli w bólach

zwątpienia i w pracy się rodzą, któremu miłość ogółu, miłość przeszłości i przyszłości daje siłę odwagi, każe mówić to, czego naród w tej chwili słuchać nie chce.

W każdym upadku dziejowym historycy, między przyczynami, odnajdują zawsze tchórzostwo obywateli, którzy widzieli, przeczuwali nieszczęście, ale nie śmieli dosyć stanowczo wystąpić do walki z uniesieniem zbłąkanej opinii. Pierwsza oznaka, a może i przyczyna rozkładu politycznego Rzymu tkwi w tem, że, zamiast dawnych odważnych synów Republiki, zasiedli w senacie pochlebcy, pokorni wobec każdej siły, wobec każdego powodzenia, wobec każdego ulubieńca ludu lub wojska.

Najprzenikliwszy ze znawców naszej przeszłości, J. Szujski, pierwszą przyczynę upadku Rzeczypospolitej widzi w bezrządzie, drugą w zaniku odwagi cywilnej. „Przez dwa wieki kilka zaledwie głosów odezwało się przeciwko *liberum veto*, przez dwa wieki zaledwie jeden szlachcic, miecznik Jabłonowski, który wystąpił przeciwko niemu, śmiercią z *aprehensji* przypłacił, tak szarpanym był i prześladowanym. A nie było to skutkiem nieświadomości, że *liberum veto* jest zgubne.“

„Rzeczpospolita stała już otworem, niby ogród rozgrodzony, była już karczmą na rozstajnych drogach, a przedstawiciele narodu na sejmach pod niebiosą wyносили jej cnotę, potęgę, wielkość. Pisały się i drukowały panegiryki, fałszowała się historia!...“

Bez odwagi cywilnej nie ma zdrowia, nie ma siły. Odwaga cywilna jest wielką bardzo rzadkością. Jako

tak potrzebna rzadkość winna być wielce cenioną, pielęgnowaną, wielbioną—tymczasem dzieje się wprost przeciwnie, większość ludzi nie rozumie jej i nie szacuje wcale.

Wszystkie narody, ile ich jest, dzikie i cywilizowane, chętną się męstwem zwierzęcem; gdy chodzi o mordowanie bliźnich na polach walki krwawej, każdy ma się za bitniejszy od innych. A nie znajdziecie nacji tak samochwalczej, która by umiała i mogła poszczycić się dostatecznym zapasem odwagi obywatelskiej. Przeciwnie, wszędzie słyszeć się dają skargi na wielki, dokuczliwy jej brak. Ktokolwiek gdziekolwiek wystąpi do walki z przesądami w imię nowej zbawczej myśli, celem wytknięcia społeczeństwu doskonalszych dróg życia i pracy, natrafia odrazu, jako na przeszkodę najpierwszą, najgorszą i najwstrętniejszą, na tchórzostwo cywilne. Niebrak nigdzie ludzi rozumnych, uczciwych, dobrej woli, którzy zrozumieją intencję nowatora, ocenią ją należycie, prywatnie, pocichu pochwalą, potrafią wiele słów uznania gorącego nagadać, ale do głośnego odezwania się, do publicznego działania, nikt i nic ich nakłonić niezdolą — drżą przed opinią, niewiedzą, co powie, boją się posądzeń i potępień, boją narazić swej reputacji dla dobra ogólnego. Nareszcie znalazł się wyjątek, powstał człowiek, nieoszukujący narodu własnego, mówiący tożsamo głośno, co pocichu, będący w zgodzie z sumieniem własnym. Sądzicie pewnie, że go współobywatele na ręce pochwycają z radości i uznania, że go otoczą szacunkiem i zaufaniem — nie, poić go będą goryczą, blizcy znajomi na ulicy omijać go zaczną, aby na nich nie padł kawał błota, rzuconego na wyklętego.

Stanowczo nie ma ani jednej cnoty publicznej, którą by tak lekceważono, tak poniewierano!

U nas się dzieje gorzej niż gdziekolwiek. Nigdzie z pewnością nie spotkamy podobnej zawziętości przeciwko odwadze cywilnej, jak u nas. Zdawać się może nieraz, iż ludziom napozór rozumnym, i zacnym, i obywatelom uczuć gorących chodzi o wytępienie doszczętne tej najpierwszej cnoty publicznej, tego tak ważnego czynnika pomyślności politycznej i społecznej. Ileż to razy słyseć się zdarza, iż przyjaciel przyjaciela od aktów odwagi cywilnej, jak od czegoś złego odwodzi. I to nie rzadkość, iż jakiś mąż godny, używający szacunku powszechnego, chelpi się głośno z grzesznej oględności przy wypowiedaniu zdania o sprawach publicznych; tchórzostwo obywatelskie, kłamanie sumieniu własnemu ogłasza jako objaw i zasadę mądrości życiowej, jako przykład godny naśladowania.

I przyznać trzeba, że chociaż bojaźni ani pochwalić ani usprawiedliwić niepodobna, to można ją zrozumieć. W jednej gubernji na wyborach do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego darzono zaufaniem i powoływano na urzędy ludzi znanych powszechnie z niepamięci o obowiązkach, byle tylko dotknąć, byle upokorzyć ominięciem, niewybraniem na radcę sąsiadów, którzy okazali kiedyś odwagę cywilną i bronili głośno, zgodnie z przekonaniem, opinii politycznych nie popularnych w danej sferze i w danej okolicy. Tak było! Satysfakcji osobistej, prywatnej, partyjnej narobiła sobie większość do woli, ale jaki był z tego pożytek ogólny?

Tchórzostwo obywatelskie toczy i plami nietylko szarą masę ludzi pospoliczych. Znaleźć je można tam,

gdzie się go nie spodziewało wcale, u mężów najwybitniejszych, u niewątpliwie gorących patriotów—tak zło wrosło w pojęcia, w obyczaj społeczności naszej.

Oto przykład w pismach Walerjana Kalinki, człowieka niezmiernie zasłużonego, znanego z gorliwości w pracy społecznej, znajdujemy ustęp następujący:

„Historja, pisze jeden z największych naszych uczonych, ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący jej słuchać bez urazy.“

Kalinka nie powiedział, kto ten uczony, a zdanie jego przytoczył z zupełnem uznaniem. Tymczasem roztrząśnijmy treść tej myśli i odsłońmy sens prawdziwy. Uczony ów miał do powiedzenia społeczeństwu jakieś prawdy gorzkie, chciał wytknąć wady i błędy, chciał obalić ukochane a mylne dogmaty, naprowadzić ogół na drogę ratunku, a jednocześnie nie rad był narażać się opinji, więc mówił przez usta umarłych; nauki, prawdy owijał w porównanie historyczne, byle nie urazić żyjących. Tak robił nie on jeden, tak robi ciągle wielu. Następstwem zaś jest szkoda podwójna. Naprzód psuje się historja, która jako nauka winna być jedynie poszukiwaniem prawdy, bez względu na wszelkie następstwa praktyczne; gdy zaś się na nią włoży zadanie uboczne, gdy jej się każe przez porównanie (z konieczności zawsze trochę lub bardzo naciągnięte) uczyć współczesnych mądrości politycznej, wynaturza się ona, przestaje być nauką, staje się narzędziem propagandy. Powtóre, posługiwanie się porównaniami historycznemi, uczenie żywych (bez urazy) ustami umarłych zawsze jest ryzykowne i niebezpieczne: znajdują się i tacy, co intencję autora dobrze po-

chwycą, ale większość jej nie zrozumie, a nawet pojmie opacznie.

Nie! Mówienie prawdy nie jest i nie powinno być „*przywilejem umarłych*“, ono stanowi święty obowiązek żyjących. A choć się rzesze obrażą, choć prawdę skopią i oplują, choć mówiącego sponiewierają i spotwarzają, prawda nie umrze, powstanie ona z pod błota głupstw i przewrotności, niby słońce zejdzie i zaśnieje, a zbawczem światłem, a zbawczem ciepłem opromieni syny nasze i wnuki. Wielki umysł, wielkie serce żyją zawsze troską o przyszłość, jej ukochaniem.

Zły obyczaj jak zły chwast pleni się bujnie: przeskakuje z zagonu na zagon, z niwy dostaje się na niwę, zboże głuży, drzewa oplata i wyniszcza. Brak odwagi cywilnej niby kalectwo obezładnia nas w życiu publicznem, a zatrzuwa też stosunki towarzyskie.

Przypatrzmy się tylko. Opinia sąsiedzka setki zarzutów robi pp. X, Y, Z..., rzuca na nich dziesiątki oskarżeń. Wszyscy są oskarżycielami i wszyscy oskarżonymi. Jednocześnie oskarżyciele i oskarżeni spotykają się, uśmiechają, całują,—ach, więcej: zapewniają się wzajemnie o przyjaźni, a nawet dają dowody i przyjaźni i zaufania. Bo oskarżenia wszelkie robią się pocichu, każdy je powtarza, nikt nie sprawdza, nikt nie chce, nikt nie śmie wypowiedzieć ich oskarżonemu w oczy, postawić dowody, żądać tłumaczenia; każdy spiesznie powtarza opowieści krzywdzące, a nikt w nie naprawdę nie wierzy. Skutki tego są do przewidzenia łatwe i zresztą wybornie wszystkim znane.

Potwarz szarpie dobrą sławę ludzi uczciwych — nie mogą się bronić, nie mogą potwarców do odpowiedzialności ciągnąć, bo szept do uszu spotwarzanych nie dochodzą, każdy zadawalnia się tem, że coś złego o bliźnim usłyszy i innym do ucha powtórzy. Ludzie nieuczciwi nie ponoszą kary, bo są narówni ze wszystkimi omawiani poza oczy; mogą być pewni, że im nikt odważnie ręki nie cofnie, prawdy w twarz głośno nie rzuci, do tłumaczenia nie wezwie. Opinja ciągle się denerwuje, burzy, rzuca, a zawsze jest bezsilna, bo nikt jej nie ufa, każdy wie dobrze, iż masa w niej krąży plotek, przesady, przekręceń a nawet prostych kłamstw. Zresztą, gdzie jednostki nie mają odwagi i żyją ciągłą obawą opinji, tam i ogół z tych jednostek złożony lękliwy jest, a opinja ze swej strony tchórzy wobec energiczniejszych, silniejszych jednostek.

Ludzie, mówiący bliźnim swoim w oczy toż samo co po za oczy, są taką wśród nas osobliwością, iż mają nawet nazwę własną: mieniają ich *weredykami*; ogół patrzy na nich, jak na dziwaków, i unika ich jako ludzi nieprzyjemnych i niebezpiecznych.

Podstawowe zasady stosunków towarzyskich są wśród nas nieznanne lub zapomniane. Niewolno wierzyć zarzutom i oskarżeniom niedowiedzionym, tembardziej niewolno ich powtarzać, niewolno potępiać człowieka, niewysłuchawszy go naprzód. Rozumiem, iż życie nie idzie nigdy prostą drogą, że z konieczności musi zbaczać na ścieżki, wić się, a nawet czasem przełazić i podłazić, ale jednocześnie jakieś zasady stać powinny na pamięci jako obowiązujące, i ludzie, lepsi przynajmniej, dążyć muszą do ich przestrzega-

nia, inaczej i stosunki zmarnieją i ludzie się popuszą.

Należy zaczynać reformę od rzeczy bliższych i łatwiejszych. Usiłowanie dojścia do prawych, szlacheckich stosunków z ludźmi w życiu towarzyskiem, do postawienia zasady po nad osobiste dogodności i przyjemności, podniosło by wogóle naszą wartość społeczną. Lojalność w stosunkach prywatnych uzdolniła by nas do cnót obywatelskich, wprawiła by do odważnego spełniania obowiązków względem ogółu.

Ludwik Straszewicz.

O zbójnikach i opryszkach

na Podhalu, w Tatrach, Beskidach śląsko - morawskich i Karpatach czarnohorskich.

Dobosz i Janosik — oto dwaj główni bohaterowie zbójnictwa gór naszych, których pamięć, sławiona pieśnią i podaniem, żyje pomiędzy ludem od Czernahory przez całe pasmo Karpat i Tatr, docierając aż do Beskidów śląskich na granicy Morawcy, gdzie znówu lud polski i czeski przechowuje podanie o innych junakach zbójnickich: Juraszu i Ondraszku, wstawionych dziejami Łysej Góry. Junak—zbójnik, czy on się zowie Dobosz, Janosik, Jurasz, Ondrasz, Proczpak lub Kruaynhop, którego pamięć przechowwała się w podaniu aż z XI wieku, jest w wyobraźni ludu jednakim bohaterem, typową postacią, wyposażoną wielkiem mężstwem, walecznością, siłą, krewkością ciała, pięknnością urody, zdolnością wykonywania olbrzymich skoków „z bucka na jedliczkę”, a posiadającą rzadkie przynioty ducha i duszy: szlachetność, wspaniałomyślność, dobroczynność, a nawet rzadką bogobożność. Rozbójnikiem, który z chciwości zabija i kradnie, brzydzi się lud górski jako zbrodniarzem; zbójnika, mszczącego krzywdy, biorącego bogatym, a dającego ubogim, dobroczynnego, opiekuna biednych wielbi ten lud, a to zarówno lud huculski w okolicy Czernahory pokuckiej, jak rusińscy mieszkańcy średniego pasma Karpat: leńki, połoninicy, bójki i tucholcy — polscy podhalanie i górale bieskidowi z okolic Rabki, śląscy i morawscy górale, a tak samo po węgierskiej stronie gór lud ruski, polski i słowacki.

Prastare zbójnictwo karpacko - tatrzańskie jest wynikiem pierwotnych stosunków, w jakich pasterska ludność gór żyła. Można powiedzieć, że w zbójnictwie objawia się pewien ogólnoludzki popęd pierwotnych, zawiązujących się społeczeństw, powtarzający się, jak widzimy z dziejów, niemal wszędzie, i stanowiący poniekąd węgielny kamień zawiązków państwowych, które wzrosły w wielkie potęgi, rozkwi-

tając zarazem wysoką kulturą, cywilizacją i oświatą. Budujące nowe państwa drużyny normańskie i towarzystwa skandynawskie, o których Szajnocha pisze w „Lechickim Początku Polski,“ nie były też niczem innym, jak drużynami zbójcejkami. Rozbój zamieniał się w podbój, napad zbójcecki rozwinął się w wojnę. Z podbojów powstały państwa. Początki dziejów europejskich gubią się w zbójnictwie na morzu i na lądzie.

Nie wszędzie atoli rozwijał się jednakowo popęd ludzkiej natury do rozboju. Zależało to od bardzo wielu warunków. Rozwój ten, a właściwie przeobrażenie, szło ściśle z rozwojem cywilizacyjnym danych społeczeństw. Cóż więc dziwnego, że w niedostępnych górach, odciętych prawie od świata, do których przez ciemne dziewicze bory, przez wertypy i przepaście światło kultury z trudnością i bardzo powoli przedzierać się mogło—pierwotny ustrój zbójniczy z prastarych czasów utrzymał się znacznie dłużej, aniżeli n. p. na wybrzeżach Bałtyku, w Prusach i Niemczech, gdzie obecnie kwitnie cywilizacja. Przetrwał on tu wieki, podobnie jak prastary obyczaj i archaizmy gwary u ludu. Na półwyspie bałkańskim pełno jeszcze zbójników w górach rodopskich, ożywionych myślą narodową. Lud macedoński widzi w nich bohaterów swoich, a słynny swojego czasu w Bułgarii major Panica był pierwotnie watażką zbójników macedońskich. Nawet etymologicznie bliski jest słowiański *witez*, rycerz, *watażowi*, *watażce*, co utwierdza pojęcie zbójnictwa u ludu, jako obrony przeciwko krzywdom, czynionym przez możnych słabym, przez bogatych biednym.

Dziejowym zbójnikiem jest wspomniany powyżej Krudynhop, sięgający wieku XI-go. Lud w okolicy Magury, leżącej u podnóża Tatr, przechowuje o nim następujące podanie, znajdujące się w „Sądceczynie“ Szczęsnego Morawskiego: Zamagurze, między górnym Dunajcem a Popradem w XI wieku było jednym wielkim borem, ulubioną siedzibą zbójców i dzikiego zwierza. W miejscu, gdzie dziś kościółek św. Anny pod Podoleńcem, przesiadywał groźny zbójca Krudynhop. Rozbijał podróżnych, odzierając ich z mienia, zabijał wszystkich, którzy mu weszli w drogę, lipową swoją maczugą. Że zaś w tem miejscu Poprad przerzyna Magurę i wzdłuż jego koryta jedyna droga, nie można więc było ominąć Krudynhopa zasadzki, a podróżni, zbliżając się do tej okolicy, gotowali się na śmierć. Był on postrachem całego pogranicza. Ogromna jego maczuga cała pokryta była grubą warstwą zaschłej krwi ludzkiej. Ostatnią jego ofiarą był biedny pielgrzym, wracający wrzekomo od rzeki Pregły, kędy odby-

wał pątnictwo do pierwotnego grobu św. Wojciecha. Pielgrzym konając przeklął zbrojcę, który, obrawszy go z mienia, wrócił do swej siedziby ulubionej i położywszy się w cieniu olbrzymiej jodły, usnął. Miał straszne sny o potworach, unoszących go w powietrzu, widział we śnie, jak poczwary wrzucili go w wrzącą bezden piekła, która rozwarła się z strasznym hukiem. W tem budzi się, nie wiedząc sam, co się z nim dzieje. Wysoka jodła, pod którą spał, wali się z ogromnym łoskotem. Piorun w nią uderzył. Wściekła burza miotła borem. Poprad wezbrany huczy i pieni się. Zdało się, że nastał istny dzień sądny, że potwory, które widział we śnie, nadlecą chyłkiem, by go porwać w szpony i oddać piekła otchłani. Przerażony zrywa się i ucieka. Dusze zabitych przez niego ludzi pędzą za nim. Widzi je: lecą nad nim z obłokami, ponad wierzchołkami drzew, kołyszają się, jęcząc boleśnie, a konając charczą przerażająco. Pioruny wala jeden po drugim, czarne chmury na niebie zioną wciąż ogniem, jak gdyby straszliwy objął je pożar. Wtem spotyka mnicha, dążącego pod górę. Budzi się w nim zbrojecka wściekłość, i już zamierza się na niego ogromną maczugą. Wtem staruszek—mnich spoziera na niego tak łagodnie i litościwie, że zbrojca opuszcza ręce. Poznaje, że tego samego mnicha widział we śnie, jak go chciał wydrzeć z paszczy potwora. Zdjęty trwogą skruchy pada przed nim na kolana, wołając: „ojcze, przebacz mi, ojcze, rozgrzesz mnie!“ Staruszek był łaskaw, podał mu rękę i wlał słowa pociechy w serce jego, żalnością szczerą przejęte, pobłogosławił go i puścił się dalej w drogę.

Krudynhop powiesił maczugę swą na drzewie i patrząc na nią płakał rzewnie, żalując swych złych uczynków. Rozpływając się w żalu i rozpacz, wątpił jako straszny grzesznik w miłosierdzie Boga. Wtem spostrzega, iż z zawieszonej na drzewie maczugi ściekła kropelka krwi, a rozszerzając przemiłą woń ulatuje jasnym obłoczkiem ku niebu. Wziął to za znak łaski Boskiej. W mogiłę, gdzie grzebał swoje ofiary, włożył maczugę i rzekł: Przyjmiesz się i wyrośniesz w drzewo, to Bóg wysłuchał mego żalu i skruchy mej! Klęcząc zlewał ją łzami, a także i wodą, nosząc ją konewczką na klęczkach z Popradu. Maczuga zazieleniła się i puściła konary ponad grobem ofiar zbrojnika. Nabrał otuchy. Zwołał murarzy i zbudował kościółek wedle tej lipy nad mogiłą, konewczkę, w której nosił wodę, podlewając maczugę, napełniał codziennie pieniądźmi bez liczenia i płacił robotników, dopóki kościółek nie stanął gotowy. W obok wystawionej chatce zamieszkał sam, modląc

się wciąż w kościele i żalując szczerze popełnionych grzechów. Dla podróźnych stał się opiekunem i dobroczyńcą. W kilka lat zjawił się ów mnich, który go naprowadził na dobrą drogę, znowu w owej okolicy. Oglądał z zdziwieniem kościół, a z radością pokutującego zbójcę. Odprawił nabożeństwo, wyspowiadał go, rozgrzeszył i zaopatrzył sakramentami. Skruszony i z Bogiem pojednany zbójca, chcąc wychylić kielich pokuty do ostatka, oddał się sam w ręce sprawiedliwości, prosząc, by go zwierzchność świecka ukarała, jak sobie zasłużył. Wymierzono mu karę, ścinając mu mieczem głowę u stóp lipy, na mogile wyrosłej z zakrwawionej maczugi. Nagle głowa potoczyła się z pagórka, a gdy się zatrzymała, widziano, jak z obu źrenic trysnęły łzy czyste. Głowa zapadła się potem w ziemię, a z tego miejsca trysnęło czyste źródelko. Lud z bliska i z daleka przychodzi doznawać mocy jego uzdrawiającej, osobiwie w chorobach oczu.

Morawski pisze, że lipa dotąd (1863) istnieje obok kościoła, a „w jej cieniu siedząc rok w rok lud pobożny opowiada o Krudynhopie i modli się za duszę jego i ofiar, które pogubił“. W zakrystji kościołka znajduje się malowidło, wyobrażające go, jak klęcząc, z koneweczki podlewa lipę. Obok leżą trzy kostki do gry, a trzy miecze skrzyżowane tkwią w ziemi. Nad tem wypisany rok: 1012. Na ratuszu w Podoleńcu pokazują potężną czarną maczugę, która miała należeć do niego, a także i jego miecz prosty, oprawny w jaszczur, na którym wryta korona z jabłkiem i krzyżykiem.

Podanie ludowe o tym „dziejowym“ zbójniku z początku XI, wieku związane z historją mnichów Swinorada i Benedykta, przybyłych do Polski, a zamieszkałych nad brzegiem Dunajca, przy schyłku X wieku, o czem w kronikarzach znajdują się wyraźne wzmianki—różni się od podań o innych, późniejszych, poniekąd jeszcze w pamięci ludu świeżo tkwiących, zbójnikach. Krudynhop niema w sobie nic z ludowego bohaterstwa i jest więcej rozbójnikiem, jak zbójnikiem. Nazwisko jego brzmi również nieswojsko, a podanie o nim dodaje, że miał być człowiekiem wojennym, który popełniwszy jakąś zbrodnię, udał się potem w lasy na zbój. Ten Krudynhop wygląda trochę na zbląkanego w górską pustynię *raubrittera*. Wspomniany mnich Swinorad, w węgierskich kronikach zwany Gerhardem, miał także pochodzić z nad Renu, był u węgierskiego króla Stefana nauczycielem jego syna Emerycha, a później biskupem w Czaudzie, między Cisą a Dunajem. Z uwagi, że za pierwszych królów — Pia-

stów w Polsce wszyscy wyżsi dostojnicy kościelni (i wogóle duchowieństwo, o ile ono nie pochodziło z Czech), byli Niemcy lub Włosi, nie ulega wątpliwości, że obydwaj wspomniani mnisi także z Niemiec pochodzili, zatem droga dolinami Dunajca i Popradu była dla Niemców wówczas już znana i uprzystępnioną, łatwo więc mógł jawić się w tamtejszej okolicy także błędny niemiecki *raubritter*.

W Beskidach zachodniego pasma Karpat, mianowicie w okolicach Żywca, żyje w pamięci ludu „sławny zbójnik“ Proczpak albo Proćpak, który miał być rodem z „węgierskiej strony“. Podanie o nim odpowiada zupełnie pojęciu ludowemu o swojskich zbójnikach - bohaterach. Wspierał on biednych kosztem bogatych, brał w obronę zbiegów przed poborem wojskowym lub z służby prywatnej, albo z więzienia. Wydawał surowe wyroki, nakazujące panom wypłatę płac zbiegłym sługom, lub wypuszczenie na wolność więzionych w areszcie dominikalnym winowajców. Na szpiegów ogłosił był sąd doraźny, każąc ich wieszać dla przykładu i postrachu na rozstajnych drogach. Dla niewiast miał czułe serce, jako istny błędny rycerz, jeśli mamy dać wiarę opowieści ludowej, opiewającej: Był sobie jeden hrabia, który miał dwie córki, a z tych jedna prześlicznej urody. Ujrzał ją raz Proczpak ukryty w tłumie ludu, ubrany w odzież góralską. Odtąd, by ją ujrzeć z bliska i móżdż mówić z nią, przebierał się to za żebraka, to za „węgra“ (pod tą nazwą znani są w Galicji domokrażni kupcy — Słowacy z Węgier, chodzący od wsi do wsi z ogromnymi pudłami na plecach, z towarami bławatnemi). Przesyłał do dworu ubitą zwierzynę i łapanę w sidła kwiczołę, jarząbki i inne ptactwo. Raz wyprawiał hrabia bal u siebie. Dużo przybyło do niego państwa. Zagrała rażno muzyka i państwo puścili się ochoczo w pląsy. Gdy państwo tańczą sobie wesoło, otwierają się nagle drzwi i wchodzi do izby pańskiej wysoki i barczysty mężczyzna w kwiecie wieku. Lica miał ogorzałe, a czarny włos spadał mu na ramiona. Ubrany był z węgierska, a za pasem szerokim sterczał rząd pistoletów. Kabat z pętlcami błyskał srebrem, a na piersi wisiał szczerozłoty łańcuch z złotym krzyżem. Pokłonił się państwu pięknie, rzekłszy: Niech będzie pochwalony! Państwo pobladli ze strachu, ujrawszy go, bo to wtedy cała okolica drżała przed nim. Co wieczór na wierzchach gór rozpalano łuczycywa i nawoływano ludzi po wsiach do obrony, zbierając ich w kosy i siekiery, a przelęknione kobiety kryły się po chruściach i przekopach. Bydła nie zapędzano jak zwykle na szalase, żaden też z ludzi nie ważył się paść bydełko, ani

wowce w pobliżu lasów. Zbójnicy proczpakowi napadali na wsie i chociaż się im opierano, zabierali dobytek z obór. Nawiedzali dwory i plebanje, a najczęściej trafil żydów. W każdej wsi mieli swoich, którzy o wszystkim im znać dawali, przestrzegając ich. Przebywali wciąż w lasach w największych gęstwinach, gdzie mieli wykopane jamy podziemne z małym otworem, żeby tylko jeden człowiek mógł się przezeń dostać. Wejście do jamy bywało zakryte świeżo wetkniętymi, gęsto obrosłymi gałęziami świerka tak, iż nieraz „smolacy“ (wojskowa obława) przechodzili *podle*, nie postzegając śladu zbójników. Nie dziw, że państwo tak się przelękło. Proczpak pokłonił się pięknie raz jeszcze, a potem podszedł do hrabiny, a ucałowawszy rąbek jej szaty, odezwał się do niej po słowacku:

„Poníženie pytam na stokrat jeich milost oswiecena grafka, nechaj se ne raczi horszit starsza sleczenka, a nech daje pohajdukowat z jeich oswiecenu djewku. Ja sem ne chlop, ja sem uherski zeman“.

Potem przystąpił do starszej córki państwa i zaprosił ją do płasów. Panna trzęsa się z trwogi, jak osika, ale nie śmiała odmówić. Poszła z nim do tańca. Gdy się porządnie wyhulał, kazał dać sobie wina, wychylając trzykrotnie kielich za zdrowie panny, którą sobie tak upodobał, potem zdjął z siebie ciężki szczerozłoty łańcuch z krzyżem i zawiesił go pannie na szyi, prosząc, żeby przyjęła od niego podarunek. Państwo i panna nie chcieli daru przyjąć, ale jak zaczął im dogadywać, że ten łańcuch to znak dla zbójników, żeby im włos nigdy nie spadł z głowy, to i w końcu przyjęli, a on tylko przycisnął pannę do serca i pocałował ją ogniście raz i jeszcze raz i jeszcze raz, a potem, jak przyszedł, znikł bez śladu. W Kamesznicy miał prawdziwą kochankę. Tam był dom z podwójnym dachem, gdzie była kryjówka między dwoma dachami i tu zbójnicy przechowywali swoje łupy. Proczpak był bardzo miękkiego serca dla niewiast i miał insze jeszcze kochanki, to ta z Kamesznicy była bardzo zazdrosna i raz poprzysięgła sobie, że się zemści na nim. Była nagroda wyznaczona na jego głowę. Wydała jego schronisko, złapano go i powieszono na szubienicy.

O tym samym bohaterze śpiewają górale beskidowi:

„Niema nad Procypaka
Teżsego chłopaka
 On *kieby* pon jaki
 Mo *kobot* złocisty,

*Czerwone chodaki,
 Pas rzemienny cysty;
 Za pasem toporek
 I dukatów worek.
 Nie dbó na *dicoroka*,
 Ani na *wojoka*.
 Choć *trefi* na zucha,
 Zginie *kieby* mucha.
 Choć tysiąc gorali.
 On się im wysliznie.
 Jak toporkiem *piśnie*.
 Z *ruśnicy* wypali,
Uciekój kto *może*,
 Bo *zginiesz* *nieboże*.*

Inna o nim pieśń ludowa opiewa:

Warujcie krów gazdowie,
 Strzeżcie statku bacowie,
 Bo się Proćpak nie leni,
Kiej się mu kce pieceni.
 Hej Proćpaku, Proćpaku,
Bedzies ty kiejś na haku;
 Jak cię złapią, *powiesą*,
 Gorale się *pociesą*.

I *złapili* cię *brachu*,
 U frajerki na dachu;
 Wywiedli na drabinę,
Założyli ci linę,
 I *zrucili* ze *scebli*,
 I *wzieni* cię *hnet* *djebli*.

Podania o zbójnikach stały się mianowicie w uściech górali tatrzańskich prawdziwą poezją ludową, którą się już zachwycał autor „Sobótki“. O jednej z góralskich pieśni zbójnickich, która rzeczywiście jest zachwycającą i z pewnością mało ma sobie równych w piśmiennictwie ludowem całego świata, pisze on: „Niemowlęca prostotą, rozzdzierającą głębokiem czuciem, okropna całą osnową, nie przedstawia mi żadnego braku, żadnej skazy: jest wykończona w każdym szczególe, równie jak w całości z tą sztuką, której tajemnicę tylko lud posiada w swoim czuciu otwartem, w swoim umyśle prostym, dla tego jasnym, do której zdolny jest tylko język ludu, pokorny, niestrojny, ale zwięzły, mianujący

wszystko właściwem imieniem. Jest to jedna z tych pieśni, które za wzór brać powinniśmy i dobrze się ich uczyć, kiedy chœemy wprowadzić prawdę i w duchu i w formie do naszej poezji“.

Sądzę, że po takim poleceniu ze strony poety tej miary, co Seweryn Goszczyński, warto jej posłuchać, chociaż nadto znajduje się w zbiorze pieśni Zejsznera:

Handziu moja, pudź do domu,
Wydam ja cię niewiem komu;
Wydam ja cię Janickowi,
Hej walnemu zbójnickowi.

Janku, Janku, tęgiś zbójnik,
Wies po wirchach kazdy chodnik,
We dnie idzies, w nocy wrócisz,
A mnie biedną tylko smucisz.

Mas kosulkę uznujoną,
A sablicku zakrwawioną.
Janku, Janku, kędyś bawił,
Coś se sablicku zakrwawił?

Wyrubałem tu jedlicku,
Co stojąca w okienecku,
We dnie w nocy hurkotała,
Mnie smutnemu spać nie dała.

Psyniół—ci jej chusty prać,
A nie dał ich rozwijać.
Ona prała, rozwijała,
Prawu rucku nadybała;

W tej rucecce pięć palusków,
A na małym złoty pierścień,
W tym pierścionku troje wrótka:
„Dyć to mego brata rucka!“

Nie długo się obawiała,
Do matusi odesłała:
„Matko moja psemilena,
Cy mam bratów syćkich doma?“

— „Córaś moja! nie z jednego,
Z tychto siedmiu najmłodszego“.

Skoro wysedł rok, półtora,
Nagodził jej Pan Bóg syna.

„Lulaj buba, synu mój!
Nie bądź tak, jak ojciec twój.
Na kąski bym cię siekała,
Orłom, krukom rozsypała“.

A on za smereckiem słysy,
I od złości cały dysy:
„Spiewaj Hańciu, jak śpiewała,
Kiedys syna powijała“.

— „Lulaj, buba, synu mój!
Byś był tak jak ojciec twój.
We winie—bym cię kąpała,
A w jedwabie powijała“.

— „Oblec, Hańciu, drogą satkę,
A pójdziemy na psechadzke“.
— „Dwa rocekim z tobą zyła,
Na psechadzki nie chodziła“.

A wziął—ci ją za rucycku,
I zawiódł ją ku gaicku,
Oćka carne jej wydłubał,
Rącki białe jej odrubał.
Rozpłakał się syn jej młody,
Nie mógł ojcu on dać rady.
„Wstań—ze Hańciu psemilena,
Pudź, utul twojego syna“.
A sam posedł w skały, w lasy,
I niema go po te casy.

Do znaczenia Herkulesa podnosi lud tatrzański swego zbójnika-bohatera Janosika, widząc w nim wcielenie najpiękniejszych przymiotów rycerstwa, junaka, zbuntowanego przeciwko przemocy siły, a karzącego występki, przedstawiającego wolność i niezależność górali, dla którego zabójstwo jest wstrętnem, a którego on się dopuszcza tylko jako karzące ramię dla dobra ludu, lub z konieczności, w obronie własnego zagrożonego życia. Jest on wspaniałomyślny, szlachetny, silny, waleczny, chytry, zręczny, wierny towarzysz, sprawiedliwy, roztropny, przytem hulaka i bałamucący niewiasty, które są na jego zawołanie. Pieniądze zdobyte

na bogaczach rozdaje ubogim. Jest szybkonogi, a skacze jak konik polny, umiejąc „przeskakiwać buczki“. Buk zespolony u górali z pojęciem zbójnika. Mówią oni: „wyskoczyć za buczki“, albo „dzień dobry powiedzieć z za buczku“, zamiast: *pójść na zbój*. Zbójnicy tatrzańscy nosili właściwy sobie strój, czyli mundur: na głowie kołpak z rzemienia pleciony i ozdobiony zieloną gałązką, a czasami i dukatami, spodnie obciśnięte, kroju góralskiego, bogato haftowane. Naczelnik nosił czerwone, zwykli zbójnicy białe spodnie. Koszule mieli zielone z bardzo szerokimi rękawami, jak u juhasów, do spinania przy napadzie za pomocą pętelki i guzika, znajdujących się przy brzegu rękawa. Zamiast kierpci, nosili ciżemki. Mieli serdaki i czuhy, pod którymi znajdował się szeroki aż do pach sięgający pas skórzany z wieloma kieszonkami, za którym był arsenał pistoletów i nożów, te o ciśowych trzonkach. Prócz tej zbroi mieli ciupagi, strzelby, olbrzymie pałki i pałasze, jak świadczą pieśni zbójniczek przez lud śpiewane:

Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?
W Lewoczy na murze, na jedwabnym sznurze

i odmiana tego:

Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?
Na wysokiej korze zatknięty w jaworze.

Nieźródlny piewca Tatr i górali Stanisław Witkiewicz pisze: „Zbójnicy odznaczeni się zamięłowaniem w zbytku, w bogatej odzieży; oni to wprowadzili do życia dzikich pasterzy wykwińnięsze potrzeby i zamięłowanie piękna w domowym otoczeniu. Był czas, że wszelkie cyfrowania na spodniach, wszelkie sprzączki i ozdoby pasów i kapeluszy uważane były za oznaki zbójnictwa, i gazda, który nie chciał synów na zbój puścić, surowo zabraniał im tej elegancji w stroju. Według podania, serdaki wyszywane, w których dziś wszyscy chodzimy, pierwszy raz do Zakopanego sprowadził zbójnik Mateja dla swojej kochanki Kacki. Więc też kobiety przepadały za zbójnikami i w ich życiu miały często wielkie znaczenie—stanowiły o ich losie“. Do ostatniego dodać należy, że w podaniach ludowych zarówno Proćpak, jak Janosik i huculski Dowbosz giną przez zdradę kochanki.

Zbójnicy nawiedzali szałasę po halach. W kolebach baców zabierali serki i bryndzy, ale w zamian raczyli bacę z juhasami baraniną, którą gotowali po szałasach w owczem

mleku. Bacowie bywali nieraz radzi nawet tym odwiedzi-
nom. W karczmach, do których zbójnicy wstępowali, zabie-
rali od żydów „palenkę“ (wódkę) i „hubrykę“ (tytoń), śpiewa-
jąc arendarzowi:

„Daj *palenki* żydu, dobry chłopcy *idu*,
Jak nie dasz palenki, to cię trapić budą.

Leśnych, wrodzonych wrogów górali, lubieli brać na
kief. Gdy nocą napadli leśniczówkę, jeden rozbijał pałą
okno, drugi następnie wskakiwał szybko i zręcznie, jak kot
do wnętrza, i chwycił gospodarza domu za gardło, by tym-
czasem towarzysze mogli uprzątnąć pieniądze i wszystko, co
posiadało dla nich wartość jakąś. Niekiedy „rozbijali za-
mecki“, napadając dwory, gdzie zabierali nieraz sporo du-
katów, które zwyczajnie zakopywali po lasach, w miejscach
najmniej dostępnych. Podhalanie wciąż marzą o zakopanych
zbójnickich dukatach, szukając ich w ziemi. Zejszner przy-
tacza podanie, że tym sposobem wzbogaciła się rodzina Re-
linów, co potwierdza Wrześniowski, pisząc, że i on słyszał,
że ten lub ów gazda znalazł zbójcekie dukaty i wzbogacił się
nimi.

Zabójstwa rzadko kiedy zbójnicy spełniali. Działo się
to głównie dla własnej obrony, lub w razie silnego oporu ze
strony napadniętego. Rzadko jednak kto im się opierał.
Każdy bowiem był rad, jeśli tylko uszedł cało. Raz napadli
zbójnicy Szczawy Sławkowskie (Schmeks), letnią porą, pod-
czas wielkiego zjazdu gości i zajęli salę, co stwierdził Zej-
szner, gdzie właśnie wszyscy byli zgromadzeni, każąc od-
dawać „pieniążki“. Przerażeni goście spełnili rozkaz bez
wszelkiego oporu.

„Banda zbójcecka“ -- pisze St. Witkiewicz -- „nazywa się
towarzystwem albo familją -- jest rodzajem sprzysiężenia, rzą-
dzącego się pod dowództwem *harnasia* zasadami komunistycz-
nymi. Zdobycz całą uważa się za *pieniądze towarzyskie*, skarb
zaprzysiężony, zaklęty, którego, bez porozumienia się ze
wszystkimi, nie można bezkarnie ruszyć“.

Warto przeciwstawić temu, co pisze Karol Szajnocha
o skandynawskich „Związkach braterskich“. Oto: „W każ-
dym wypadku towarzyszła zawarcie związku przysięga uro-
czysta. Słubowano sobie przytem pewne warunki, czyli pra-
wa spółki dozgonnej, któremi były zwyczajnie: spółność nie-
bezpieczeństw i korzyści, czyli walki i łupów, *militiae i prae-
dae*, obowiązek pomszczenia śmierci swojej, nabożeństwo ża-
łobne i t. p. Na znak ceremonji kładli sobie przyjaciele po

kawałku zielonej darniny na głowę, upuszczali sobie krwi z ręki, pomazywali nią swoje oręże, albo usączaży jej do napoju w kielichu, który następnie wychylali wspólnie za swoje zdrowie. „Zaprzysiężmy sobie przyjaźń dozgonną”—mówią do siebie dwaj junacy w powieści skandynawskiej (Ihre I, 527, Dalin I, 71)—„zawiążmy ją pod następującemi prawami: jeden drugiemu niech będzie mścicielem śmierci, a co który bądź obecnie posiada, bądź w przyszłości posiadzie, to niech w równej części do obydwóch należy. Ten co przeżyje przyjaciela, wzniesie mu grobowiec czyli wysoką mogiłę i złoży w niej tyle skarbów, ile wymagać będzie zaszczyt pogrzebu“.

Czyta się to, jakby chodziło o zawiązywanie zbójnickich towarzystw; chociaż ceremonia, zewnętrzne oznaki przy tworzeniu związku były odmienne, główna treść jednak stowarzyszenia ta sama: wspólność niebezpieczeństwa i wspólność łupu pomiędzy sprzysiężonymi towarzystwa, którzy tworzą ściślejszy związek, aniżeli familja.

Niepokonany czar bił z tego swobodnego, pełnego niebezpieczeństw życia, zarówno dla skandynawców, jak dla górali tatrzańskich. Pobudzał on wszystkich chłopów, którzy niezadawalniali się jednostajnością życia na zagrodzie w spokojnej *dziędzinie* (wsi), do „skakania po buczkach“, do czynów mężstwa i waleczności, i zarazem strasznej śmierci na haku. Wieszano bowiem zbójników najczęściej za „pośrednie ziobro“, zostawiając ich na pastwę długiego kowania.

Sabała mawiał:

— Ale, na subienicy wisieć to za honorna rzecz! — Bo tam dziadów nie wiesajom, ino chłopca! Tam dziada nie wółajom, ino co najteższy chłop to musi wisieć.

W pieśni ludowej mówi „Jaśko z Brzeziawicki“ (Janosik), patrząc na szubienicę na orawskim zamku:

Oj kiebyh se wiedział, na którejbyh wisieć miał,
Od spodku do wirchu powybijać byh jom dał.
Ej od spodku talarkami, a do wirchu dukatami,
A na wirchu złota kawka, tam położu moju hlówku.

W życiu, podaniach i pieśniach ludu tatrzańskiego zamek orawski ciągle jest wspomniany. Zbójnicy tęsknią za jego kratami. Wyłamać je — najżywsze ich pragnienie.

Z orawskiego zamku chłopcy *pozierają*,
Cy się popod Tatry *bucki ozwijają*.

Janosik jest bohaterem Tatr zarówno galicyjskich, jak i węgierskich. Śławi go rozlicznymi pieśniami zarówno nasz lud podhalański, jak węgierscy słowacy ziemi orawskiej, liptawskiej, trenczyńskiej i na Spiżu.

Powieść ludowa o Janosiku, podług zebranego przez prof. Kopernickiego podania, taki ma początek:

Był student i szedł ze szkół na wakacje. Szedł przez wielki las i zaszła go noc. Poblądził w lesie, nie miał kórędy z lasu wyjść i nie wiedział, w którą stronę miał iść. Wyszedł na drzewo i patrzył, gdzie jest kraj lasu, i *uźrał* kraj lasu. A była niedaleko chałupka w tej stronie. Cisnął czapkę na ziemię w tą stronę i zaszedł do tej chałupki. A w tej chałupce była taka stara baba; widział ją oknem, bo się świeciło, i wlaźł do tej izdebki. Ta się go baba pyta:

— Po coś tu przyszedł?

— Prosiłbym o *nocnik* (nocleg).

— Jakże ja ciebie *nocowała* będę? — przyjdzie starsza siostra moja, to cię zabije zaraz; — bo to były czarno-księżnice.

Ale on odpowiedział:

— Niech się robi, co chce, ze mną, *nikaj* nie idę.

Tak go ta baba woła na wieczerzę; powieczerał z nią, i schowała go pod koryto za piec.

Przyleciała starsza siostra i powiada:

— Pfy, co tu tak śmierdzi?

— Wychodź Janosik!—Jużci on musiał wyjść.

— Pójdź do wieczerzy!—Tak wieczerzał z nią znowu.

Powiała mu:

— Jak przyjdzie trzecia siostra, jak chcesz to idź, bo ona cię zabije.

On powiedział:

— Nie idę *nikaj*.

Przyszła trzecia siostra i powiada:

— Czyja tu dusza śmierdzi?

— Wychodź Janosik!—I tak wyszedł.

— Jużci pójdę na wieczerzę. — Tak powieczerał, legł i potem spał.

Te zaczęły radzić: co mu zrobimy?—A nie spał, ino tak udawał, że śpi—słuchał, co gadały.

— Położmy mu węgiel ognia na pępku, a on cierpiał, wytrzymał, aż węgiel zgaś.

Tak one powiedziały:

— Będzie wytrzymały wszędy, trzeba mu dać mundur. Jedna powiada:

— Ja mu dam siekierkę.

Druga powiada:

— Ja dam mu koszulę.

Trzecia powiada:

— Ja mu dam pas.—Na tej ciupadze, jak się zniesie, trzy mile przeskoczysz, a w tej koszuli będzie miał okrutną siłę i w tym pasie.

Ta, co koszulę miała szyć, dopiero konopie siała o godzinie ósmej, a na rano koszula była z nich. Jak Janosik rano wstał, ten mundur mu dały. — Janosik stał się zbójnikiem.

Tak przyprowadza go podanie ludowe do zbójnictwa, przy którem są mu matkami chrzestnymi trzy wiedźmy — Makbetowe.

A postawiły mu warunek, że musi „zabójować“ własnego ojca, co on też spełnia, gdy ojciec idzie woły kupować. Ostrzegał przedtem ojca przed sobą. Ojciec niepoznał go wcale w lesie. Gdy wrócił do domu, zastał już Janosika, który wznosił się na ciupadze i „w tej godzinie był w chałupie, a ojciec aż na drugi dzień“. Dopiero, gdy się ubrał w mundur, poznał ojciec w synu zbójnika, który go napadł i zabrał mu pieniądze.

Ale Janosik oddaje je ojcu i mówi:

— Już nie będę księdzem, ino zbójnikiem. Bywajcie zdrowi!—I poleciał.

Miał pod sobą dwunastu zbójników; którego przyjmował *ku sobie*, każdy musiał sztukę pokazywać. Jeden podskoczył do jedlicy, wierzchołek uciął szablą, a drugi wirch jej z pistolca ustrzelił. Inny łamał drzewa *wyhrubsze*, czwarty najtwardszą *skatę* w garści rozkruszył; — dość na tem, że każdy swoją sztukę pokazywał, a Janosik sam jak skoczył, ręką wirch najwyższego *smreka* chwycił. Poszedł on na Orawę i mieszkał w Liptowie; tam zbójował, tam miał w lesie pomieszkanie. Dokazywał, co tylko ludowa wyobraźnia wymyślić zdołała.

„Pewnego razu cysarz i król wydali sobie wojny, co się miało dwóch rycerzy bić w pojedynku. Cysarz wzywa Janosika i posyła po niego cały szwadron huzarów, a dla niego konia. Ale on z ciupagą w ręku był o kilka dni tam prędzej, aniżeli cwałująca konnica. Chcieli go potem blachą skować na piersi i *piknego* mu dawali konia, lecz on nie chciał ani szabli, ino ze siekierką poszedł. Nieprzyjacielski rycerz był na koniu, skowany blachami okrutnie. Wzięli się za ręce najprzód, a potem chciał zaciąć Janosika szablą i *pistolcem* strzelić; a Janosik złapał konia za nogę, ino raz

o ziemię *cupnął*, nie została mu ino noga w garści. Cysarz chciał go *zająć* ze sobą, ale on nie chciał iść. Wzniósł się na siekierce i oparł się aż w Liptowie, gdzie tymczasem Liptacy zjednali sobie jego *frajerkę*, która go zdradziła. Liptacy *nasuli* (nasypali) grochu na *wirch* (strych) domu i czekali już, gdy Janosik przyszedł do *frajerki*. Ta zamknęła jego czarodziejską ciupagę za dziewięciorgiem drzwi, a Liptacy puścili na niego groch i tym sposobem *zmogli*, a potem powiesili“.

Homer tatrzański, Sabala taką odmienną opowiada legendę o tym bohaterze ludowym: O pasowaniu go zbójnikiem przez trzy „czarnoksiężnice“ nic nie wie. Natomiast robi z niego już w ósmym roku życia domorosłego Herkulesa, który wołem igra miast piłki. Z „*zabójowaniem*“ ojca miała się rzecz także inaczej. Ale posłuchajmy jego samego.

...Z młodości *ino* na piecu *lezał* i *wylegiwał* się na tym piecu i ciągle *ozmysłował*, co by zaś miał na świecie *konać*. Ale to silne było *chłopcyśko*; to zaś tam jakiegoś wołu chowali. Janosikowi było *ośm roków* i wołowi *ośm*, to go brał i nosił *przed sobom*. I *dobrze niebardzo*, *poseł* ociec na jarmark woły sprzedawać, a *temcasem* Janosik *se uradził* spróbować i *jakąśby* on miał siłę. *Ten ociec* woły sprzedał, idzie z jarmarku, a Janosik idzie *na proci* i *zastąpił go*, pieniądze odebrał i poleciał przed ojcem i na piecu *leg*.

Przyndzie ociec do domu:

— No sprzedaliście woły?

— Jużci *ociec* odpowiada, jak go zbój *zastąpił* i pieniądze *wzion*.

— I jakiż on był?—*Cy* był *tela*, co ja?

— I co ty *smarkacu* *stois* *proci* niego!

Skoro zaś tak *uzartował*, oddał mu *te* pieniądze i *poseł* chodzić po polach. *Zasedł* do *Ileyka*—owcarzył *tamok*, na *salasie* ale ten nie *kciałś* *towarzyszyć*, do *trzech* razy nie dał mu pokoju, musiał iść *ś* nim. Jużci zebrał *towarzystwo*, było ich pięciu, zaś Janosik i *Bacyński*, to *juz* ci jako równi z *sobom* byli. Janosik *piersy harnaś*, zaś *Bacyński* drugi. Jak się *uzdobierali* jeden do drugiego, tak potem *śli* na pieniądze. Janosik *wiedział* *takie dowody*, *zaslepić se* *wiedział*, choć *kany* *przyseł*, to go nie widzieli; *kiej* nosił ciupagę, to ta ciupaga sama *se* *rąbała* za nim, *kiej* go *łapali*. Dopiero *śli* w *Pol-skom*, *złota*, *śrybła* było *beckami*, to takie pieniądze on brał i chował. Ale to wtedy świat był nie taki, jako *dzisiok*. *Lasy* były *wielgie*, *kiajs* *seł* to tylko do nieba co widać było. *Hej!* Ale co oni mieli *takom wódke* *pacholskom*, co jak nogę *po-*

pod kolana posmarował, a wypił *niemoc*, to go więcej nosiła w powietrzu, niżli on sam *seł*. Tej wódki teraz *niemas*, to ta wódka z *grzakiem* była, to ojciec święty zakazał to w Rzymie. Ale ludziom nie robili nic. *Cheba* furman bogaty i pan albo *kase cesarskom wzieni*—to takie rzeczy brał! Studenci *kiej sli* do Węgier do domu, to on im *naryktował* sukna, a *podmierzował* od *bocka* do *bocka*. Hej, on biednych ludzi nie napastował, ino *prędzej zratował!* Była pod Wiedniem *kar-cyma*, to samej *cysarzowej* odpisał, co by *przysła*, przyniósł złotom kurę i dwanaście jajek, to *przysła* i *tańczyła s* nimi *haniok* przez *całom* noc. Hej! Zaś *kiej* im *cego chybiało, cy* sukna, *cy* jakiego sprzętu, to *śli* za nim a drudzy do wozu nosili, a potem pojechali. On, co naznosił pieniądze z Polski, to *som* pochowane *pokłady*, i on to ofiarował młodemu królowi na ratunek. I jedna stara baba mu *przekazała* tak: *dotela be-dzies* chodził, *pokiel z cleku krwi nie wypuścis*. Jużci *beł s* nimi student, i raz co się niezrobiło: *kleknol se* Janosik pod *smreckiem* *paciorek* zmówić, a to plugawstwo strzeliło do niego z *flinty*, raz i drugi, ale Janosik *sie* modli i nie obziera, bo go *sie* kule nie imaly, dopiero ten strzeli trzeci raz, Janosik *paciorek* zmówił, porwie *sie* i zabił tego studenta. No i *dobrze, niedobrze*—toż to potem Liptacy zjednali jego *frajerke* i ona go zdradziła. Jużci *zajeli* go, *subienice* wystawili i mieli *wiesac*. Ale on odpisał do *cysarza*, co on sam stanie za jeden regiment wojska, zaś drugi zapłaci ze *swoik* pieniędzy. I *cysarz* odpisał pismo, coby go puścili, ale *zakiel* to pismo przyszło, Liptacy Janosika powiesili, toć to wisiał, a fajkę palił i funt *habryki* wykurzył, *zecem* umarł. Zaś Liptacy, jako go powiesili, *placom cysarzowi i dzisiak* za dwa regimenty pieniądze. Hej!

Dr. Władysław Kosiński w „Materjałach do etnografji górali beskidowych“ podaje taką legendę o *Janasku* (Janosiku):

„W Orawie był tak samo *jeden złodziej*, ale już *bardziej lutościwy*; nazywał *sie* ten bisygoń *Janósek* (albo Janosik). Miał on taki kijacek, ze *ka* kciał, choćby i *pšiez żelazne* *dzierze*, to *sie* dostał do sklepu i *wsedy*. *Kciał* *tez* *zaprowadzić* *równość* majątku i *latego* *krad* *bogatemu*, *ozdawal* *ubogim*. Ráz *sed* *sobie* *chłop* do miasta i *bardzo* był *zafrasowany*; *ka* *sie* *wziąs*. to *sie* *wziąs* (przysłowie), *wychodzi* *nas* *Janásek* z pod mostu i *pytd* *sie* *smutnego*, *kany* tak po mału *stapá*—„no já idę do miasta, *odpedzial* *chłop*, *kciulbyh* *se* *woły* *kupic*, a ma-ło *mám* *pieniądów* i *nie* *wystarcy* *mi*, *chyba* *na* *jednego* *i* *to* *z* *biłdom*“. *Janásek* *wyjąn* *pularys* i dał mu *osiemdziesiąt* *papierków* i do tego mu *nakazał*, *jaby* *mu* *ty* *woły* *pokazał*, *jak*

kupi, ze go tu na tem moście pocká. Chłop posed do miasta, kupił woły za 90 papierków i jak jik psignál w to miejsce, stanął. Janáska nie było i nie było, jaze tak za półtoorej godziny psised woły obežrzić. „Dobrześ kupił“, powiedział Janásek i dał mu sie napić wina, które psi sobie nosil. Chłop biedny, podziękował Janáskowi, o którym nie wiedział, ze jes złodziejem i zawsze odmawiał pácierze za nim.

Drugim razem sta se baba do miasta, a do nij dolączył sie Janásek. Na drodze pytał sie on tej baby, co tez tu w tej wiosce słyhać. „Nic, odpedziła baba, jeno nám bydzie niebezpiecznie is do miasta, bo tu ten bestyjski Janásek po górak grasuje“. Towarzis podróży spytał sie, co to jes ten Janásek; wtedy zaczęła mu baba opowiadać, ze to okropny zbójca, jak rabuje, jak obdziérá biednyk ludzi i psieklina na tego nieszczęsnego Janosika, jak go drudzy nazywają. Tak słucha, tak słuchá, a baba ozpowiada o tem i owem co Janáśik zbrojił. Nareszcie jak juz o Janásku skończyła, pytał jej, jaby mu kupiła świećków za 10 centów, ze on tu idzie do wsi, a po połedniu bydzie jij oczakiwał, bo potem musi is do swoji wsi, jeno ma odwiedzić krewnego.

Baba kupiła świećków, a ón jij rzeczywiście cakál; potem zasiok jak mu jik oddała. chycił babę i do jednego świećka powbiął jej do rzyci i potem puścił z temi słowami: „Pamiętaj, co to jes Janásek“.

Tego rabusika schytali w ten sposób: on se pokochał jednę bardzo piékną dziewczkę i chodzil ku nij na noc, a tę cudowną láseczkę zawsze nosil ze sobą. Jednej nocy namówili sie chłopci z dziewczką i psišli do sopy, ka Janásek s niqm legál, obtocyli go, odebroli láseczkę i zwiázali; on zaraz pisał do cysarza, jaby go uwolnił, ze za regiment wojska ostoji, ale chłopci odpowiedzi nie cekali jeno zaraz na trzeci dzien go powiesili. Chłopci zasiok, kie juz Janáska nimieli odpisali, ze go zatłukli, bo nie wiedzieli, ze on podawał prósbę do cysarza. Na to im cysarz surowo odpisał, ze za karę bydq płacić dziesięć papierków kazdego roku. Jesce mają do dziś dnia płacić“.

Zarówno o pochodzeniu Janosika, jako też i o jego śmierci rozmaite krążą podania. Jedne twierdzą, ze pochodził z Liptowa, inne, ze był rodem ze Spiża, Sabala zaś stawia jego kolebkę w Brzeziawiczce, zowiąc go pieszczotliwie „Jaskiem z Brzeziawicki“. Koniec Janosika pokrywa niepewnością. Jedne pieśni i opowieści ludowe opisuja z szczegółami, jak go wieszano zdradzonego przez kochankę, inne przeznaczają mu śmierć naturalną. Goszczyński w „Dzienniku podróży do Tatr“ wspomina, ze w dolinie kościeliskiej

pokazywano mu jaskinię, w której znaleziono szkielet ludzki olbrzymiej wielkości. Górale uważali go jako śmiertelne resztki po Janosiku. Autor Sobótki stwierdza także, że zbójstwo w górach jest uważane „jako rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą góral nie wzdraga się przechodzić; nie tylko nie wzdraga się, ale nawet rwany jest pędem wewnętrznym, gdyby się nie znajdował w warunkach wręcz temu przeciwnych“; tak dawniej było konieczną potrzebą dla Ukraińca przechulać część żywota na Zaporozżu. Między zacnymi z innego względu „gazdami“ góralskimi, powszechnie poważanymi, nie jeden pohulał sobie po górach jako zbójnik, potem znowu wrócił między swoich i prowadził się najwzroziej, jako gospodarz i bogobojny ojciec rodziny.

Jak silnym i jakiej istoty był u ludu góralskiego pęd do zbójnictwa, świadczy następujące prawdziwe zdarzenie, niepozbawione humoru. Był sobie w Chocnołowie młody góral, upośledzony przez przyrodę: mały, pękaty, z nogami koszlawami, a ogromną głową i brzydką twarzą, ale silnie zbudowany. Codziennosc stanu i zajęcia nie cieszyła go, pragnął sławy, więc postanowił pójść na zbój, z czem się wcale nie tał przed znajomymi. Smiano się z niego, gdyż postać i postawa nie czyniły go zdolnym do tego zawodu. Sledzono go atoli z ciekawości. Otóż koszlawy ten i pękaty góral, sprawiwszy sobie strój zbójnicki, ubiera się weń, za pas wsadza pistolety i noże, w rękę bierze ogromną ciupagę i pałkę, przez plecy zawiesza aż dwie rusznice, w torbę nakłada żywności i wódki na dni kilka, a na głowę przywdziewa kołpak wyplatany z rzemyczków, a obwieszony „cwancygierami“, i idzie w góry i lasy, w dzikie ustronia, gdzie między stromemi skałami leżą powalone smereki, po pod które szemrzący, a jak łza czysty górski strumień sączy swe wody. Siada za powalonym drzewem w zasadzkę, przyczajają się, wyteżą wzrok i słuch na wszystkie strony, niby spostrzega przechodnia, więc zmierza się rusznicą do niego, strzela, wypada z zasadzki, machając na wsze strony pałką, przeskakuje prędko powalone smereki, a dopadłszy kawał graniasto wystającej skały, uderza tak silnie weń maczugą, że ta rozpryskuje się w kawały. Potem znajduje się w szybkim, znowu przeskakując „z bucka na jedlicę“, odwrocie, znowu przysiada w zasadzkę, szcurzy oczy i uszy, strzela, rąbie; to goni, to ucieka i tak ciągle, dopóki mu sił starczy i znużony nie opadnie na ziemię. Przez trzy dni z rzędu te same ćwiczenia zbójnickie, poczem powrót do domu — Don Chichotta góralskiego. Teraz promienieje mu

twarz zadowoleniem, postawa harda, bo ożywia go przekonanie, iż poszedł sławą zbójnicką.

Pomiędzy ludem tatrzańskim żyje w pieśni i w podaniu nie tylko sam Janosik, ideał zbójnika bohatera, ale także i Tatar Myśliwiec, zapamiętały i krwawy Marduła, Baczyński i ostatni zbójnicy Mateja i Gał, pierwszy z Zakopanego, drugi z Olszy. O Baczyńskim, wiernym towarzyszu Janosika, który był zastępcą „*harnasia*“ (herszt), sądzi Witkiewicz, że musiał być polskim szlachcicem, zbłąkanym między zbójników. Na jednym z zbójnickich obrazów widać go w polskim stroju, obok Janosika, ubranego po góralsku-zbójnicku. Wszak i na Zaporozie zbiegała szlachta. Awanturnicze życie zbójnika w górach mogło przyciągać wyjątkowo nie tylko górali, lecz i innych, zwłaszcza jeśli się komu pośliznęła w życiu noga z drogi prawej na bezdroże występku.

Kult zbójnicki kwitnie nie tylko u polskich podhalan, lecz jeszcze więcej pomiędzy góralami słowackimi, a jeden z znawców życia ludu słowackiego twierdzi, że w podaniach zbójnickich objawia się duch niezależności Słowaków, pokonanych i ujarzmionych przez madyarów. Rząd też węgierski przesładował w sposób okrutny wszelkie wspomnienia o Janosiku. Za obrazy, przedstawiające jego bandę, zamykano do więzienia, a za śpiewanie pieśni o nim okładano kijami. Zbójnickie obrazki były dawniej bardzo rozpowszechnione na Podhalu i w Słowacji podtatrzańskej. Obecnie rzadko gdzie można się spotkać z nimi. Były w większej części malowane na szkle, a przedstawiały zdarzenia z życia zbójników. Twórcy tych obrazków nie skąpili złota, bo widać tu zbójników z złotymi ciżmami, złotymi pasami, złotymi kołpakami, a nawet ciupagi, rusznice i pistolety są na obrazkach wyłożone. Wrześniowski pisze o tem: „Po dosyć długich poszukiwaniach, w końcu zdobyłem dwa obrazki, wprawdzie potłuczone, ale dające się zupełnie z kawałków odtworzyć. Na obydwóch wyobrażono uroczystą chwilę, gdy Janosik „*przyjmuje ku sobie nowego sługę*“. Po środku obrazka kandydat na zbójnika niesłychanie wysoko wyskakuje; ciupagą, w lewej ręce trzymaną, ucina on *wirch bucka*, a *pistolcem*, w prawej ręce będącym, ustrzela *wirch jedliczki*. Na prawo od skaczącego stoi zbójnik, grający na dudach, bo to podczas tańca wykonywano takie skoki. Jeszcze bardziej na prawo, pod jedliczką stoi Janosik w czerwonych spodniach, w lewej ręce trzyma pistolet, a w prawej pułkarek wódki, którą utoczył ze stojącej obok beczki i podaje nowozacicznemu mówiąc: „*Na, rzekę, napijsie, już jesteś nos*“. Na

lewo od skaczącego stoją trzej zbójnicy, rozmawiający pomiędzy sobą i od stóp do głów uzbrojeni, istne arsenały chodzące. Na środku obrazka pod bucikiem, oraz przy nogach Janosika stoją *kotlicki* z dukatami. Ponieważ dawniej na Podhalu i wogóle w górach polskich i słowackich długie noszono włosy, przeto artysta, chcąc pochlebić nowemu słudze Janosika, namalował mu włosy do samej ziemi. Cały obrazek jest naturalnie namalowany potwornie, drzewa i ludzie wyglądają tak, jak na produkcjach małych dzieci, próbujących siły swego talentu malarskiego, pomimo to jednak jest tam jakiś niezłe obmyślany układ, dosyć udatne ugrupowanie figur“.

Taniec zbójnicki utrzymał się do dziś pomiędzy górami tatrzańskimi. Witkiewicz zowie go „szaleństwem“, „tańcem opętanym, warjackim“.

„...Wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią, śmigają rękoma i nogami, i zdają się być zębami jednego koła, lecącego w najszybszym obrocie. Znowu muzyka wolniej, ruchy stają się spokojniejsze, tańczący biorą ciupagi, zczepiają je ostrzami, trzymając wysoko, i tańczą w około zwolna, jakby dla odpoczynku. Lecz nagle grajek naciąga brwi wielkie, nad oczyma ukrytymi pod wystającym jak okap zrębem czoła, ścisła konwulsyjnie skrzypki i rżnie jeszcze wścieklejszym rytmem, a cała banda tancerzy zaczyna się z jeszcze większą gwałtownością ciskać i szaleć. Latają w powietrzu ręce, nogi, błyska stal ciupag, wszystko się mięsza i mąci w jakiś chaos“.

Sląskie Beskidy mają swoich zbójników bohaterów: Ondraszka i Juraszka. Tam, kędy ponad doliną rączo bieżącej Ostrawicy wznosi się potężna Łysa Hora z swą „Gigulą“ (łysym wierchem), na stokach obrośnięta ciemnymi borami, a królująca wysokością nad całym pasmem gór wschodnio-sląskich, tam w królestwie jej dzikich zarosli i stromych, nad przepaściami prostopadle wznoszących się ścian skalnych, z których wytryskują źródlane strugi wód krysztalowych, tam było na pograniczu Śląska, Morawy i Węgier, gniazdo zbójnicie tych bohaterów, których czyny sławi piśmiennie i podaniowemi opowieściami nie tylko lud śląski całej okolicy Frydka, lecz także sąsiadujący lud morawski, a z węgierskiej strony słowacki. Lubo Ondraszek stał się postacią podaniową, której wyobraźnia ludowa nadziejskie przypisuje właściwości i czyny, zawiera kronika sądowa niektóre pewne o nim dane. Był on synem wójta śląskiej wsi pod Frydkiem Janowic, a zwał się Andrzejem Szebestą. Ondraszek, podobnie jak Juraszek, jest pieszczo-

liwą nazwą, nadaną mu przez lud, w czem niezawodnie odzwierciedla się także przychylność i sympatja ludu dla obydwóch zbójników, których też i dlatego mianowano zdrobniale, ponieważ obydwaj jak niedorośli chłopięta niskiego byli wzrostu. Ondraszek stał się zbójcą w r. 1711, gdy banda rozbójników węgierskich wpadła na Śląsk w okolice Łysej Hory i niszczyła na jej stokach w całym obwodzie zamki i wsie. Czyny bandy zbojeckiej wywarły taki urok na młodzieńca Ondraszka i Juraszka, iż obaj przyłączyli się do nich, porzucając dostatnie gazdowskie domy rodziców. Ondraszek zasłynął niebawem szaleństwem odwagi, mężstwa i waleczności, został naczelnikiem bandy, a Juraszek we wszystkich zbójnickich wyprawach towarzyszył mu i zawsze stał obok niego na przodzie, chociażby niebezpieczeństwo było największe. Gdy strzelano na nich, broniąc się przy napadach lub przy robieniu obławy, kule ich się wcale nie czepiały, lecz odlatywały, jak od muru kamiennego. W lasach Łysej Hory była ich siedziba, z kąd niepokoili całą okolicę, a niszczyli wszystkich bogatszych ludzi. Rząd chcąc oswobodzić ludność od trwogi, a straszego utrapienia i niszczytelstwa, uruchomił przeciwko zbójnikom cały pułk wojska, wydając rozkaz pojmania w szczególności Ondraszka, na którego głowę nałożył nagrodę stu dukatów czerwonych. Dokazywał on też najokropniej i dawał się strasznie we znaki.

Gminom nakazano surowo bić w dzwony, gdyby się zbójnicy zbliżali do wsi, i urządzono z wojska i ludności na nich wielkie obławy. Wszystko było na nic. Ondraszek nie był do pojmania, ani do pokonania. Zgubił go własny nieodstępny towarzysz, Juraszek.

Z opowieści podaniowych, chociaż o zgonie Ondraszka krążą dwie wręcz odmienne wieści, wynika, że zazdrość o kochankę zamieniła Juraszka z wiernego przyjaciela w zemstą krwawą pałającego wroga Ondraszka, zatem i tu niewiasta snuje nić tragedji zbójnickiej. Podług jednych, zdradził Juraszek Ondraszka, pałając nienawiścią z powodu swej kochanki przeciw Ondraszkowi. Miał on bowiem naprowadzić oddział czatujących żołnierzy na kryjówkę ostatniego, gdzie go schwytano, uwiązano do koła u wozu i puszczono wóz w bieg, zaprzężony ognistemi kołmi, w ewal puszczonemi. Trupa przywieziono do Frydka, gdzie go powcwiartowano, a następnie szczątki ciała porozwieszano w lasku miejskim krukom i sępom na żer. Juraszek miał otrzymać na rękę sto czerwonych od rządu austriackiego, w na-

grodę za zdradzenie towarzysza. Inni opowiadają i śpiewają całkiem co innego.

Oto Juraszek miał przydybać we wsi Świadnowej w karczmie Ondraszka z swoją kochanką, właśnie w chwili, gdy ten dawał jej—całusa. Zawrzała w nim krew rozwścieczonego, porwał za siekiere i „obuszkim“ zabił swego naczelnika i niegdyś najszczerzego i najserdeczniejszego druha—przyjaciela. Która wersja jest prawdziwą, niepodobna do cieć. Druga, zdaje się, ponieważ, gdyby wojsko było Ondraszka rzeczywiście schwytało, musiałyby się o tem i o jego straceniu znaleźć w aktach sądu frydeckiego pewne dane. Akty sądowe nic jednak o tem nie wspominają.

Potem poszedł w lasy i w góry, i sam został w miejscu Ondraszka hersztem zbójników, dokazując nie mniej odważnie i krwawo, jak usunięty poprzednik. Ale i jego schwymano i powieszono. Zwykły to bywał koniec zbójników, a niezawodnie tragiczna ich śmierć—męczono ich strasznie i okrutnie—drażniła i jątrzyła wyobraźnię ludu, który stawał po stronie katowanych, zwłaszcza, że ci z jego własnego wychodzili łona, za krzywdami biednych i ludu wogóle ujmowali się, a odzierali z mienia tylko możnych i dostatnich, dając nieraz nędzarzom to, co złupieżyli u opływających w dostatki.

Z pod Łysej Hory i podhala tatrańskiego przychodzi nam przenieść się do południowo-wschodniego pasma Karpatów, na Pokucie, aż ku Czernahorze, królującej na pograniczu Galicji, Bukowiny i Węgier. I tu dzika przyroda wśród stromych skał—olbrzymów, poprzedzielanych głębokimi kotlinami i czeluściami, w cieniu niedostępnych, odwiecznych lasów. Głuchą ciszę, zalegającą urocze ustronie gór, przerywa chyba szum wiatru i łoskot pieniających się potoków, a tylko gdzieś tam z zarosłej trawą bujną i drobnem kwieciami połoniny—hali huculskiej—zalatuje śpiew pastucha, idącego za owcami po krawędziach ścian skalnych. Piosnka pastusza, wtórowana grą na fujarce, jakby także nie była z tego świata. Jest ona z czarodziejskiej krainy, a opiewa minioną przeszłość, udzierzganą barwnymi błyskotkami bujnej wyobraźni ludowej, technie wonią czebryku i żywicy, a bije z niej ciepło uczucia, wydobywającego się z serca z siłą, z jaką kryształowy źródło wytryska ze skały, przełamując zapory kamienne. Snać oddawna żal i smutek przygniata serce tego ludu, bo nastrój piosenki żałosny i smutny, niemal płacziwie zawodzący, jakby głos skargi, wyrwyjący się z przygnębionej piersi, a wzlatujący pod niebiosy. Niedola bowiem ludu mogła tylko zrodzić tak smętne pieśni, jak

huculskie. Są to wypowiedzenia żalu dla ulżenia boleści, gnieźdzącej się w sercu, wentyle, że się tak wyrażę, cierpień, tem skuteczniejsze, że pieśń umie w niezrównany sposób koić rany, ni to balsam, gdy w pamięci ludu roztacza prześliczne obrazy wymarzonej przeszłości, o minionej sławie swej własnej, o wielkich czynach ludu, nadzwyczajnych przygodach jego wybrańców, którzy swobodnie jak kozice krążyli po stromych górach, a dla nieprzyjaciół ludu groźniejsi i niebezpieczniejsi byli, jak wilki i niedźwiedzie.

*Taj po pid haj zeleneńki, taj po pid haj zeleneńki
Chodyw Dobosz molodeńki;
Taj na niżku nalehaje, taj na niżku nalehaje.
Topircem sia pidperaje...*

Mołojce—opryszki mszczą się w pieśni za krzywdy ludu. Napadają oni na panów podstarościch, „mandatarów“ (dawniejsi sędziowie dominikalni), ekonomów, leśniczych, arendarzy i kupców, „puszczają z dymem“ dwory, karczmy, plebanie i leśniczówki, a znaczą ślady swe krwią, ale tylko tam, gdzie na opór natraflą lub gdzie ich własne bezpieczeństwo jest zagrożone, albo gdzie wykonują zemstę. Dobosz, huculski Janosik łączy w sobie wszystkie te najczelniejsze przymioty, w jakie lud zwykł uposażać zbójników—bohaterów, widząc w nich swoich mścicieli i zarazem swą niezależność. Bogdaj czy Dobosz podaniowy nie przewyższa w pieśni huculskiej polsko-słowackiego Janosika najwyższemi zaletami męstwa i waleczności. Jest on wprawdzie mniej chytry i zwinny, nie umiejący skakać jak wiewiórka „z bucka na jedlicku“, mniej też jest od niego wykwintnym w stroju, ale natomiast zuchwalszy, namiętniejszy, dzikszy i okrutniejszy. Z Janosikiem posiada wspólnie szlachetność i wspaniałomyślność, biednym zaś tak samo, jak „harnas“ tatrzański jest niemal ojcem, i obydwaj giną z jednej przyczyny: przez zdradę kochanki. Janosik jest tak owiany cudownym czarem poezji ludu tatrzańskiego, iż gubi się zupełnie w mgłę poetycznej jego rzeczywistości. Inaczej pod tym względem z Doboszem. On żyje w pieśni i podaniu, jako legendowy bohater, ale także widzimy z aktów sądowych, z przed mniej więcej 150 lat, jego postać rzeczywistą.

Wówczas rozlegała się jeszcze w czarnohorskiem pasmie Karpat daleko i szeroko głośna wrzawa, do której mieszał się często szczełk broni i huk strzałów. Opryszki huculscy,

których Korzeniowski wprowadził w „Karpackich Góralach“ na scenę, staczali przy napadach formalne bitwy. Gdy się udał rozbój, hulała potem sobie wesoło drużyna, chociaż pieśń ludowa mówi o jego życiu: „*na kameni spaty, z torby chlibom żyty, z skały wodu pyty*“. W lesie rozkładali wówczas wielki ogień. Zarzynali owce lub byczki, piekąc mięso na rożnie i gotując je w mleku w kotle. Była i „*mid-horylka*“ (gorzałka miodem zaprawiona) i słonina, a często nie brakło i dobrego wina, zdobytego na kupcach ormiańskich z Kut, Łysca, Tyśmienicy iub Stanisławowa. Tytuniu w „*papuzkach*“ dostarczali podostatkiem żydzi. Przy uczcie gawędzono, opowiadając sobie wzajemne przygody, śpiewano, układano przysze napady. Ale niepokój ciągnął, który ich trapił, nie pozwalał oddawać się długo zabawie i wczasowi biesiady. Nigdzie i nigdy nie byli bezpieczni, gdyż wszędzie śledzili ich, trapiłi i prześladowali „*smolaki*“, zorganizowane wojskowo oddziały pod dowództwem oficerów; więc wciąż trzeba było zmieniać miejsce pobytu i gdzieindziej wyszukiwać dla siebie kryjówki i schroniska. Zwyczajnie obierali sobie takie miejsca spoczynku, z których miewali widok w okół i mogli widzieć „*smolaków*“, z jakiegokolwiek by podchodzili strony. Noclegowali małemi gromadkami po pieczarach i w krzakach, a Dobosz posiadał osobną kryjówkę, o której nikt z mołojców nie wiedział. Zabezpieczał się tym sposobem przed możliwą zdradą. Gdy mimo wszelkiej czujności „*smolaki*“ ich przecież dopadli, wówczas przychodziło do gorącego starcia, do potyczki. W razie gdy nie mogli się wybić, ani też ratować ucieczką, walczyli zażarcie, jak rozwścieczone lwy, drogo sprzedając swe życie. *Hawraś* zwał się u nich „*watażką*“. Uzbrojeni byli podobnie jak tatrzańscy zbójnicy: od stóp do głowy. Ó Dobosz zeznawali przed sądem w Stanisławowie świadkowie, którzy mieli z nim styczność, że nosił rusznicę przez plecy, przy boku miał miecz, za pasem ostry toporek i dwie pary pistoletów, w ręce „*rohатыnkę*“, od pasa wisiał mu nóż, zwany „*czepetykiem*“. Przed sądem nie zeznawali opryszki nic, do niczego się nie przyznawali, chociaż nie torturowano.

Opryszek znaczy u huculów to samo, co zbójnik u podhalan i tak samo różni się w pojęciu ludowem bardzo znacznie od rozbójnika. W pieśni huculskiej zowią się: „*czornymi chłopcami*“. Wszędzie między ludem mieli przyjaciół i pomocników, przebaczących im zabójstwa i łupieżstwa, w których zaślepiony widział tylko czyn zemsty i odwetu.

Ówczesne stosunki polityczne sprzyjały rozwojowi opryszkowstwa w pokuckich czyli huculskich Karpatach. W Pol-

sce wrzała wojna między Augustem II a Stanisławem Leszczyńskim, w północnych Węgrzech szalała zawierucha powstania Rakoczego, a Mołdawa, do której wówczas granicząca z Czarnohorą Bukowina należała, pełna była niepokojów domowych. Werbowano ochotników, potem rozpuszczano najemnych żołnierzy, a z tych część wolała łączyć się z opryszkami, aniżeli wracać do rodzimego pługą. Wojewoda kijowski i pan na Stanisławowie, wielki hetman koronny, Józef Potocki był gorącym stronnikiem Leszczyńskiego. Większa połowa Pokucia była jego własnością. Sieniawski, posilkowany wojskiem rosyjskim, jako stronnik Sasa wyruszył przeciw Potockiemu, oblegał i wziął Stanisławów. Później, gdy na widowni zbójckiej wystąpił Dobosz, trwały dalekie stosunki pomyślne dla opryszkostwa: rozprzeżenie, panujące w Polsce za drugiego Sasa i rozgardjasz wojenny po węgierskiej stronie Karpat, z powodu drugiej wojny tureckiej Karola VI i austriackiej wojny sukcesyjnej. Szerokie pograniczne nieprzystępne pasmo Czarnohory było bezpiecznym schroniskiem dla obcej hołoty i butnych młodźców huculskich, szukających wolności, sławy i łupów. Rozbijani przez „smolaków“ na polskiej stronie gór, uciekali na Węgry i tu skupiali się znowu i organizowali.

Dwie księgi aktów kryminalnych miasta Stanisławowa, jedna od r. 1703—1723, druga od r. 1738—1751, które znajdują się w księgozbiornie zakładu Ossolińskich we Lwowie, zawierają prawdziwe wiadomości o Doboszu. Korzystał z nich August Bielowski, podając wiadomości o opryszkach huculskich w rozprawie p. n. „Pokucie“, umieszczonej w dodatku do „Czasu“. O tym samym przedmiocie pisał po rusku profesor Juljan Celewicz, przytaczając niektóre nowe szczegóły w rzeczy: „O Oleksie Dowboszczuku, jego poprzednikach i następcach.“

Pierwszym „watażką“, głośnym na Pokuciu w początkach XVIII w. był *Iwan Piskliwy*, rodem z Dołhopola nad Czeremoszem. W bandzie jego było dużo wołochów. Była tam różna inna zgraja: zbiegi z Węgier, bojki od Perehynska, najwięcej zaś huculów, którzy tworzyli osobny oddział pod „podwatażką“ Fedjem Żołubem. W r. 1703 napadli ci opryszkowie miasteczko Otyńję, gdzie zrabowali żydów — potem dwór w Berezowie. Równocześnie były rozboje w Niezwiskach i Woronie, gdzie gospodarza Kostja Korkowicza przy ogniu spiekli. Napad na miasto Zabłotów był przedsięwzięciem na większe rozmiary. Opryszków było kilkadziesiąt. Duszą wyprawy był Sapohowski arendarz Abramko.

Jeden z opryszków tej wyprawy, nazwiskiem Prokop Kowbasa, zeznał przed sądem: „Nocą napadliśmy i zrabowaliśmy wszystkie lepsze domy żydowskie; wiele, nie wiem. Zabraliśmy rzeczy, bo pieniędzy nie było. Gdyśmy się w lesie pod Debestawicami dzielili zdobyczą, przypadły na mnie: dwie żydowskie bekesze, jedna koszula i kilka innych drobiazgów. Wszystko odkupił odemnie potem Abramko za 20 złotych. Żyd pytał nas o pieniądze, a gdyśmy powiedzieli, żeśmy takowych nie znaleźli, złapał nas i mówił, żeśmy złe szukali“.

Ów Prokop Kowbasa był żonatym i zamożnym gazdą z Werbiaża, posiadającym dwie pary wołów, pięć krów i wszystkiego podostatkiem. Jeszcze groźniejszym „watahem“ był *Pinta*, któremu poddawał się nawet Piskliwy. Dobra Kosów i arenę całej okolicy dzierżawił podówczas bogacz żydowski, Gedalia. Żadna żydówka nie ubierała się w szabas tak wykwintnie i bogato, jak jego żona i córki „uginają“ pod złotem i perłami. Kiedy Gedalia wydawał jedną z córek, wyprawił tak sute wesele, jakiego dotąd nie widziano. Żydów zjechało się w gościnę cma. Bogaci mieli srebrne pasy, a przy kaftanach złote guziki. Żydówki paradowały z ciężkimi, złotymi łańcuchami, naszyjnikami, kolcami, z szyjami obwieszonymi nadto perłami i koralami. Sprowadzono najzawołańszą muzykę, która rznąła ochoczo, a żydzi, podkasawszy kaftany, płaśali rażno, podrygując i krzycząc tak silnie, że słyhać ich było w całym miasteczku. Podwórce domostwa obleżone było tłumem gapiącego się chłopstwa, które pchało się aż pod okna, zaglądając do wnętrza izby, gdzie się podochoceni żydzi zabawiali. Między ciekawymi było trzech opryszków: Fedjo Zołub, Charabar z Szeszor i Makowej z Peczyniżyna, ubranych zwyczajnie po huculsku. Gdy żydzi tak sobie tańczą, śpiewają i wyprawiają wrzaski, zdąża ku miastu liczna drużyna opryszków pod dowództwem Pinty i Piskliwego. Z Węgier samych było 80 mołojców, oprócz bojków i huculów. Był to już istny oddział siły zbrojnej. Mieli jeszcze ze wschodu nadsięgnąć Wołochy. Wystrzałami dała znać drużyna swoim wśród gapiącej się gawiedzi ustawionym czatom, że się zbliża i że nadszedł czas działania. Fedjo Zołub, przedarłszy się przez tłum, zdąża do izby, gdzie się bawili goście weselni; przedstawia się im, kim jest i nadstawiając otwartą „tajstrę“ (torbę), wzywa, by wrzucali do niej swe kosztowności. Potruchleli żydzi, oddawali wszystko, co tylko mieli przy sobie, by ratować życie. Zdejmowali z siebie srebrne pasy, żupany i kaftany z złocistemi guzikami, a „tajstrę“ w oka

mgnieniu napełnili pieniędzmi i klejnotami. Potem kazał Żołub, któremu tymczasem sześciu zbrojczych przyszło w pomoc, jawiąc się wewnątrz domu Gedalii, otwierać skrzynie i szafy i zabierać z tamtąd grube pieniądze. Do żydowskiej szkoły wpadli: Marusiak i Hryc Jewdoszyn, gdzie część gości znajdowała się na modlitwie. Poczęli tu strzelać. Na straży stało tu i tam po kilku opryszków. W mieście powstał tymczasem krzyk, wołanie o pomoc. Uderzono w dzwony. Zaczęto się zbroić dla obrony, jak kto mógł. Wnet wystąpiła przeciw opryszkom zbrojna gromada i wszczęła się istna potyczka. Z okolicy nadciągnęła utrapionemu miastu pomoc. Walczono zawzięcie w kilku miejscach na raz. Poległo 17 osób. Opryszki ustąpili z miasta, zabrawszy ze sobą swoich rannych. Cofnęli się do Pistynia, oczekując tu Wołochów, którzy dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, nie przybyli. Tu podzieliwszy się bogatym łupem uchodzili w góry, ale ich po drodze rozbito. Część złapano i stracono, inni ulotnili się. Zapewne nie jeden wrócił do domu i „gadzował“, albo poszedł w „połoniny“ z owcami i „bił“ bryndzę w „berbenicy“ (beczułkę). Inny herszt zbrojczych rabował żydów w Kołomyi. Zwał się Iwan Pańczyrzyn. Napad jednak nie udał się. Obsaczył go porucznik Sosnowski z „smolakami“ i wszystkich wyłapał. Przy protokołach z nimi spisanych występują nazwiska nowe: watażki Werby, Szpuhura z Tekuczy, braci Tutcaków z Dołhopola, na Bukowinie i innych. Na Pokuciu nie słyszano o nich zgoła, zatem musieli „hulać“ po Mołdawji i na Węgrzech. Wówczas złapano także Iwana Piskliwego.

Opryszki mieli po wsiach wszędzie swoich powierników, którzy ich gościli, ukrywali, rannych leczyli i pielęgnowali, złupieżone rzeczy przechowywali, dostarczali im jedzenia i napitku, nie mniej broni, prochu i kul, pełniąc zarazem służbę wywiadowczą i donosielską. Między tymi nabrali szczególnego rozgłosu zwłaszcza dwaj żydzi: Jur, arendarz z Myszyny i Abramko Meterey z Sapohowa. Najgłówniejszym stanowiskiem opryszków był podówczas Górny Kluczów. W dąbrowie, gdzie w kilkadziesiąt lat później żegnał się tak serdecznie poeta Karpiński ze swoją Lindorą, odpoczywali nie raz, wracając z krwawej wycieczki. W r. 1719 napadł watażka Łesiek dwór p. Michała Piotrowskiego w Żydaczowie, który zrabowawszy spalili do szczytu. Potem obozowali w dzwiniackiej „syhli“ (las moczarowaty). Tu nie mogli zrobić podziału zdobyczy pomiędzy sobą, bo żaden nie chciał brać drobiazgów, tylko żądał cenniejszych rzeczy. W tem ukazał się między opryszkami p. Makare-

wiecz z Krzywca, z swoją drużyną, który polując po lasach zabłądził i zapędził się aż w te nieprzystępne strony. Opryszki na widok niespodziewanych gości, schwycili już za rusznice, ale p. Makarewicz dał znak, żeby się uspokoiłi, co się też i stało. Umiał on mówić z opryszkami. Wnet się nawet spoufalił z nimi, pogodził zwaśnionych, podzielił zdobycz pomiędzy nich i w końcu dał im kupca na rzeczy, za co wdzięczni zbójcy dali mu w upominku wielkie czerwone buty i „peremitkę“.

Po r. 1730 jawi się na widowni postać największego opryszka: Oleksy Dobosza. Prof. Celewicz tak go opisuje: „Swoją odwagą w napadach, śmiałością w obronie, swoją dzikością i junaństwem, które łagodziła wrodzona mu prostota i dobroduszość, pozyskał szeroką sławę na całej huculszczyźnie. Energiczny, przedsiębiorczy i rzutki watażka stawał się z jednej strony ulubieńcem podgórskiego ludu, który widział w nim najdzielniejszego z junaków, z drugiej strony był postrachem żydów, kupców i ekonomów. Niedogarnęli się pokrzywdzeni, aby się za nich pomścić, zaś Junacy, aby pod jego dowództwem użyć dzikiej swobody zbierać bitych „sorokowców“ i „czerwieńców“ (dukatów), do niego lgnęły dziewczęta i młodyce, kiedy schodził z gór i pojawiał się to tu, to tam na zabawach, tańcach i weselach. Tego nie można nazwać prostym rozbójnikiem, bo gdyby mu szło tylko o pieniądze i zdobycz, to byłby napadał na bogatego hucuła, jak na żyda arendarza, na kupca ormiańskiego albo na pański dwór; tymczasem widzimy go, że gdy napadał na jakiego hucuła, to chyba tylko z zemsty, a nie dla rozboju. Największą sympatję zjednał sobie przez swoją łagodność i rzekomą galanterję, z jaką występował wobec słabych, albo wobec tych, co u progu chaty witali go chlebem i solą. Co najmniej przebywał on od r. 1738 — 1745 w górach jako opryszek; gdzie zimował, o tem zdaje się nikt się już nie dowie. Im więcej doznawał przygód, im więcej wrogów nastawało na jego życie, im bardziej goniono za nim wojsko i „smolaki“, tem więcej nabierała jego postać uroku i stawała się legendową w oczach ludu, szerzyły się o nim różne cudowne wieści, że jest nieprzewyciężonym, że się go żadna nie czepia kula, że trzeba aż czarów, ażeby śmiałego watażkę życia pozbawić“.

Podaj, pieśni o Doboszu, o jego przygodach krąży cały rój nie tylko pomiędzy hucułami i ludem podgórskim na Pokuciu i Bukowinie, lecz także pomiędzy dalszym ludem karpackim, aż po góry sanockie. Przyczyny przedostania się opowieści doboszowskich w góry stryjskie, samborskie i sa-

nockie szukać należy w okoliczności, iż właściwie było dwóch Doboszów: sławny *watah* opryszków Oleksa, działający na Huculszczyźnie i brat jego Iwan Dobosz, który najpierw zbójował przy jego boku, potem pobiwszy się z bratem, uszedł do bojków i wslawił się w tamtejszych górach. Tym sposobem mieszają się pieśni i podania o jednym i drugim, opowieść o dwóch osobach jednocy się tak, że niepodobna odróżnić, co się odnosi do Oleksy a co do Iwana Dobosza; podania z ust do ust przechodziły z gór stryjskich i samborskich w huculszczyznę i odwrotnie.

Pożądanem byłoby, gdyby kto zebrał razem te nadzwyczaj liczne podania. Niektóre z nich znajdują się u W. Wójcickiego w „Starych gawędach i obrazach“. Pieśni dobozowskie, nie wszystkie umieścił I. T. Gołowacki w zbiorze „Narodnyja pisni hałyckoj i uhorskoj Rusy“, w osobnym rozdziale: „*Dumy hajdamackie*“. Ale jest to tylko ich część.

Z wyżej wzmiankowanych ksiąg sądu stanisławowskiego wynika, że ojcem Oleksy i Iwana był Wasyl Dobosz, mieszkający w r. 1739 z żoną i kilkorgiem dzieci w Peczyńszynie komornem. Prócz kilku owiec nie miał nic. Oleksa sprzykrzył snać sobie życie biedaka, bo porzucił żonę i rodziców i przystaje do opryszków. W r. 1738 jest już watażką. Jednym z pierwszych jego czynów był napad na Czarne Osławy koło Lanczyna. Jeden z gazdów przyjął go na progu chaty z szklką gorzałki, pijąc jego zdrowie, potem raczył go w izbie jadem i napitkiem. Ujął sobie tem watażkę. Niespał mu nawet włos z głowy. Najwięcej dręczył żydów, którzy nieraz przychodzili do starego Wasyla Dobosza z okupem, znosząc mu wódkę, mąkę i inne rzeczy. Obydwaj Dobosze odwiedzali czasem nocną porą starych rodziców. Podchodzili cichaczem po pod okna, dając znać pukaniem o przybyciu; wychodziła macierz i gwarzyła z nimi długo, nieraz aż do zapiania kura. Do izby bali się wchodzić, a odchodząc zostawiali staruszkom pieniądze. Raz przed Wielkanocą, gdy przyszedli do rodziców, wstąpili do karczmy i tu spotkali znajomych mołojców.—Zaczęto pić wódkę, biesiadnicy popili się, powstała kłótnia, a potem bójka. Jednego z towarzyszów zarąbano siekierą, a młodszy Dobosz Iwan ciał brata Oleksę tak silnie w nogę, że ten wyliżawszy się z rany, potem na nogę trochę kulał. Pieśń ludowa zaznacza to słowami:

„*Taj na niżku ulehaje ..*“

Odtąd rozeszli się obydwaj bracia na zawsze. Iwan umarł między bojkami i lemnikami, a umierając, przekazał

cerkwi w Bieniawie swój nóż zbójecki, mający się obecnie znajdować w muzeum krakowskim.

Oleksa dokazywał na Pokuciu. Opryszki jego zabili urzędnika w Tekuczy, w Łanczynie żupnika; dokonali rozbojów: w Ktoropach, Towmaczyku, Dobrotowie, Uścierzykach, Jasieniu, Dobrosielsku, Woskresieńcu. Koło Mikuliczyna na węgierskim szlaku zabito kilku Ormian, kupców z Kut, którzy mając przy sobie dla bezpieczeństwa kilku hucutów bronili się bardzo odważnie, kładąc trupem dwóch opryszków. W końcu ulegli przemocy, bo banda opryszków była liczna. Napady mnożyły się w tak zatrwająco sposób, że dla schwytania Dobosza wysłano w góry zwinnego i sprytnego pułkownika Przyłuskiego na czele licznego oddziału „smolaków”. Opryszki musieli nieraz walczyć z nimi.

Raz na połoninie bukoweckiej zrobił Dobosz zasadzkę na nich. Opryszki pochowali się w krzaki i za drzewa, czatując z rusznicami w rękę na przybycie oddziału „smolaków”. Gdy ci nadciągali, a każdy opryszek miał już swego na celu, dał Dobosz nagle rozkaz, by niestrzelali. W stansławowskich aktach sądowych zapisano o tem.... „I już byli każdy do swego wymierzyli, ale Dobosz znowu nie kazał ich gubić, bo żalił się, że żony mają i dzieci.”

Kara, jaka spotykała złapanych opryszków, była straszna. Przy śledztwie bito ich, palono świeczkami i rozpalonem żelazem, wbijano im ćwieki w ciało, a tracono ich albo przez ucinanie głowy, albo przez ćwiartowanie żywego ciała, poczem kawałki trupa wbijano na pale i umieszczano dla postrachu po górach i przy drogach.

W wspomnianych powyżej aktach opowiada niejaki Semen Wołoszczuk rodem z pod Sighetu na Węgrzech o zemście Dobosza, dokonanej na gaździe Diduszku, u którego służył za parobka: „My doili przed zachodem słońca owce i Diduszkow syn Iwan też je doił. W tem nadbiega jeden opryszek i rzecze:

— Pozostaw mleko i idź do chałupy.

Diduszkowego syna chwycił za czuprynę i pyta go:

— Gdzie ojciec?

Ten odpowiedział:

— Nie wiem, czy w Kutach, czy na wsi.

Opryszek na to krzyknął:

— Co ty breszysz! — i uderzył go toporkiem po głowie tak, że ledwo po godzinie przyszedł do siebie.

Potem napędził nas pięciu z *koszaru* do chaty i zapchał nas pod ławę. Potem złapał dziewczkę i znów tak ją uderzył,

że musiała się przyznać, że Diduszko jest koło ognia przy strzyżeniu owiec.

Wtedy posłali jednego opryszka po niego, który go przyprowadził. Tutaj zaraz przywitał go Dobosz:

— Czy to ty panie Didu? — Pamiętasz, że posyłałem ci czepełek na znak, abyś mi dał krąg sera, a tyś odkazał do mnie, że oddasz głowę moją do Stanisławowa.

I uderzył go toporkiem w piersi i rzecze:

— Poznajesz ty mnie, Olekse? Utnij mi głowę! Tyś spędzał wioski, aby mnie złapali; tyś obiecywał panom czapkę czerwonych, jeżeli mnie ujmą! A teraz ja ciebie złapałem.

I uderzył go drugi raz tak, że się powalił i skonał. Dobosz kazał domostwo podpalić. Wzięli parę koni, zaprzęgli, zabrali syna Diduszkowego i odeszli bez rabunku, a syna w drodze puścili, z czego pokazuje się, że Dobosz zadowolnił się samą zemstą na Diduszu.

W pamiętnikach swoich opowiada Franciszek Karpiński: „Urodziłem się w roku 1741, dnia 8 października, we wsi Hołosków 3 mile od Stanisławowa, z rodziców Andrzeja i Rozalji Karpińskich. Zdarzenie osobliwsze w domu rodziców moich w tym dniu przytrafiło się. Kozłowski, sąsiad i przyjaciel ojca mego przestrzegł go kilka godzinami przed mojem urodzeniem, że w nocy sławny na Pokuciu rozbójnik Oleksa Doboszczuk, dokazujący w tamtych stronach razem z dwunastu swoimi mołojcami miał dla rabunku napaść na dom rodziców moich. Już matkę boleści napadły, a ojciec dom z bojaźni może zatracenia życia porzuciwszy, z czem mógł naprędce do biskupiego lasu schronił się, zostawiwszy rozporządzenie, ażeby okropnemu temu gościowi z towarzyszami jego chleb, ser i gorzałka najobficiej na stole rozstawione były. Może w godzinę po urodzeniu mojem przyszedł z swoimi Doboszczuk; prócz matki mojej leżącej i baby, która mnie odebrawszy omyła i na rękę trzymała, nikogo więcej w domu nie zastał. Matka moja nic mówić nie mogła dla bólu i strachu, ale baba, przystąpiwszy ze mną na rękę do Doboszczuka, oto (powiada) godzina, jak się to dziecko urodziło, miej pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiącą i na to niemowlę, nie rób tu żadnej przykrości, kiedy cię jak dobrego gościa przyjmujemy. Zmiękczyło to serce rozbójnika i mołojcom swoim skromnie się obejść rozkazawszy, do jedzenia i wódki obficie dostarczonej zasiadł, babce potem dał trzy czerwone złote, a matki mojej prosząc, ażeby nowo-narodzonemu dziecięciu, na pamiątkę bytności jego w tym czasie w domu naszym Oleksy (jak się i Doboszczuk

nazywał) imię na chrzcie nadano, bez szkody najmniejszej ze swoimi odszedł.“

W r. 1745 zabito Dobosza w Kosmaczu. Pieśń ludowa ubarwia zgon jego romantycznie. I on tak samo jak „*harnasie*“ tatrzańscy ginie z przyczyny kochanki, z tą różnicą, że nie zdradza go ona sama, lecz gubi go jej upór. Kochanką „*wataha*“ była piękna kosmacka „*mołodycia*“, żona gazdy Stefana Dźwińki. Raz przyszedł on wieczorem pod chatę Dźwińki i chciał „*pohofubić*“ oblubienicę. Ale mąż był w domu, więc przełęczniona „*mołodycia*“ nie otwierała mu drzwi. Opiera się więc silnemi plecami o drzwi cisowe, by je podważyć. Już wysadził jedne drzwi, a podsadziwszy się pod drugie, odchyła je, nie patrząc „*na horu*“

*A pan Dźwińka z poda (strychu) strilyu
Doboszewy w serce wciłyu
Ne tak w serce, — w prawo plecze
A z liwoho krowcia tecze.*

Śmiertelnie ranionego „*watahę*“ otaczają w smutku i rozpacz „*mołojcy*“ — towarzysze, a on odzywa się do nich słowy:

*Oj wy chłopci, wy mołodci;
Woźmit mene na toporci,
Przybližit sia błyższe d'meni
Oj jakże tiażeiko meni!
Ty Iwane Sadahirskij,
Bery mene po ledińskij
Zanesy mia w syny hory.*

W Czornohoru zanesit mia

Sriblom. złotom podil sia.

*I topirci zanechajte
Krowci wże ne rozływajte
Ludzka krowcia ne wodycia.
Rozływaty ne hodytsia.*

Pieśń ludowa podaje zgodnie z prawdą sam fakt zabicia Dobosza w Kosmaczu przez rzezonego Dźwińkę, a tylko co do przyczyny śmierci zawierają akty sądu stanisławowskiego inne okoliczności.

„Die 27 Augusti Anno 1745“ stanął „z woli Jaśnie Wielmożnego Józefa Potockiego H. W. a Pana naszego miłościwego“ „przed obopólnych urzędów sławetnymi panami: Szymonem Gaczkowskim wójtem jurysdykcji polskiej, N. W. J. P. Michałem Amirowiczem, wójtem jurysdykcji ormiańskiej, W. J. O. Semionem Nowosielskim, rajcą jurysdykcji polskiej, K. J. P. Konstantym Soltanowiczem, rajcą jurysdykcji ormiańskiej, R. J. O. Sewerynem Mamisiewiczem, ławnikiem jurysdykcji ormiańskiej“ — „pracowity Stefan Dźwińczuk dla wysłuchania indagacji o zabicie Doboszczuka — opryszka“. Ten zeznał do protokołu, że Dobosza sprowadziła do jego chaty nie miłość, lecz okoliczność z powodu wnieszenia się „watahy“ w spór jego z Mieczownikiem, jego teściem po pierwszej żonie, któremu nie chciał oddać wiana. Dobosz stał po stronie teścia Dźwińki, przyszedł więc do niego, by siłą mocy odebrać wiano po bezdzietnie zmarłej pierwszej żonie.

Po śmierci Dobosza trwało opryszkostwo dalej. Wspomniany pułkownik Przyłuski łapie aż czterdziestu rozbójników, mimo to hulają w górach i na podgórzu dwie silne bandy, jedna pod „watajką“ Hnatem Bajurakiem na Bukowinie, druga pod Hrykiem Martynczukiem po węgierskiej stronie gór. Karpiński wspomina, że będąc studentem w Stanisławowie, widział jak wymienionego Bajuraka prowadzono na stracenie. Idąc na plac śmierci, kazał sobie podać fujarkę czyli ulubioną piszczałkę góralską („sopilka“), na której smutne dumy góralskie przygrywał. Rząd austriacki po rozbiory Polski nie mógł też dać sobie rady z opryszkami, którzy zniknęli w górach pokuckich i bukowińskich dopiero po r. 1830.

O Doboszu opowiadają huculi, że był pobożny, obdarowywał szczerze cerkwie i często się spowiadał. Gdy w górach spotkał księdza, zmuszał, by jego spowiadał i rozgrzeszał. Chodzi wieść między ludem, że świecznik w cerkwi w Delatynie jest darem Dobosza. Na połoninach miał on robić sobie rodzaj tronu i czytał swoim „mołojcom“ akafisty, a ci mu wtórowali przy modlitwie. Potomkowie brata jego Iwana mają żyć w jednej z górskich wsi w Samborskiem, a wieś Lubochora miała dlatego otrzymać taką nazwę, ponieważ tu leżała „luba“ watażki chora.

Huculskie zbójnictwo wyrodziło się później w proste rozbójnictwo, przeciw któremu powstawała sama ludność. Rozbójnicy napadali zarówno chłopą, jak innych. Lud nie widział w nich mścicieli krzywd swoich, więc dopomagał władzy w ich wysledzaniu i prześladowaniu. Po „dominiach“, okręgach patrymonialnych potworzyły się na całej

huculscyżynie roty „puszkarzy“ (strzelców), złożone z samych chłopów, któremi dowodzili „mandatary“, sędziowie dominikańscy. Była to miejscowa policja bezpieczeństwa, która wychodziła także dla posiłkowania „smolaków“ w góry przeciw rozbójnikom. Ci „puszkarze“ dawali się we znaki nie tylko rozbójnikom, ale także i wszystkim chłopom. Hałastrą ta, szukając niby opryszków, napadała „koliby“ i zabierała, co tam tylko się znalazło. Jak w poparciu ze strony ludu tkwiła siła dawniejszych opryszków, tak znowu niechęć ludu przyspieszyła wytępienie rozbójników. Opryszków popierał lud huculski, a akty sądowe dostarczają dowodów, że opryszkowie znajdowali pomoc także ze strony osób po nad lud się wynoszących. Podstarości Kuszel trafił raz w karczmie popitych opryszków spiących. Był między nimi wówczas i Dobosz. Mógł ich łatwo połapać. Wzywano go nawet do tego, ale on odpowiedział: „I na cóż mam ich wiązać, czyż oni mi co winni?“ Snać był on nawet w porozumieniu z nimi. Przy śledztwie sądowym była mowa o kosztownej tabakierce, jaką ów Kuszel miał posiadać od opryszków. Inni podstarostowie, nazwiskiem Muszyński i Łętecki pili na połoninach z opryszkami i dostarczali im „ad victum“, jak o tem przechowują pamięć protokoły sądowe. Popadnia z Sapohowa była ich skarbnikiem, i raczyła ich jadłem i napitkiem. Jakiś pan Michałowski otrzymał od nich kontusz gronostajami podszyty i dwie garście dukatów, żona jego pani Michałowska dostała dziesięć sznurów koralu, a córeczka tego państwa, aż trzy garście dukatów i jeszcze pereł dziesięć sznurków w dodatku. Za darmo nie rozrzucali opryszków tak kosztownościami, były to widocznie nagrody za oddawaną im pomoc i przysługi.

Na tem kończę rzecz o zbójnikach i opryszkach. Było by wielką zasługą około ludoznawstwa i piśmiennictwa naszego, gdyby powołańsze pióro opracowało wyczerpująco ten sam przedmiot, podając zarazem zupełny zbiór pieśni i podań ludowych o zbójnictwie w naszych górach.

G. Smólski.

Poganin Wan Li.

Stosunki Chińczyków z białą rasą—to długie dzieje. Zadzierażnęły się przed wiekami i podobno czas jakiś nie były złe. Potem się popsulo wszystko—znawcy twierdzą, że nie z winy Chińczyków. Wtedy Chińczycy zamknęli mocno drzwi swego domu przed białymi. Przyszła chwila i dwa wrzodujące światu państwa i narody, Anglicy i Francuzi drzwi te wytłamali ogniem dział i pchnięciami bagnatów. Robiono to w imię cywilizacji i braterstwa narodów; przekonywano wystraszonych Chińczyków, że nie mają prawa być u siebie wszechwładnymi panami, nie mogą źle się obchodzić z przybyszami, że na całym świecie dzieje się inaczej; kto do sąsiada przychodzi z towarem, czy z pracą, winien być witany jako gość drogi.

Chińczycy uwierzyli temu.

A że u nich ciasno i głodno, więc skorzystali z nauki i zaczęli poza granicami ojczyzny szukać małego kawałka chleba za dużą choćby pracę. Chińczyk bić się nie umie, ale pracować potrafi. Szczególniej licznie pociągnęli do zachodnich Stanów Ameryki Północnej. Tam zajęli się praniem, kucharstwem, handlem. Wymagano od nich dużo, płacono mało, obchodzono się źle. Chińczyk wszystko pokonał cierpliwością; miał potrzeby małe, mozolił się bez wytchnienia, byle móżdżek żyć—więcej nie wymagał. Wtedy ludność biała, która tak niedawno jeszcze wydarta tam ziemię, wodę, powietrze czerwonoskórym, krzyczęć poczęła, iż przybysze odbierają jej kawałek chleba w jej własnym kraju rodzinnym. Oczywiście—pracowity a skromny konkurent jest niepożądany... zmusza do większej gorliwości.

Nic tak się szybko nie zapala i prędzej nie płonie, jak niema-

wieść rasy do rasy. Nie potrzeba do tego przyczyn istotnych — wystarczy pozor kłamliwy.

Chińczycy w Ameryce nie wdzierali się wcale do życia towarzyskiego białych, nie wtrącali się zupełnie do stosunków państwowych, nie próbowali prowdzić propagandy religijnej, o prawach żadnych nie marzyli, a jednak zostali znienawidzeni. Amerykanie tak dumni ze swej wolności, ze swej tolerancji i t. d. doszli do przekonania, że prawa i sumienie pozwalają im wymordować Chińczyków dla tego, że obcy, dla tego, że z pracą przychodzą i jeść muszą. I mordowali!...

Wtedy nikt się nie ujął za pokrzywdzonymi, nikt o pomstwie niewinnie przelanej krwi nie myślał, ani nie mówił.

Tylko serca szlachetne, które zbyt kochają bliźniego, aby go goś nienawidzieć mogły, w których uprzedzeniu rasowe nie zabijają uczucia sprawiedliwości, które krzywda przeraża a mord wstręt budzi,—tylko tacy ludzie protestowali i wzywali współbraci do upamiętania. Ale niestety, jakże często, gdy burza namiętności szaleje, głosów szlachetności i rozumu nie słucha nikt.

Do wybranych w Ameryce należał wielki pisarz Bret-Hart. Pod wpływem rzezi Chińczyków w San Francisco w r. 1869 napisał on piękną nowelkę, którą uważamy za właściwe teraz powtórzyć, aby przypomnieć, że w stosunkach Chińczyków z rasą białą były i takie momenty.

Właśnie przed chwilą otrzymałem list z miasta.

Gdy otwierałem kopertę, na podłogę wypadł pokreślony hieroglifami podługowaty pasek papieru, który w nieświadomości, w pierwszej chwili wziąłem za owinięcie herbaty chińskiej. Koperta zawierała drugi wązki pasek papieru, zaopatrzony w jakieś dwie, tuszem chińskim namalowane litery; poznałem zaraz bilet wizytowy Hop Singa.

Kartka pierwsza głosiła w dosłownem tłumaczeniu, co następuje:

„Przed obcym stoją bramy mego domu otworem. Dzban z ryżem znajduje się po lewej, słodczyce po prawej stronie wejścia.

Dwa zdania mędrca:

Gościnność jest enotą syna, a mądrością przodków.
Człowiek zamożny po żniwach urządza przyjęcie.

Nie pilnuj zbyt troskliwie gościa, przechadzającego się

wśród inspektów; roztargnienie jest często piękną formą grzeczności.

Szcześćcia, pokoju, pomyślności.

„Hop Sing.“

Aczkolwiek zdziwiła mnie niepomierne ta mądrość przysłowiowa, a zwłaszcza zakończenie, zdradzające życzliwość Hop Singa, mimo to, ani rusz, nie mogłem sobie zdać sprawy, co znaczyć miała tajemnicza korespondencja. Na szczęście znalazłem trzecią kartkę papieru, w formie pisanego po angielsku, własnoręcznego listu Hop Singa, tej treści:

„Niżej podpisany prosi o zaszczytowanie go swoją obecnością w piątek o g. 8 wieczorem przy ulicy Sacramento Nr... Punktualnie o g. 9-ej filiżanka herbaty.

„Hop Sing.“

To było już jasne. Chodziło o wizytę w magazynie Hop Singa: rozpakowanie i ustawianie świeżo nadesłanych towarów i osobliwości chińskich, godzina pogawędki w kantorze, filiżanka herbaty tak wybornej, że lepszej sobie nawet wymarzyć trudno, cygara, a w końcu zwiedzenie teatru lub świątyni chińskiej. Był to ulubiony program Hop Singa, kiedy w charakterze reprezentanta towarzystwa Ning-Fu przyjmował u siebie gości.

W oznaczonym dniu i godzinie stawilem się w magazynie Hop Singa. Na wstępie uderzył mnie ten zachwycający, tajemniczy, nieznany zapach, który tylekrotnie już miałem sposobność wciągać w płuca; przed oczyma przesunął mi się długi szereg znanych już dawniej przedmiotów: te same dzbany, wazy — ten sam brak symetrii i harmonji w barwach. Latawce, kształtu olbrzymich węzów i motyli, zbudowane tak sztucznie, że od czasu do czasu wydawały odgłosy, przypominające krakanie jastrzębia, tak wielkie, że chłopiec, najsilniejszy nawet, nie byłby w stanie nimi kierować, a tak piękne, że widok ich przekonywał odrazu o dostępności zabawek tanich w Chinach jedynie dla ludzi bogatych, — bożki z porcelany i bronzu, uderzające swem szkaradziństwem, pełne słodczy dzbany, zapisane sentencjami z Konfucjusza, kapelusze przypominające kosze i kosze podobne do kapeluszków, materje jedwabne zadziwiającej

lekości, — wszystko tu znaleźć mogłeś pomieszane w chaotycznym nieładzie.

Przeszedłszy słabo oświetlony bazar, znalazłem się w kantorze, a raczej w gabinecie Hop Singa. Był to mężczyzna dystygowany, pełen godności i powagi. Podgolona głowa, z długim zwisającym warkoczem, zarówno jak i twarz śniada podobna była do kawałka wygładzonej, brunatnej bibuły. Nos miał prosty i kształtny, z drobnych ust wyzierały dwa rzędy białych, czysto utrzymanych zębów. Ubrany był w ciemną bluzę jedwabną; na ulicę przywdziewał, zwłaszcza w chłodne dni, kaftan z baranka astrachańskiego. Obejście się jego, mimo całej powagi, było bardzo uprzedzające. Mówił biegle po francuzku i po angielsku, słowem, nie wiem, czy znalazłby się w całym San-Francisco jaki kupiec-europejczyk, któregooby można porównać z Hop Singiem.

W gabinecie gospodarza zastałem już kilku gości: sędziego, redaktora, jakiegoś wysokiego urzędnika i jednego z wybitniejszych przedstawicieli kupiectwa miejscowego. Gdyśmy wypili po filiżance herbaty i zjedli nieco słodczy, któremi nas gościnnie gospodarz raczył z jakiegoś tajemniczego dzbana, powstał Hop Sing z miejsca, a skinąwszy, byśmy szli za nim, jął nas prowadzić w dół do piwnicy. Za chwilę znaleźliśmy się w jasno oświetlonem podziemiu. Na wyłożonej asfaltem podłodze stały ustawione w półkole krzesła. Wezwawszy nas grzecznie, byśmy zajęli miejsca, odezwał się w te słowa:

— Zaprosiłem panów na przedstawienie, które z tego bodaj względu jest ciekawe, że go nikt dotąd z obcych nie widział. Wczoraj rano przybył tu sztukmistrz nadworny, Wan. Dotąd, poza obrębem pałacu cesarskiego w Pekinie, nigdzie przedstawień nie dawał. Prosiłem go, ażeby zechciał uprzyjemnić dziś wieczór zaproszonym przyjaciołom. Nie potrzebuje on do przedstawień swych ani teatru, ani estrady, ani pomocnika—wystarczy mu to, co panowie widzicie. Niech mi panowie zrobią tę łaskę i raczą zbadać osobiście podłogę.

Zrobiliśmy mu naturalnie tę łaskę. Podziemie, do którego nas zaprowadził Hop Sing, było zwyczajną piwnicą skle-

pową do przechowywania towarów, wyłożoną, dla zapobieżenia wilgoci, cementem. Ażeby zadowolnić grzecznego gospodarza, stukaliśmy laskami w podłogę i ściany, ale tylko dlatego, żeby mu sprawić przyjemność, wiedzieliśmy bowiem bardzo dobrze, że będziemy ofiarami zręcznego złudzenia. Ja z mojej strony mogę zapewnić, że gorąco nawet tego pragnąłem i gdyby mi był kto zaproponował wytłomaczenie zjawisk, których mieliśmy być świadkami, byłbym propozycję odrzucił.

Kuglarz zaczął od tego, że przy pomocy wachlarza puścił w ruch cały rój motyli, które w naszych oczach wycinał z skrawków papieru; motyle latały dokoła nas przez cały czas trwania przedstawienia. Przypominam sobie, że sędzia chciał złapać jednego, który mu usiadł na kolanie; motyl, jak żywy, zerwał się natychmiast do lotu. W tej chwili Wan wyjmować zaczął z kapeluszy naszych, nie przestając się chłodzić wachlarzem, ciastka, z rękawa wyciągał niezliczoną ilość łocki materji jedwabnej, wytrząsał pomarańcze, które następnie w niepojęty sposób znikwały, wydobywał jakby z pod ziemi cały szereg przedmiotów najrozmaitszych i t. d. Połykał więcej noży, aniżeli był w stanie przetrawić przez całe życie, wykręcał członki rąk i palców w stawach, bujał się w powietrzu, bez żadnej na pozór podpory. Ostatnia jednak sztuczka, której nigdy więcej w życiu nie widziałem i która miała być koroną przedstawienia—graniczyła rzeczywiście z czemś nadprzyrodzonym.

Wan usunął wszystkie przedmioty z podłogi na przestrzeni około 15 stóp kwadratowych, poczem poprosił nas, ażebyśmy się jeszcze raz przekonali, że niema tu żadnego nadużycia. Usłuchaliśmy wezwania z poważnemi minami. Nie zauważyliśmy nic podejrzanego. Potem poprosił nas o pożyczanie mu chustki do nosa.

Otrzymałą chustkę rozpostarł na podłodze, poczem nakrył ją czworokątnym kawałkiem materji jedwabnej, a na to wszystko położył wielki szal, który zakrył całą prawie, zamiecioną przed chwilą przestrzeń podłogi. Po skutecznieniu tej czynności, stanął na jednym z końców szala i rozpoczął nucić przeciągle jakąś monotonną, melancholijną me-

lodję, kołysząc się przytem w takt to w jedną, to w drugą stronę.

Przypatrywaliśmy się w grobowem milczeniu, co dalej nastąpi. Ta wyteżona uwaga, to męczące wyczekiwanie, ten tajemniczy półcień w piwnicy, w połączeniu z lekkim zapachem opium i wonią korzeni, ta niepewność wreszcie, co z tego będzie — wszystko to wywoływało w nas jakieś nieprzyjemne uczucie trwogi; spoglądaliśmy wzajemnie na siebie z wymuszonym, nienaturalnym uśmiechem. Przykre to uczucie wzmogło się jeszcze, gdy Hop Sing powstał z krzesła, i nie mówiąc ani słowa, ukazał palcem na środek szala.

Pod szalem ruszało się coś i to coś, czego przed chwilą tam nie było; w pierwszej chwili wyglądało, jak małe wzniesienie, bez żadnych wyraźnych kształtów, powoli jednak, z sekundy na sekundę, stawało się coraz wyraźniejsze. A kuglarz nie przestawał zawodzić monotonnej melodji; z czoła spadały mu po twarzy gęste krople potu. A „coś“ pod szalem rosło, przybierając coraz wyraźniej kształty małej istoty ludzkiej, z wyciągniętymi rękami i nogami. Niejeden z nas zbliżył, a wszystkich przechodził dreszcz; przykre położenie to przerwał redaktor głośno wypowiedzianym żartem, który, aczkolwiek nie odznaczał się zbyt wielkim dowcipem, przyjęty został z wielkiem zadowoleniem. Nagle przestał kuglarz nucić; zręcznym błyskawicznym ruchem zerwał z podłogi szal wraz z materją jedwabną — na chustce mojej drzemał spokojnie malutki Chińczyk!

Grzmiące oklaski i brawa, któremi powitaliśmy to zjawisko, musiały zadowolnić miłość własną kuglarza, mimo że pochodziły od szczupłej garstki widzów. Oklaski te w każdym razie były tak głośne, że obudziły dziecko — ślicznego, małego, dziesięciomiesięcznego conajmniej chłopaka, który znikł przed nami równie tajemniczo, jak tajemniczem było jego pojawienie się. Gdy mi Hop Sing zwracał z niskim ukłonem pożyczoną chustkę, zapytałem go, czy kuglarz jest ojcem dziecka.

— No sabe! *) — odpowiedział niewzruszony Hop Sing,

*) „Nie wiem“. Zwykła odpowiedz Chińczyka, kiedy nie chce dać odpowiedzi twierdzącej.

uciekając się do tej używanej powszechnie w Kalifornji wymówki hiszpańskiej.

— Czyż jednak ma na każde przedstawienie nowe dziecko?—zapytałem.

— Być może; kto wie?

— A cóż się z tem stanie?

— To zależy zupełnie od woli panów, — odpowiedział Hop Sing z grzecznym ukłonem.—Tu się urodził, a panowie jesteście jego ojcami chrzestnymi.

W Kalifornji byłoby rzeczą niesłychaną, gdyby ktoś w podobnym wypadku nie okazał dobrego serca; najwstrętniejszy nawet sknera nie był wtedy w stanie oprzeć się poczuciu miłosierdzia. Zrobiłem z chustki do nosa rodzaj torby, a wrzuciwszy moją ofiarę, oddałem ją w milczeniu sędziemu; ten wrzucił 20 dolarów i podał torbę dalej. Gdy powróciła do moich rąk, było w niej przeszło 100 dolarów. Związałem improwizowany woreczek i oddałem go Hop Singowi ze słowami:

— Dla chrześniaka, od ojców chrzestnych.

— A jakie imię damy mu? — zapytał sędzia.

W jednej chwili posypały się najrozmaitsze projekty: Erebus, Nox, Pluto, Terrakota, Anteus i t. d. i t. d.

Hop Sing przysłuchiwał się w milczeniu; gdy wreszcie nasz zapas imion się wyczerpał, zapytał spokojnie:

— A dlaczego nie miałyby zatrzymać własnego imienia: Wan Li? *)

I zatrzymało je.

Za chwilę podpisaliśmy dokument, stwierdzający przybycie na świat w piątek, 5-go marca 1856 r. małego chińskiego chłopaka, imieniem Wan Li.

* * *

Ostatnia kolumna „Gwiazdy polarnej“ z dn. 19-go lipca 1865 r., jedyne, codziennie wydawanego pisma w okręgu

*) Syn Wana.

Klamath, poszła właśnie pod prasę. Była godzina 3-cia nad ranem. Uporządkowałem papiery na biurku i zabierałem się właśnie do wyjścia, gdy wzrok mój padł na list, którego dotąd nie zauważyłem. Koperta była zabrudzona, bez marki, poznałem jednak natychmiast pismo przyjaciela mego, Hop Singa.

Rozerwałem szybko kopertę i czytałem:

„Szanowny Panie!

Nie wiem, czy się Panu podoba oddawca niniejszego listu; jeżeli jednak posada „djabełka“ *) w Pańskim piśmie jest czysto techniczna, w takim razie posiada on, jak sędzę, wszystkie potrzebne przymioty. Jest zręczny, pilny i rozumny; po angielsku rozumie lepiej aniżeli mówi, a stara się brak wiadomości zastąpić talentem spostrzegawczym i naśladowniczym. Możesz mu Pan raz tylko pokazać, jak co należy robić, a zrobi natychmiast, bez względu na to, czy to będzie co dobrego, czy złego. Ale Pan znasz go przecie—jesteś jednym z jego ojców chrzestnych. Bo wszak nie zapomniałeś Pan chyba o małym Wan Li, domniemanym synu czarnoksiężnika Wana, na którego przedstawienie miałem zaszczyt zaprosić Pana.

Posyłam go z transportem kulisów do Stockton, z kąd pocztą pospieszną udać się ma do Pańskiego miasta. Wyświadczysz mi Pan wielką łaskę, a jemu uratujesz życie, jeżeli mu dasz miejsce u siebie; jest teraz w wielkim niebezpieczeństwie, dzięki młodszym współbraciom pańskiej chrześcijańskiej wysoko cywilizowanej rasy, uczęszczającym do szkół publicznych w San Francisco. Chrześniak pański podczas wędrówek z Wanem, któremu stale towarzyszył, aż się stał zbyt wielkim, żeby go można było chować w kapeluszu lub rękawie, nabrał dużo dziwacznych nawyknień. Pieniądze, zebrane przez Pana, użyte zostały na naukę chłopca. Chodził do szkoły, obawiam się jednak, że bardzo niewiele z niej skorzystał. Wie bardzo mało o Konfucjuszu, a o Mencjuszu to już nic zgoła. Skutkiem lekkomyślności [ojca, obcował za wiele może z dziećmi amerykańskimi.

*) Tak nazywają w drukarniach amerykańskich chłopca do postug.

Byłbym na list pański już dawniej odpowiedział przez pocztę, przypuszczałem jednak, że Wan Li będzie w tym wypadku lepszym posłem.

Z wysokim poważaniem szczerze oddany
Hop Sing.“

Była to długo oczekiwana odpowiedź na list mój do Hop Singa. Gdzież jednak był „oddawca“? W jaki sposób list został mi doręczony? Wybadałem woźnego, zecerów, niczego się jednak dowiedzieć nie mogłem. Nikt nie wiedział, kto list oddał, nikt nie widział oddawcy.

W kilka dni później otrzymałem odwiedziny mego krawca, Ah Ri.

— Słyszałem, że pan potrzebuje djabełka?... Mogę go panu przyprowadzić.

Za kilka minut powrócił Ah Ri z małym 10-letnim Chińczykiem, którego roztropna twarzyczka tak dobre na mnie wrażenie zrobiła, że zdecydowałem się dać mu zaraz miejsce. Gdyśmy się umówili co do warunków, zapytałem go o nazwisko.

— Wan Li,—brzmiała odpowiedź chłopca.

— Co! To ty jesteś chłopcem, którego mi przysłał Hop Sing. Do djabełła, czegożeś się pierwej nie zgłosił? W jakiz sposób doręczyłeś mi list?

Wan Li spojrział na mnie i zaczął się śmiać.

— Wan Li rzucił list przez okno,—rzekł po chwili.

Gdy, spojrzawszy na mnie, spostrzegł, że i teraz nie rozumiem — wyrwał mi list z ręki i zbiegł pędem po schodach. Za chwilę, ku wielkiemu mojemu zdumieniu, przez otwarte okno wleciał list, a pobujawszy po pokoju w tę i ową stronę, opadł zwolna na biurko. Zanim zdołałem sobie zdać sprawę z tego, co zaszło, Wan Li stał znowu przedemną. Bystremi oczami patrzył to na list, to na mnie, wreszcie odezwał się:

— Wan Li tak przyniósł list.

Nie odezwałem się nic, wiedziałem jednak już dobrze, czego się mogę po moim nowym djabełku spodziewać.

Druga próba zręczności, którą zaraz w kilka dni złożył przedemną, była, niestety, mniej obiecującą. Jeden z roz-

nosicieli „Gwiazdy Polarnej“ zachorował, Wan Li otrzymał polecenie zastąpienia go. Ażeby zapobiedz wszelkim możliwym pomyłkom, kazałem go poprzedniego dnia oprowadzić po rewirze. Nazajutrz rano, otrzymawszy odpowiednią do ilości prenumeratorów liczbę egzemplarzy dziennika, ruszył rażno na miasto; w godzinę powrócił w wyśmienitym humorze, z pustymi rękoma, zapewniając najuroczyściej, że wszystkie numery doręczył według adresów.

Na nieszczęście dla Wan Li zaczęli prenumeratorowie już od godz. 8-ej rano przypuszczać formalny szturm do biura administracji dziennika. Dostali wprawdzie wszyscy dziennik, ale w jakim stanie i w jaki sposób? Jedni otrzymali go w kształcie mocno zbitych kul armatnich, które stłukłszy szybę w oknie wpadały z impetem do pokoju, zadając obecnym mniej lub więcej bolesne ciosy; do mieszkań innych dostawał się dziennik w kształcie skrawków papieru, które wlatywały przez najrozmaitsze okna; tu wleciał przez komin, tam znowu przez lufcik; jeden prenumerator znalazł numer, zwinięty w kształcie długiego fidibusa, w dziurce od klucza, innemu wreszcie doręczyła „Gwiazdę Polarną“ służąca, która ją znalazła na dnie naczynia z mlekiem. Jeden z prenumeratorów opowiadał mi z łzami wściekłości w oczach, że przebudzony został nad ranem strasznym wyciem; przestraszony zerwał się z łóżka i ujrzał „Gwiazdę Polarną“, jak zwinięta w formie pałki indyjskiej wleciała przez okno, zatoczyła kilka kół w powietrzu, wywróciła świecę, uderzyła w twarzyczkę maleństwo, śpiące w kołysce, a jego, prenumeratora, w nos, poczem najspokojniej wyleciała znowu za okno.

Przez cały dzień ani na chwilę nie ustawała wędrówka prenumeratorów, którzy z najdalszych dzielnic miasta znosili zabrudzone do niepoznania i pomięte numery „Gwiazdy Polarnej“.

Zmarnował się w ten sposób wspaniały artykuł wstępny „O wyzysku węglowym w okręgu Humboldt“, artykuł, który mnie poprzedniego dnia tyle trudu kosztował i który, jak słusznie przypuszczałem, miał raz na zawsze położyć kres zachłanności przemysłowców węglowych.

Postanowiłem na przyszłość być ostrożniejszym i powierzać „djabełkowi“ mojemu jedynie takie czynności, które wykonywać mógł na miejscu, pod czujnym okiem pracowników administracji i drukarni. Tu Wan Li okazał się nieocenionym; zwłaszcza w drukarni rozwinął niezwykle spryt i pojętność. Mimo nieznamości języka, nauczył się wkrótce szybko i dobrze składać. Nieznamość języka następczała zecerom obszerne pole do drwin z małego Chińczyka. Dawali mu do składania takie np. zdania, jak: „Wan Li pomocnik diabła“, „Wan Li nicpoń mongolski“ i t. p., a on składał, a ukończywszy przynosił mi z uśmiechem tryumfu do korekty.

Wkrótce jednak pokazał Wan Li, że potrafi odcinać się prześladowcom. Przypominam sobie między innymi pewien akt zemsty młodego Chińczyka, który mógł mnie bardzo drogo kosztować. Starszy zecer naszej drukarni, który powierzone miał łamanie numeru, nazywał się Webster. Wan Li, wiedziony prawdopodobnie jakimś ukrytym zamiarem, nauczył się dokładnie składać to nazwisko. Wypadek, o którym opowiadam, przytrafił się podczas którejś z tak częstych w Ameryce kampanji politycznej. Na pewnym zebraniu jeden z najgorliwszych agitatorów politycznych, pułkownik Starbottle wypowiedział ognistą mowę, którą „Gwiazda Polarna“ podała w dosłownem brzmieniu. Mowę swą zakończył pułkownik następującą apostrofą: „Niech mi wolno będzie przemówić do was słowami niezapomnianego Webstera...“ Tu następowała cytata, wyjęta z pism znakomitego męża stanu, której treści sobie na razie nie przypominam. Nieszczęście mieć chciało, że korektę tej mowy spostrzegł Wan Li, a ujrzawszy nazwisko głównego swego prześladowcy, był najpewniejszy, że on jest autorem cytaty. Nie namyślając się długo, usunął z kolumny kilka wierszy, obejmujących powyższą cytata i wsunął na to miejsce odpowiedniej wielkości kliszę z jakimiś hieroglifami chińskimi, zawierającymi, jak słusznie mogłem się domyślać, obelgi pod adresem całej rodziny Websterów.

Tak więc dowiedziała się nazajutrz publiczność z mowy pułkownika Starbottle, że „niezapomniany“ Webster do wy

rażania myśli swych używał niezrozumiałych dla szerokiego ogółu hieroglifów chińskich. Przypominam sobie jeszcze jakby dziś, z jakim hałasem pułkownik wpadł do redakcji, żądając odwołania.

— Ależ szanowny panie,—uspakajałem go—czy możesz pan zaręczyć swoim podpisem, że Daniel Webster nie wypowiedział nigdy podobnej sentencji? Czy możesz pan zaprzeczyć, że Webster, którego wszechstronne wykształcenie jest rzeczą ogólnie znaną, nie umiał po chińsku? Czy jesteś pan gotów dać mi wierny przekład zamieszczonego w „Gwieździe Polarnej“ zdania chińskiego i zaręczyć słowem honoru, że ś. p. Webster nic podobnego nigdy nie wypowiedział? Jeżeli pan potrafiśz na wszystkie powyższe pytania odpowiedzieć zadawalająco, gotów jestem umieścić pańskie odwołanie.

Pułkownik nie czuł się widocznie na siłach, ażeby zadziierać z „niezapomnianym“ Websterem, opuścił bowiem w najwyższym oburzeniu lokal redakcyjny.

Webster—zecer zapatrywał się na sprawę tę o wiele obojętniej. Nie wiedział na szczęście, że w ciągu 2 dni następnych Chińczycy z okolicznych pralni, kuchni i sklepów, raz po raz zaglądali przez drzwi lokalu redakcyjnego z twarzami, na których malował się zachwyty złośliwy, że pralnia nad rzeką zamówiła 300 egzemplarzy tego numeru „Gwiazdy Polarnej“, który zawierał owe fatalne hieroglify chińskie. Widział tylko, że Wan Li wpadał od czasu do czasu w spazmatyczny śmiech i że trzeba go było aż kopnięciem nogi przywoływać do przytomności.

W ośm dni po tym wypadku wezwałem Wan Li do mego gabinetu.

— Wan,—odezwałem się poważnie—byłbym bardzo rad, gdybyś mi, dla mej wyłącznej wiadomości, przetłumaczył zechciał owo zdanie chińskie, które wypowiedział mój znakomity rodak Webster.

Wan Li spojrział na mnie ostro, poczem odpowiedział równie poważnie:

— Pan Webster powiedział, że nie można z małymi

Chińczykami obchodzić się jak z psami, że nie można małych Chińczyków przyprowadzać do wściekłości.

Miałem powód do przypuszczania, że mówił prawdę.

Odpowiedź ta rozbroiła mnie zupełnie. Nie mogłem przecie brać za złe małemu Chińczykowi, że się w nim odezwało poczucie godności własnej.

Dziwne bo też koleje przechodził ten poniewierany przez wszystkich mały poganin. Dzieciństwa nie zaznał prawie wcale—nie pamiętał ani ojca, ani matki. Czarnoksiężnik Wang wychowywał go na swój sposób. Jedynym przeznaczeniem jego w ciągu pierwszych siedmiu lat życia było „przychodzenie na świat“ w koszu, w kapeluszu, wspinanie się po drabinach, wyłamywanie sobie członków i tym podobne produkcje kuglarsko-gimnastyczne. Żył ciągle w atmosferze oszukaństwa i szalbierstwa; nauczył się ludzi uważać za tłum gapiów. Czy wierzył w jakąś siłę wyższą, nie umiem na pewno powiedzieć; był jednak bardzo zabobonny: nie rozstawał się nigdy z wstrętną figurką porcelanową, przedstawiającą bożka pogańskiego, nosił ją zawsze na piersi, naprzemian ją to poniewierając, to przeprasząc w najczulszych wyrazach. Zbyt był mądry, ażeby—zwycajam innych włóczęgów chińskich—zarabiać na życie kradzieżą lub kłamstwem. Cokolwiek robił, jedynym jego przewodnikiem był rozum. Czemy się był stał w innych okolicznościach, trudno powiedzieć. To jedno twierdzić mogę z całą stanowczością, że względem mnie był wierny, jak pies, a przytem cierpliwy—dwa przymioty, z którymi się rzadko kiedy spotkać można wśród sług amerykańskich.

Raz jeden tylko zauważyłem u niego oznaki buntu. Miałem zwyczaj w nocy, po skończeniu roboty redakcyjnej, zabierać go z sobą do domu, ażeby módz w danym razie, gdyby mi jeszcze jakaś myśl przyszła do głowy, przesłać rękopism do drukarni przed oddaniem numeru na prasę. Otóż pewnego razu, zajęty pisaniem, przetrzymałem Wan Li poza zwykłą godzinę, zapomniawszy zupełnie o jego obecności. Nagle słowa jakieś, wypowiedziane jakby tonem skargi, a brzmiące, jakby „czeili“, przypomniały mi o jego obecności.

Zwróciłem się ku niemu z groźną twarzą.

— Co tam mruczysz pod nosem?—zapytałem.

— Mówię: czei li.

— Co to znaczy?—ciągnąłem dalej niecierpliwie.

— Pan mówi: co słyhać John?

— No?

— Pan mówi: to bardzo długo!

— I cóż dalej?

— Czei li—wszystko to samo.

Zrozumiałem go doskonale. „Czei li“ znaczyło tyle co „dobranoc“ i Wan Li chciał już iść do domu. Żeby go jednak nie rozzuchwalać zbyt, udałem, że nie rozumiem i zabrałem się do dalszego pisania. Po chwili zaczął z niecierpliwością stukać drewnianymi swemi chodakami po podłodze.

Odwróciłem głowę. Stał przy drzwiach.

— Pan nie mówi: czei li?

— Nie!—odpowiedziałem głucho.

— Pan kiepski warjat—czei li wszystko to samo.

I jakby przestraszony swoją śmiałością, uciekł czemprędzej. Nazajutrz rano był jednak taki pokorny, taki gorliwy w spełnianiu rozkazów, że dałem mu spokój i nie zrobiłem mu żadnej wymówki. Ażeby mnie przebłagać, wyczyścił mi wszystkie obuwie,—czynność, której od niego nigdy nie wymagałem.

Wspominałem, że był uczciwy, że jednak uczciwość ta nie wypływała z jakichś pobudek moralnych, lecz, że rozum nakazywał mu być takim, a nie innym. Dwa jednak wypadki z tego czasu zachwiały mojem przekonaniem. Pragnąc w jedzeniu mojem zaprowadzić pewną różnorodność, postanowiłem codziennie na śniadanie spożywać gotowane jajka, a wiedząc, że rodacy Wan Li zajmują się na szeroka skalę hodowlą drobiu, zwróciłem się do niego z zapytaniem, czy nie zechciałby pośredniczyć w dostawieniu mi tego produktu. Zgodził się chętnie i odtąd codzień przynosił mi żadaną ilość jaj, pieniędzy za nie nie chciał jednak brać wcale, mówiąc, że Chińczyk, od którego je bierze, nie sprze-

daje ich wcale. Był to dowód wielkiej bezinteresowności, jaja bowiem kosztowały wówczas po pół dolara sztuka.

Pewnego dnia podczas śniadania, odwiedził mnie sąsiad najbliższy, nazwiskiem Forster; w czasie rozmowy skarżył się zaczął, że kury jego przestały nieść jaja, lub też znoszą je gdzieś w krzakach. Wan Li, który był świadkiem naszej rozmowy, milczał, jak zwykle. Po wyjściu sąsiada odezwał się do mnie z wyrazem tryumfu na twarzy:

— Kury Forstera—kury Wan Li — wszystko to samo.

Drugie jego przewinienie było mniej niewinne i świadczyło o wygórowanej ambicji. Wan Li słyszał mnie niejednokrotnie skarżącego się, że za późno otrzymuję listy i pisyłki z poczty. Jakżeż więc byłem zdumiony, gdy wszedłszy pewnego dnia rano do gabinetu, zastałem biurko zawalone stosem listów, przyniesionych prawdopodobnie tylko co z poczty, z których, niestety, żaden nie był do mnie. Zwróciłem się do Wan Li, który obserwował mnie z wielkiem zadowoleniem, żeby mi wytłumaczył ten cud. Ku niemałemu memu zdziwieniu wskazał na leżącą w kącie pokoju pustą torbę pocztową, mówiąc:

— Listonosz powiedział Johnowi: John niema żadnego listu! Listonosz kłamał! Listonosz gałgan! Wan Li w nocy zabrał listy—wszystko to samo.

Szcęściem było jeszcze bardzo wcześnie, listonosze nie rozebrali jeszcze poczty. Udałem się osobiście do naczelnika poczty z prośbą, ażeby nie robił użytku z postępuku Wan Li, który popełnił go nie w złej myśli. Zgodził się i sprawa poszła w zapomnienie.

W dwa lata po wyżej opisanych wypadkach, zdałem wydawnictwo „Gwiazdy Polarnej“ w inne ręce, a sam przeniosłem się do San Francisco. Wan Li towarzyszył mi. Po przybyciu na miejsce postanowiłem małego Chińczyka oddać pod lepszą opiekę. Misjonarz chiński, kapłan zacny i światły przyjął chłopca do swej szkoły i otaczał od pierwszej chwili wielką życzliwością; co więcej, nauczyciel miał zaufanie do swego ucznia. Znalazło się również dla biednego sieroty ognisko domowe w rodzinie pewnej wdowy, której jedynaczka mało co młodsza była od Wan Li. Ta do-

bra, niewinna, wesoła dziewczeczka poruszyć miała w sercu Chińczyka strunę, której istnienia nikt dotąd nie przeczuwał.

Te dni, pełne nigdy nieziszczonych przyrzeczeń i rojeń były najszcześniejszymi chwilami w życiu Wan Li. Oddawał młodej swej przyjaciółce cześć równie gorącą, ale o wiele mniej kapryśną od tej, jaką zaszczycał porcelanową swoją figurkę. Największem jego szczęściem było — móżdżek za nią do szkoły i nieść książki—czynność, za którą codziennie regularnie obrywał guza od chrześcijańskich swoich współbraci. Robił dla niej najcudowniejsze zabawki: wykrawał z buraków i marchwi nieporównane róże i tulipany, robił wachlarze i latawce, z największą jednak zręcznością wycinał z papieru suknie dla lalek. Ona bawiła się z nim chętnie, śpiewała mu piosenki, uczyła go tysiąca pięknych rzeczy, ofiarowała mu żółtą wstążkę do warkocza, zapewniając, że mu w tem bardzo do twarzy, czytała mu bajeczki, prowadziła go do szkoły niedzielnej, mimo oporu reszty kolegów i koleżanek, słowem uprzyjemniała mu życie, jak mogła i umiała najlepiej. Spokojnie i wesoło płynęły dni tym dwojga młodym przyjaciółom: dziewczeczce - chrześciance z złotym krzyżykiem na białej szyjce i małemu złotemu poganinowi z obrzydliwym bożkiem porcelanowym pod bluzą.

Długo mieszkańcy San Francisco wspominać będą tragiczne wypadki, które zaszły w owym roku: tłum, jakby pod wpływem szału, rzucał się na obcych przybyszów — dla tej jedynie przyczyny, że należeli do innej rasy, że wyznawali inną religję, że mieli inną barwę skóry, że wreszcie pracowali na chleb za to wynagrodzenie, jakie im dawano, jakie otrzymać mogli. Rzeź trwała dwa dni; i znaleźli się obywatele do tego stopnia małoduszni, że w wypadkach tych widzieli zapowiedź końca świata; znaleźli się wysocy urzędnicy do tego stopnia nierozumni, że paragraf konstytucji, zapewniający wszystkim poddanym równe prawa obywatelskie i religijne, nazwali błędem politycznym. Na szczęście jednak

byli i mężowie, którzy się nie dali tak łatwo zakrzyczeć, lecz tak energicznie wystąpili przeciw tłumowi, że w ciągu 24 godzin zapanował spokój.

Podczas tych wypadków otrzymałem od Hop Singa list z prośbą, ażebym bezzwłocznie przybył do niego.

Sklep jego zastałem zamknięty i pilnie strzeżony przez liczny zastęp policjantów. Gdym wszedł przez zabarykadowane drzwi do wejścia, od jednego rzutu oka na twarz Hop Singa poznałem, że zająć musiało coś ważnego. Nie mówiąc ani słowa, ujął mnie za rękę i przeprowadził do piwnicy, tej samej, w której przed kilkunastu laty byliśmy świadkami przedstawienia. Mimo skąpego oświetlenia, dojrzałem na podłodze jakiś przedmiot, nakryty suknem. Gdym się doń zbliżył, ściągnął Hop Sing szybkim ruchem sukno — przed nami leżał wyciągnięty, martwy... poganin Wan Li.

Tak jest, martwy, ukamienowany na śmierć przez gromadkę dzieci chrześcijańskich na ulicach San Francisco roku 1869!

Dotknąłem z poszanowaniem piersi nieszczęśliwego: pod bluzą namacałem coś twardego. Rzuciłem pytające spojrzenie na Hop Singa. Wsunął rękę między jedwabne fałdy bluzy i z pierwszym gorzkim uśmiechem, jaki mi się zdarzyło widzieć na twarzy ucziwego poganina, wy dobył jakiś mały przedmiot.

Był to porcelanowy bożek Wan Li, strzaskany kamieniem, rzuconym ręką chłopca chrześcijańskiego.

Najśmielszy pomysł społeczny.

(Republika dzieci występnych).

Pewien podróżnik angielski żywo opisuje zdziwienie swoje gdy go przyjaciel zawiózł bez żadnych uprzednich wyjaśnień do miasta Freville w Stanie New-York Ameryki Północnej. Istotnie powód zdziwienia był niemały. Przy wjeździe na komorze rewidował im rzeczy wyrostek, w urzędzie miejskim karty wejścia na uroczystość państwową wydawał im wyrostek, podczas uroczystości krzesła przydygalne, miejscu honorowe i mównice zajmowali również wyrostki.

— Co to jest, co to znaczy? — pyta zdziwiony podróżnik. — Jaką rolę grają tu te dzieci, chłopcy i podlotki?

— To prezydent tutejszej republiki, to senatorowie, deputowani, urzędnicy, obywatele i obywatelki.

Miasto, albo raczej osada Freville, jest stolicą republiki niezależnej, samodzielnej, zamieszkałej przez dzieci. Stanowi ona nadzwyczajnie śmiało i nadzwyczajnie udane doświadczenie społeczne. Gdyby nie zapewnienia ludzi wiarogodnych, gdyby nie opisy szczegółowe i fotografie, trudno było by wprost uwierzyć, iż coś podobnego istnieje. Tylko Amerykanin mógł coś podobnego pomyśleć, tylko w Ameryce mogła się myśl równie zuchwała urzeczywistnić.

Republika Freville'ska ma własny rząd, własne prawa, policję, więzienia, hotele, banki, sklepy, dzienniki i t. d.

Trzeba poznać jej dzieje i jej organizację.

Republika dziecinna liczy ledwie kilka lat wieku. Organizatorem jej był mieszkaniec New-Yorku, sir William George. Zawsze interesował go los małoletnich zbrodni-

rzy, szczególnie tych, których sąd i opinia piętnuje na całe życie mianem niepoprawnych. Chodząc po wielkich ulicach olbrzymiego miasta rodzinnego, patrzył z boleścią na gromady dzieci i wyrostków, pobawionych wszelkiego wychowania, nawet opieki wszelkiej. Giną bez ratunku, staczają się w otchłań nędzy i występku. Życie jest nieszczęściem dla nich, a oni nieszczęściem dla ogółu.

Czy tak być musi?



Prezydent i jego gabinet.

Amerykane są płodni w pomysły, a twardzi, gdy pomysł zrobią postanowieniem.

Pierwsza próba George'a polegała na tem, żeby wyrwać nieszczęśliwe i występne dzieci z fatalnych warunków życia wielkomiejskiego i przenieść na wieś. Ale się ta próba nie udała.

Wtedy zrodziła się w głowie George'a myśl państwa dzieciennego. Wyprosił u rządu Stanu New-York kawał ziemi, wyłowił w mętach miejskich 50 łobuzów obojej płci —

przysła ofiary więzień lub nawet szubienicy, i oddał w ich ręce maleńką republikę, pozwolił im robić, co sami zechcą.

... o cudo!.. wiarogodni świadkowie zapewniają najsołenniej, iż wszyscy ci znarowieni oberwańcy, zostawszy obywatelami „republiky dziecinnej“, przedzierzgałi się w porządnym, lojalnym obywateli.

Gdy jednego z nich, znanego poprzednio ze skłonności do kradzieży, zapytano: „powiedz Jim, kiedy zdecydowałeś się zostać porządnym człowiekiem“, odpowiedział bez namysłu: „gdy zostałem obywatelem republiki“.

Terytorjum republiki zajmuje zaledwie 100 akrów, t. j. około 70 morgów ziemi ornej i łąk, republika więc ma własne zapasy zboża, siana, jarzyn i t. p., a także dostateczną ilość koni, bydła i trzody.

Główna osada republiki ma zaledwie dziesięć zwyczajnych budynków drewnianych, mianowicie dwa domy mieszkalne, jeden dla chłopców, drugi dla dziewczynek, gmach republiki, w którym mieszczą się biblioteka, kuchnia ogólna, restauracje i hotele, budynek szkolny, bank i magazyny republiki, gmach rządowy, gdzie znajduje się sala sądowa, więzienie, kapitol i poczta; więzienie kobiece; szpital, magazyny zbożowe, pralnia publiczna i łaźnie; skład maszyn, instrumentów i narzędzi. W ostatnich czasach zebrano składki na kaplicę.

Obywatelami republiki mogą być dzieci od lat dwunastu do osmnastu; dzieci, liczące mniej, aniżeli 12 lat wieku, uważają za obywateli niepełnoletnich i nie posiadających wszystkich praw; nad każdym z nich czuwa dozorca, wyznaczony przez rząd z liczby starszych obywateli. Dozorcy ci po większej części odznaczają się rozsądkiem w postępowaniu, taktem, przychylnością i troskliwością względem młodszych współobywateli. Gdy niepełnoletni obywatel nie potrafi zapracować na swoje utrzymanie, dozorca jego musi opiekować się nim tak, aby państwo nie ponosiło ciężaru wyżywienia małoletnich.

Republika liczy obecnie osmdziesięciu sześciu obywateli.

Rząd miniaturowej republiki wzorowany był na Stanach Zjednoczonych. Republika dziecinna miała także swego prezydenta (pierwszym prezydentem był sam Jerzy Młodszy, założyciel republiki, później prezydent wybierany bywał z pomiędzy obywateli) z pensją 50 centów, t. j. około rubla na tydzień, gabinet ministrów, senat, Izbę deputowanych i sąd najwyższy. Sędziowie, urzędnicy policyjni i inni, zdają odpowiedni egzamin, dla tego też w bibliotece jedną z najwięcej zużytych książek, bywa zawsze „Zbiór praw i przepisów karnych Stanu New-York“.

Pierwszym i zarazem głównym warunkiem, niezbędnym do otrzymania urzędu, jest dobre, bez najmniejszego zarzutu sprawowanie kandydata. Dla tego też prawo noszenia kolorowego lampasu na spodniach, jako oznaki urzędnika, jest przedmiotem gorących życzeń każdego z członków republiki. W 1896 r. dla utrzymania należytego porządku między obywatelami republiki potrzeba było czternastu policjantów; obecnie okazała się dostateczną liczba dwóch. Republika posiada maleńką armję, inspektora szkół, dozorcę więzienia i t. p.

Z biegiem czasu system rządu reprezentacyjny został uznany za niewłaściwy dla republiki, i na skutek wniosku jednego z młodych obywateli, miejsce jego zajęło Zgromadzenie Ogólne, któremu przyznana została władza prawodawcza.

I tu mali obywatele nie ustępują dorosłym, gdyż dzielą się na partje polityczne. Istnieją w „republice Jerzego Młodszego“ dwie partje: partja rządu dobrego i wielka stara partja. Prawo głosu mają zarówno chłopcy i dziewczęta, które stanowią tu większość.

Postanowienia Zgromadzenia Prawodawczego wnoszone zostają do „Księgi Praw Republiki Jerzego Młodszego“ i wykonywane bywają jak najgorliwiej. Gdy prawo jakie okaże się niewykonalnem, zostaje zniesione. Zgromadzenie wchodzi się na prawach Stanu New-York.

Na uwagę zasługuje okoliczność, że prawa w republice dziecinnej są surowe; młodzi prawodawcy w rzeczach moralności wcale nie żartują.

Pijaństwo ścigane jest i tępione energicznie. Palić niewolno, biada temu nawet, od kogo czuć tytoń. Gra wszelka, czy to w karty, czy w kości—zakazana i ciężko karana. Pierwszy, którego złapano na gorącym uczynku gry, piastował godność senatora—to go ani zasłoniło, ani złagodziło surowości kary: odarto go z godności i kazano tłuc kamienie za 5 centów (10 kop.) dziennie.

Innego senatora skazano na zapłacenie 25 dolarów kary za strzelanie do ptaków pożytecznych. Pomimo wysokiego urzędu, chłopak nie chciał się poddać prawu i odmówił płacenia kary. Za to go pozbawiono nie tylko godności, ale praw obywatela i posłano do ciężkich robót. Po kilku dniach krnąbrny chłopak został złamany: „Poddaję się—zawołał—prowadźcie do banku, zapłacę karę“.

Co więcej, surowo są karane wszelkie przekleństwa, słowa obraźliwe i nieprzyzwoite. Początkowa kara dochodziła do 3 dolarów, później zniżyli ją na dolara.

Wogóle kodeks karny republiki nie żartuje, i więzienie nie jest bynajmniej zabawką, jak by się zdawać mogło. Składa się z wązkich ciasnych cel z okienkiem pod samym sufitem, z mocną kratą żelazną w oknie i twardym tapczanem. Pokarm jak najskromniejszy. Nad więzieniem znajduje się sala sądowa z wysoką estradą dla sądu i ławą oskarżonych.

Posiedzenia sądu odbywają się z całą powagą i surowością. Wszystkie za i przeciw roztrząsane bywają jak najgorliwiej, i wyroki odznaczają się zupełną bezstronnością. Raz jeden tylko zdarzył się wypadek przekupstwa i sędzieja, winny tego przestępstwa, był zrzucony z urzędu, ukarany podług prawa i został przedmiotem pogardy wszystkich współobywateli.

Że kary i więzienie są niezbędnie potrzebne, dowodzi zdanie jednego z chłopców, po odsiedzeniu kary.

„Rozważyłem wszystko i doszedłem do przekonania, że być złym kosztuje drożej, aniżeli być dobrym. Proszę pomyśleć: trzeba pracować za dwóch bez żadnego za pracę wynagrodzenia, spać w ciasnej dziurze na twardym tapczanie, jeść suchy chleb i być pod strażą. Tymczasem, gdy

chcesz być dobrym, pracuj tylko i wtedy zarobisz dużo pieniędzy, spać będziesz w wygodnym łóżku i jeść smaczne obiady. Namysliłem się dobrze w więzieniu i przekonałem się, że niema wyrachowania być złym. Będę teraz innym“.

Przyznać trzeba, że więźniowie republiki dziecięcej żywią dla dozorczy swego głęboki szacunek. Zupełnie inaczej, aniżeli lokatorzy naszych więzień.

Wogóle w republice panuje taki porządek wzorowy,



Izba deputowanych.

jaki byłby pożądanym w każdym wielkiem państwie. Godną podziwu jest pracowitość obywateli, która może służyć za wzór. Dewizą republiki jest „Nic bez pracy“, i każdy obywatel lub obywatelka muszą pracować odpowiednią ilość godzin dziennie, aby zarobić na odzież, utrzymanie i mieszkanie.

A pracy nie brakuje: trzeba drogi utrzymać w porządku, trzeba kopać kanały, wznosić i reperować budynki, trze-

ba je szorować i czyścić, trzeba orać, bronować, siał, pleć, polewać, zbierać, trzeba hodować bydło, świnie i t. d. W republice, jako instruktorzy, znajdują się dorośli dwaj fermerzy, cieśla i ekonom; płaca dzienna wynosi $\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$ dolara (1—3 rub.). Wypłata odbywa się co tydzień.

Zgodnie z dewizą, mali obywatele nie znoszą próżniactwa; prawa republiki surowo karzą żebractwo i próżniactwo.

Dawniej biedni i nieszczęśliwi żywieni byli na koszt państwa, w sposób bardzo poniżający: przy oddzielnym stole, bez nakrycia otrzymywali zupę i chleb, prawie tak, jak aresztanci w więzieniu. Pomimo tego, byli malcy, którzy woleli próżnować. Wtedy jeden z senatorów republiki, którego rodzice także w swem rodzinnem mieście żyli z dobroczynności publicznej, wniósł na Zgromadzeniu Prawodawczem projekt prawa stanowczego, że „ten, kto nie pracuje, nie powinien jeść“. Tym sposobem próżniacy pozbawieni zostali prawa i możliwości żyć z miłosierdzia, współobywateli. Za to wszyscy chorzy otrzymują bilety na bezpłatne wykwinntne obiady.

Zgromadzenia obywateli republiki dziecięcej, czyli meetingi, na których i obecnie zatwierdzane i wydawane bywają prawa, przedstawiają widok bardzo ciekawy i interesujący.

Czasami w ciągu tygodnia odbywa się ich kilka. Mnóstwo rozmaitych praw przeprowadza się tu lub odrzuca. Rozprawy ciągną się czasami do nieskończoności — w rezultacie jednak następuje zgoda, i mniejszość poddaje się zawsze uchwałam większości.

Na jednym z takich meetingów przeprowadzony był niedawno bill, który sprawił taki ruch, jakiego republika jeszcze nie widziała. Sprawa była tego rodzaju. Jeden z obywateli postawił wniosek oznaczenia 8-godzinnego dnia pracy dla wszystkich zajęć, nie wyłączając szkolnych. Wniosek przyjęty był przychylnie przez wszystkich obywateli, gdy nagle podniosły się dziewczęta i oświadczyły, że one muszą pracować dłużej, aniżeli 8 godzin, gdyż na nich ciąży obowiązek podawać do stołu, sprzątać naczynia i t. d.

Rozpoczęto głosowanie, w rezultacie okazało się, że chłopcy byli za wnioskiem, dziewczęta — przeciw. Powstał tumult, w końcu niespodzianie dziewczęta zmieniły zdanie i głosowały za wnioskiem, tak, że prawo jednogłośnie uchwalonem zostało. Wtedy dziewczęta opuściły salę posiedzeń, wołając: „Teraz więc zostaniecie bez kolacji! Wszyscy bez kolacji! My także pracować będziemy tylko 8 godzin. Hura! niech żyje nowe prawo!“

Wesołe miny chłopców, tryumfujących ze zwycięstwa,



Armja.

wnet posmutniały. Odezwały się nieśmiałe głosy o odwołaniu prawa — lecz było zapóźno, prezydent bill zatwierdził.

Tymczasem obłudne córki Ewy ustąpić nie myślały. Wesołemi gromadkami, z głośnym śmiechem i żywą giestykulacją, krążyły po ulicy, drażniąc chłopców wołaniem: „Bez kolacji, bez kolacji!“

Sprawa wzięła zupełnie niespodziewany obrót. Nikt nie chciał zostać bez kolacji. Nadeszli także robotnicy i powiększyli tumult, dopominając się o kolację, na którą przecież zarobili męczącą robotą w polu.

Niecierpliwi niewytrzymali i uderzyli w dzwon, zwołujący obywateli na nowe zgromadzenie. Na zgromadzeniu jeden z członków, odznaczający się niezwykłym apetytem, postawił wniosek o natychmiastowe odwołanie prawa.

Po długich i burzliwych obradach, podczas których nie obeszło się bez interwencji naczelnika policji, bill o 8-godzinnym dniu roboczym został odwołany...

Jednak — kolacji dnia tego nie było. Trzeba jednak przyznać dziewczętom sprawiedliwość, że i one kolacji nie jadły. Kto miał w kieszeni pieniądze Stanów Zjednoczonych, brał pozwolenie na przejście granicy republiki, po otrzymaniu którego, pędził do najbliższego sklepu po wiktuały. Niektórzy zadowolnili się chlebem i cebulą, byli i tacy, co spać poszli z pustymi żołądkami.

W republice dziecięcej pieniądze Stanów kursu nie mają — republika ma swoją własną monetę. Są to cienkie blaszki ze stemplem republiki, przedstawiające wartość 1 dolara do 1 centa. Celem zamiany pieniędzy tych na monetę Stanów, istnieje Bank Państwa, który przyjmuje także wkłady na 2%. Każdy obywatel, o ile potrafi złożyć sobie oszczędności, opuszczając republikę, może otrzymać wkład swój w pieniądzech Stanów Zjednoczonych.

Wkłady bywają czasem dość znaczne, gdyż przy zamalowaniu do pracy, w republice łatwo zarobić stosunkowo znaczniejsze sumy. Nie istnieje tam paląca kwestja zrównoważenia podaży i popytu — pracy tam dość, o ile tylko są chęci. Niektórzy młodzi obywatele, przekładający interes niezależny, na własne ryzyko otwierają pracownie krawieckie, zakłady cyrulnicze i t. d. Pewien chłopiec 13-letni, przyciśnięty przez właściciela hotelu, któremu winien był za mieszkanie, ogłosił zamiar wygłoszenia szeregu odczytów. Pomimo wysokiej ceny wejścia, np. za odczyt pojedynczy po 50 centów, a za cały kurs — 1 dolara, sala hotelowa, była przepelniona na wszystkich trzech odczytach, i chłopiec zebrał ładną sumkę.

Inny chłopiec, zwolennik nauk przyrodniczych, zebrał komplet owadów, gniazd i t. p., lecz zbiór jego nie pozyskał uznania kolegów. Pewnego razu przyrodnik ów ogłasza

o otwarciu muzeum. O godzinie naznaczonej tłum ciekawych stał już przy wejściu, z biletami w rękę, oczekując kolei. Gdy drzwi się otwarły, malcy zobaczyli tę samą kolekcję entymologiczną, na którą dawniej uwagi nie zwracali. Ponieważ jednak wejście zapłacili, chcąc nie chcąc, wysłuchali uważnie objaśnień młodego właściciela muzeum i w końcu uznali, że muzeum zwiedzić warto.

Wszyscy obywatele republiki obojga płci mieszkają albo w niewielkich domkach, ściśniami kófkami, lub też mieszczą się w hotelach, których w republice jest dwa: jeden pierwszorzędny: „Hotel Republiki“ i drugi skromniejszy „Hotel Waldorf“.



Banknot i moneta republiki.

W Hotelu Republiki są dwa rodzaje numerów i pensjonatu. Do obiadu za 25 centów dodaje się obrusy i serwety, krzeselka, od czasu do czasu ciastko do herbaty lub słodki pieróg; za niższą zapłatę otrzymuje się skromniejsze obiady i skromniejsze nakrycie. Mieszkania w Hotelu Republiki są także rozmaite, począwszy od dużych, eleganckich numerów z szerokimi łózkami, frankami i obrazami, a kończąc na skromnych pokojach, których całą ozdobę stanowi... powietrze i światło słoneczne.

W Hotelu Waldorf niema oddzielnych numerów, lecz tylko jedna wielka sala z szeregiem łóżek i drewnianych ku-

ferków obok na rzeczy lokatorów. Tu zwykle zamieszkują ci, których do ruiny doprowadza lenistwo, lub też zamiłowanie do przysmaków, łakoci i zabaw w czasie roboczym.

Właściciele hoteli bardzo dbają o porządek i wzorowe utrzymanie zakładu, gdyż rząd za najmniejsze w tym względzie uchybienie surowe nakłada kary.

Obywatele obowiązani są ściśle przestrzegać czystości i porządku osobistego. Za podartą i poplamioną odzież, winni podlegają karom; wogóle każdy nieporządek i brak czystości uważane są za „szkodliwe dla zdrowia publicznego“.

Niedawno z zadziwiającą jednomyślnością zatwierdzone zostało prawo, obowiązujące każdego obywatela bez różnicy płci używać kąpeli i łaźni dwa razy w tygodniu; niezachowanie tego rozporządzenia karane bywa aresztem.

Bardzo jest ciekawą i jedyną w swoim rodzaju gazeta „Obywatel Młodej Republiki“. Wydaje ją jeden z malców. Wszystkie artykuły drukują się w takiej formie, w jakiej je dają autorowie, bez żadnej zmiany w stylu lub ortografii. Ponieważ w republice swoboda słowa jest nieograniczona i autorom nie grozi żadna odpowiedzialność za wygłaszanie swych zdań, w gazetce trafiają się bardzo ciekawe artykuły, które mogą zainteresować nawet i dorosłych. Na szpaltach „Obywatela Młodej Republiki“, co miesiąc zamieszczane bywają różne sprawozdania rządowe, co stanowi część urzędową gazety.

Istnienie pracy ma wielki wpływ na rozwój umysłowy obywateli. Przytem godziny, spędzone w szkole, liczą się za płatne godziny pracy.

Tolerancja religijna zupełna, jednak religja znajduje się pod opieką rządu, i wychowanie ma charakter religijny.

Jednym słowem „Republika Jerzego Młodszege“ jest nie tylko pięknem usiłowaniem, lecz zarazem pomyślnem przedsięwzięciem. Każdy, kto tylko miał sposobność badać uważnie porządki i obyczaje małej republiki, nabiera przekonania

nia, że założona została na silnych podstawach i zorganizowana mądrze.

Na wzór jej, powstało już kilka podobnych republik w rozmaitych miejscach Stanów Zjednoczonych.

Pomimo, że dzieci wogóle czują nienawiść do zakładów poprawczych, do republiki swej przywiązują się szczerze i po wystąpieniu z liczby jej obywateli, powracają często, aby spędzić tam wakacje letnie.

A czy słyszał kto, aby jakikolwiek z wychowañców zakładów poprawczych chciał powrócić tam dobrowolnie, dla przyjemności, jak do gniazda rodzinnego, drogiego miłymi wspomnieniami?! Zdaje się, że nie...

Jak powstają miasta w Ameryce.

Nie odrazu Kraków zbudowano—mówi przysłowie; nie da się ono jednak zastosować do miast Nowego Świata. W istocie bowiem zdarzało się, że w przeciągu niecałych pięciu tygodni synowie wolnej Ameryki obmyśliли i wystawili miasto całkowicie na 5,000 mieszkańców tam, gdzie przed kilku jeszcze laty była pusta równina, zamieszkała przez Czerwonoskórych. W mieście tem odrazu było wszystko, nawet bank, dziennik i teatr.

Po latach kilku pysznić ono się już może kolosalnemi domami, po'obnemi do gmachów w New-Yorku, lub Chicago, których damy ciekawe fotografje. Są to budowle olbrzymie, w przeciągu dni kilkunastu wyrastające z ziemi i strzelające wysoko ku sklepieniu niebieskiemu.

Opisy tych „domów olbrzymich“ wraz z odnośnemi rycinami służyć mogą niejako za uzupełnienie artykułów naszych o zwierzętach i drzewach olbrzymich, pomieszczonych w zeszytach miesięcznika za czerwiec i lipiec r. b.

Czem się odznacza lud amerykański?
Energją i przedsiębiorczością.

Zdania takie piszą Amerykanie w podręcznikach szkolnych, aby przeświadczenie o tem wpoić w dzieci swoje. A pisząc tak, nie przechwalają się zbyt.

Nie należy jednak mniemać, że zalety te stanowią właściwość ich rasy, niema bowiem rasy amerykańskiej. Ludność Stanów Zjednoczonych powiększa się jedynie przez immigrację; napływają tam zarówno Niemcy, jak Francuzi,

Włosi, jak Anglicy: Europa wysyła tam nadmiar swej ludności.

Ruchliwość Amerykanów inne ma przyczyny. Pochodzi z tamecznych warunków życia. Mają do rozporządzenia kraj nowy, dający ogromne środki, dotychczas nie wykorzystane. Muszą sobie wszystko tworzyć na nowo. Widzą przed sobą obszerne pole pracy, zapewniające wspaniałe widoki na przyszłość szczęśliwą. Dodajmy, że pochodzą głównie z ludu, pełnego sił żywotnych, i że w drugim lub trzecim pokoleniu te soki ludowe nie zdążyły się jeszcze za-



Domy olbrzymie New-Jorku.

Dzielnica Drukarska, gdzie mieszczą się gmachy wielkich dzienników amerykańskich „World,” „Sun,” „Tribune“.

tracić; pragną się wznieść, pójść w górę i zdobyć stanowisko w świecie. Ci zresztą, którzy wydalają się ze swego kraju rodzinnego do Ameryki, dają tem samem dowód, że mają żyłkę awanturniczą, że są pomysłowi i zdolni wszystko zaryzykować, by mieć dużo.

Takie są przyczyny tej gorączki czynu, jaka się objawia w Amerykanach. Uwidocznia się ona w obliczu ich, blasku oczu, uplastycznia w ruchach. Zarówno mężczyźni, jak kobiety, idąc ulicą śpieszą się. Nie lubią wyczekiwać.

Tramwaje kursują co chwila, a mimo to, ludzie się w nich tłoczą ustawicznie, nie zważając na to, że liczba miejsc jest ograniczona. Czego nie można dokonać siłą pary, dokonywa się za pomocą elektryczności. Amerykanie chcąc dać pojęcie o tym pośpiechu, mówią zazwyczaj: miasta u nas wyrastają z ziemi, jak grzyby. I to jest nietylko dobre porównanie, ale nieomal rzeczywistością. Jeżeli z jakiejś przyczyny potrzebne jest z dnia na dzień nowe miasto, to za jakąś cenę, miasto stanie nazajutrz gotowe.

A oto dokładny opis założenia Oklahomy, miasta wykreszonego i zbudowanego w przeciągu dnia jednego, 22 kwietnia 1889 r.

Można łatwo odszukać na karcie geograficznej miejscowość Oklahoma, w której mieści się obecnie miasto tej samej nazwy; znajduje się ona w samym środku Stanów Zjednoczonych, pomiędzy Stanem Colorado i Kansas, od strony północnej, a Teksas z południowej. Niegdyś stanowiła „schronienie indyjskie“, to znaczy, że Czerwonoskórzy, prześladowani ze wszelkich stron, szukali tutaj schroniska niedostępnego. Lecz wzrastająca nader szybko ludność amerykańska pożądała bez ustanku nowych obszarów. Postanowili więc w r. 1889 odebrać Indianom tę miejscowość i oddać ją osadnikom d. 22 kwietnia. Ci, co najpierwsi przybędą do danego pola czyli *claimy*, z góry oznaczonego, staną się jego właścicielami za nader małą opłatą.

Łatwo sobie wyobrazić gorliwość ludzkiej chciwości.

Z samego rana, a nawet o zorzy porannej, tysiące osób, ustawionych sznurem, czekało hasła. Najbogatsi siedzieli na koniach lub w powozie: za dobrego, szybkiego konia płacono ceny bajeczne. Ci, których nie stać było na kupno wierzchowca, biegli pieszo, obładowani tobołkami, usiłując konia dogonić. Amerykanie przewalili tych biegających ludzi *bumerami*.

Ponieważ kolej żelazna przecinała już wtedy tę miejscowość, przeto towarzystwo tej kolei czyniło przygotowania do przewózki 5,000 wychodźców, 1000 wagonów zajęto na pomieszczenie sprzętów i wszelkich zapasów. Pociąg zdobyty siłą, był przepełniony przez podróżnych, którzy umiesz-

czali się na dachach wagonów, albo na schodkach, a wielu czepiało się ścian. Rodziny osadników pozostały tymczasowo na miejscu, wybierając się później drogą powolniejszą na wozach, obładowanych materiałem budowlanym. Cały ten tłum niecierpliw, wrzaskliwy, rozgorączkowany, zdołano utrzymać w korbach ledwie z pomocą dwutysięcznego oddziału wojska.

O południu rozległ się huk armaty; było to hasło. Popychano się, tłoczono, potrącano i bito. Powstało niedająca się opisać zamieszanie, walka, zgiełk ogłuszający; kłęby kurzu okryły konie, cwałujące na przodzie, powozy osłaniała kurzawa. Były to istne wyścigi, w których uczestnicy cu-



Zwycięzcy obozują na stanowiskach.

Przysli mieszkańcy Oklahomy pilnują sardrośnie dsiałów, które zdobyli wyścigiem.

dów dokazywali; walka, mająca swych bohaterów. Jakaś młoda dziewczyna na rączym koniu zdobyła najlepsze miejsce; jakiś człowiek, dźwigający na plecach namiot, pokrowce, sprzęty, żywność na dwa dni, przebiegł dziesięć mil (angielskich) w przeciągu jednej godziny. Zawady, przeszkody, przypadki nie zdołały zatrzymać tych szaleńców; dążyli nieprzeparcie naprzód do celu — i wielu go dosięgło.

Lecz jakież niektórych spotkał zawód! Miejsce, jakiego pożąдали, zastali już zajęte. Ludzie, dawniej schowani na tym terenie, którym udało się ująć czujności policji, byli

rozumie się, pierwszymi przybyszami i zajęli wygodnie najlepsze stanowiska. Nastąpiła bójka o objęcie w posiadanie pozostałych części ziemi; padły trupy. Jakiś wychodźca, człowiek przezorny, przywiózł z sobą zapas trumien, które były przedewszystkiem potrzebne.

Osadnicy zdobyć musieli swe grunty walką ciężką, a teraz należało ich pilnować. Zwycięzcy obozowali na stanowisku. Wzniesli obóz tymczasowy, jako znak własności, usadowili się tam na dobre i nie ruszyli już z miejsca. Niektórzy z nich przyozdobili swe posiadłości zabawnymi napisami: *Keep off the grass* (nie dotykaj murawy); *This is mine, Eli* (to moje, Eli); *Dont monleey with the owner of this lot* (nie żartuj z właścicielem tej działki).

Inny jeszcze lepiej uczynił. Powiesił człowieka w środku swej zagrody i przyczepił mu do piersi taki znak: „Prawo własności musi być szanowane“. Wisielcem był zresztą tylko manekin, artystycznie wykonany. Ten żart osobiwy wywarł skutek.

Tymczasem nadeszły wozy, zawierające materiały budowlane. Tegoż jeszcze wieczora ustawiono liczne domy z tarcic. Miasto nazajutrz miało prawie taki sam wygląd, jaki przedstawia jedna z naszych fotografii, zdjęta po pięciu tygodniach. Założono bank z kapitałem 250,000 franków. Pismo codzienne *Oklahoma Herald*, zaczęło wychodzić tegoż dnia po południu, a tysiące ogłoszeń, rozrzuconych wśród osadników, podawało nazwiska i adresy nowopowstałych kupców i rękodzielników. Po paru dniach kilku osadników odprzedano swe działki po cenie złota. Notarjusze porobili majątki. Miasto liczy obecnie 5,000 mieszkańców.

Takich miast—grzybów nie mało się znajdzie w Stanach Zjednoczonych. Lecz nawet te, co nie wyrosły z ziemi, jak miasto Oklahoma, rozwinęły się z szybkością niemniej zdumiewającą.

Oto naprzykład Chicago, które pożoga straszliwa zniszczyła w r. 1871, drugiego dnia po katastrofie przedstawiało kupę gruzów. Wzięto się niezwłocznie do roboty. Przez kilka miesięcy zbudowano nowe miasto z wszelkimi udoskonaleniami, na jakie pozwala rozwój umiejętności. Utwo-

rzono piękne ulice, dające szeroki przystęp powietrzu i światłu. W r. 1893 wybrano Chicago jako miejsce odpowiednie na urządzenie słynnej wystawy kolumbijskiej. Obecnie bogaty ten gród stał się drugim miastem w Ameryce, a największym na świecie co do obszaru (37 kilometrów długości).

New-York nie przestaje również się powiększać; obejmuje obydwa brzegi rzeki i odnogi morskiej, która go dzieli; pochłania Brooklyn, z którym go łączy most olbrzymi; tworzy nowe dzielnice; przedłuża swe przedmieścia, zajmuje ogromną przestrzeń.



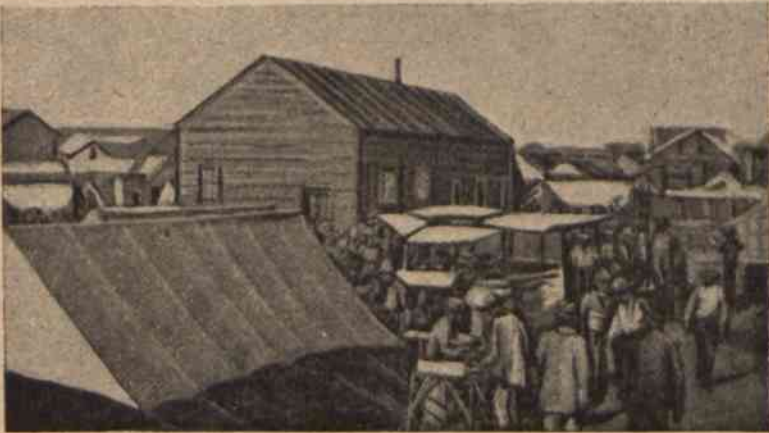
Założenie Oklahomy.

Rozległ się huk armaty. Osadnicy na to hasło, puścili się na nowy teren, jaki im wyznaczono.

Lecz miasta amerykańskie rozszerzają się nietylko na rozległość, ale i na wysokość; jest to nawet osobliwość amerykańska. Cudzoziemiec, przybywający do New-Yorku lub Chicago, wznosząc wzrok, zdumiewa się widokiem domów, wtrójnasób lub wczwórnasób przewyższających najwyższe gmachy europejskie. Te domy—olbrzymy, zwane *Tall Buildings* (wyniosłe budowle), są to wyłącznie domy handlowe, zajęte na banki i biura; niema w nich mieszkań prywatnych.

w Ameryce, jak we wszystkich krajach anglo-saskich, ludzie mają małe mieszkania: są to ogniska, zastosowane do potrzeb rodziny, bo każdy lokator zamożny woli mieć dom oddzielny, niżeli mieszkać, jak to się u nas dzieje, w apartamentach. Tym budowlom ogromnym nadano zabawną nazwę *Sky-Scratchers* („drapiące się ku niebu“).

Oto najwybitniejsze z takich budowli. W Chicago jest hotel *Audytoryjum*, któremu podobnego niema w całej Europie. Składa się z dwóch ogromnych budynków, połączonych galerją podziemną, oświetloną elektrycznością. Budynek główny ma 10 pięter i posiada nadto wieżę czworoboczną



Okolo biura podatkowego w Oklahomie.

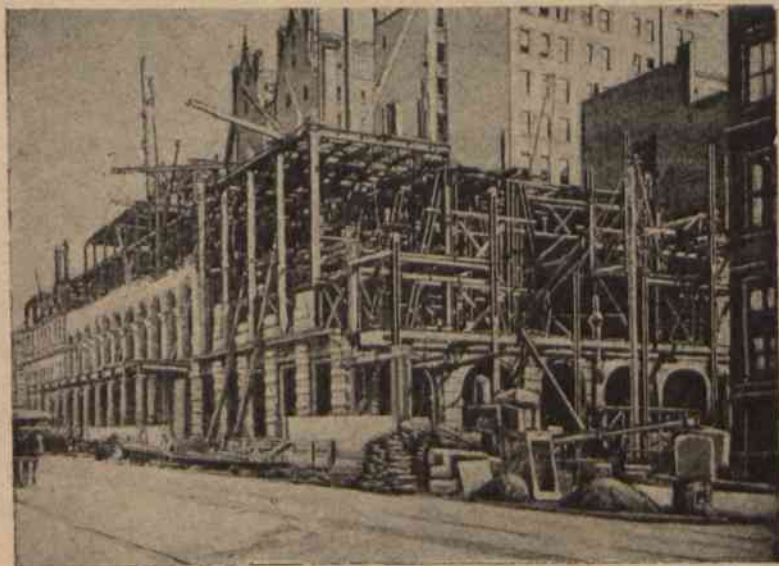
Osadnicy otrzymują tutaj dowody własności swych działów.

o 18 piętrach wysokości. Sala jadalna ma prawie 55 metrów długości. Wewnątrz hotelu znajduje się sala teatralna, mogąca pomieścić 4,000 osób.

Masonic Temple wysokości 92 metrów, liczy 21 pięter; budowa tego gmachu kosztowała 4 miliony rubli. Wszystkie piętra są zajęte na magazyny, z wyjątkiem jednego, na którym mieści się łoża masonska, właścicielka gmachu, oraz drugiego piętra, na którym mieszkańcy tego domu—miasta, skupieni pod jednym dachem, mają sale kąpielowe, składy

i czyścicieli butów. Zamiast schodów, czternaście wind jest ciągle w ruchu, podnosząc i spuszczać interesantów. Usługują przeważnie murzyni. Ten ruch, zamieszanie, drżenie gmachu, brzęk żelaza, gorąco duszne, światło elektryczne, wszystko to wywiera na przyjezdnego Europejczyka wrażenie ogromne i wyczerpujące.

Wymieńmy jeszcze *Facome Building*, *Reliance Building* 9 piętrowe, dom o 14 piętrach towarzystwa ubezpieczeń



Jak się buduje w N. Jorku dom olbrzymi w ciągu 6 tygodni.

Metalowy szkielek zapelnia się stopniowo kamieniem i cementem.

New-York, oraz *Fisher Building* o 18 piętrach i wysokości całkowitej 70 metrów.

New-York posiada obecnie znaczną liczbę takich domów kolosalnych. Aby sobie wyrobić pojęcie o ich wyniosłości, najlepiej zajrzeć do dzielnicy „Drukarskiej“, *Printing House Square*, położonej blisko mostu Brooklińskiego. Wyglądając przez okno jednej z sąsiednich nieruchomości, ma się przed sobą widok, jaki przedstawia jedna z naszych fotografii: na pierwszym planie stoi pałac sprawiedliwości i do-

my skromniejsze o kilku piętrach, w głębi zaś ukazuje się napiętrzona kopuła, należąca do pałacu dziennika *World*, przeszło 89 metrów wysokości. Dom ten przygniata swą przewagą najbliższy budynek gazety *Sun*, czteropiętrowy tylko, a wysoki na 21 metrów. Po prawej stronie jest dom dziennika *Tribune*, który dwadzieścia parę lat temu, gdy go



Hotel Astoria.

Ma sześćnaście pięter a 76 metrów wysokości nad ulicą.

budowano, uchodził za cud sztuki budowniczej; dom pisma *Times*, widoczny z brzegu po prawej stronie fotografii, panuje wyraźnie nad wszystkimi. Lecz to wszystko jest jeszcze niczem, w porównaniu z *American Tract Building*, sąsiadem *Timesa*. Korpus główny ma dwadzieścia pięter; nad temi 20

piętremi są jeszcze 3 inne; dach jest na wysokości 83 metrów po nad brukiem. Budowa tej ostatniej kamienicy pochłonęła około 7,000,000 funtów słupów i belek stalowych.

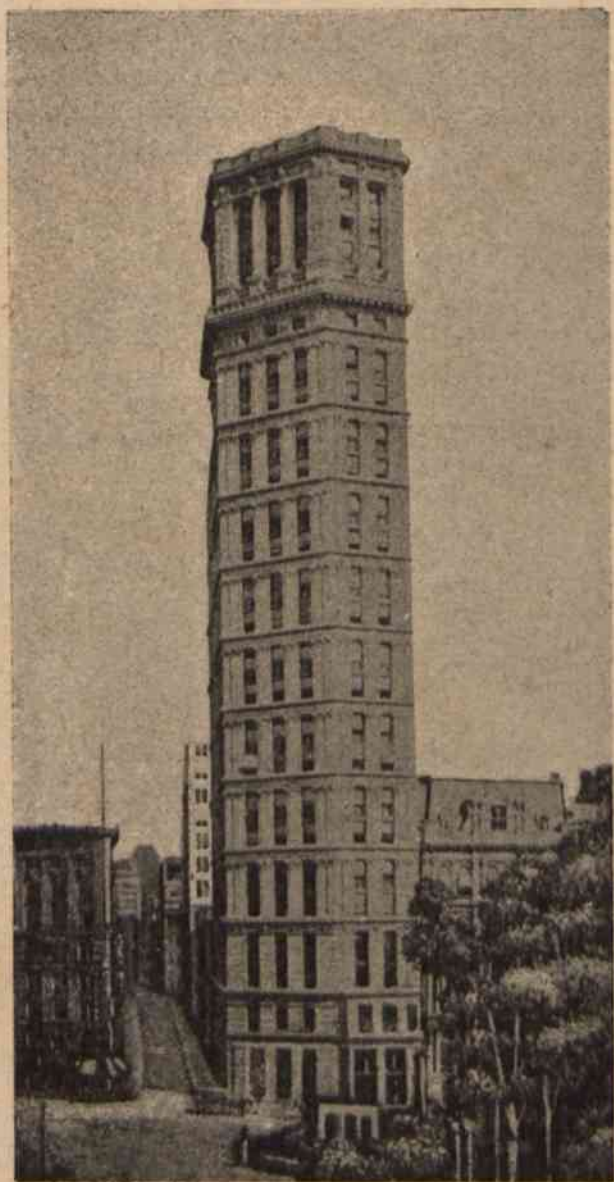
W dzielnicy handlowej, w okolicach ulicy Kupieckiej, Broadwayu, nie brak też gmachów odpowiednich.



Hotel Astoria.

Front ma 102 metry długości.

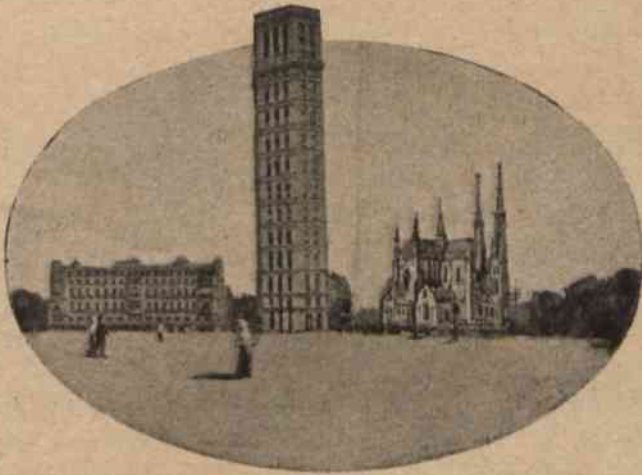
Naprzód idzie szereg hotelów dla podróżnych: *Savoy hotel* i *Nederland hotel*, zbudowane blisko siebie w r. 1893, a mające jeden 15 pięter, drugi 11. *Waldorf* ma tylko 12 pięter, powstał jednak w warunkach niezwykłych. Wzniósł go słynny milioner Astor, kosztował prawie 6 milionów ru-



„Saint-Paul Building.“

Ten dom olbrzymi liczy 25 pięter i ma 102 metry wysokości; fundament jego sięga 10 metrów w głąb ziemi.

bli, z których 1,500,000 rb. wydano na umeblowanie; zawiera 530 pokoiów; za niektóre apartamenty płaćą do 400 rub. miesięcznie. Personel służbowy składa się z 600 osób. Komunikacja odbywa się przy pomocy trzech szeregów schodów i sześciu wind. Do Waldorfu dodano niedawno nowy hotel: *Astoria*, o 16 piętrach, sięgających wysokości 76 metrów. Dwa jego fronty kończą się: jeden na 61, drugi na 102 metrach. Masa stali, użytej dochodzi 25 milionów funtów wagi. Urządzenie daje gościom cały postęp wykwintu współczesnego z wszelkimi udoskonaleniami w oświetleniu i wentylacji. Wewnątrz hotelu mieszczą się: teatr, kluby, salon



Porównanie wielkości.

Paryski dom pięciopiętrowy (z lewej strony), nowojorski S.-Paul Building (pośrodku), kościół S. Florjana na Pradze (z prawej strony).

do zebrań stowarzyszeń; na dachu znajduje się taras ogromny, przyozdobiony nader zbyt kownie.

Budynek towarzystwa ubezpieczeń na życie Manhattan, zwany *Manhattan Building*, wznosi się do 105 metrów po nad ulicą, a fundament jego sięga do 16 metrów w głąb. *Surety Building* jest wysoki na 95 metrów i liczy 21 pięter, fundament ma 21 metrów głębokości i dźwiga 8,500,000 funtów metalu. Na rogu Broadwayu wreszcie wznosi się *Saint-Paul*

Building, którego dajemy oddzielną fotografię, ponieważ jest to jeden z najwybitniejszych gmachów amerykańskich. Liczy 25 pięter, a fundament jego sięga 10 metrów w głąb. Najwyższy jednak dom w New-Yorku wznosi się w okolicy Park Row; korpus główny domu składa się z 25 pięter, stanowiących wysokość pionową 102 metrów, po nad tem wystają dwie wieże, z których każda ma 2 piętra; szczyt ich kopuły znajduje się na wysokości 118 metrów nad ulicą i 126 metrów nad fundamentem. Na to wszystko poszło 22,000,000 funtów stali, budowla zaś ogółem waży przeszło 120 milionów funtów.

W tych dniach wreszcie rozpoczęto w New-Yorku, na rogu Broadwayu i 33-ej ulicy budowę gmachu 30-piętrowego. Będzie to najwyższy dom mieszkalny na kuli ziemskiej; ile materiału zużyje i ile kosztować będzie, trudno jeszcze orzec; tymczasem dość zaznaczyć, że za sam plac zapłacono $2\frac{1}{2}$ miliona dolarów.

Jak ludzie doszli do budowania takich ogromnych kamienic?

Gdy się pomyśli o wadze nadzwyczajnej, jaką przedstawiają, łatwo pojąć, że zwykły sposób stawiania tutaj się nie nadaje.

Poczęto więc od ustawienia pewnego rodzaju kraty, zrobionej z belek żelaznych krzyżujących się, i zalano ją całą powłoką betonową. Całość tworzyła jakby podłogę o nadzwyczajnej wytrzymałości; na niej można już było wzniesić mury bezpiecznie.

Ściany te, całkowicie prawie metalowe, mogły mieć u spodu zaledwie 90 centymetrów grubości. Sądząc z pierwszego rzutu oka na *Tall Building*, trudno przypuścić, że ściany są z metalu: mają bowiem zupełny wygląd roboty mularskiej. Ta robota zewnętrzna jest jednak tylko złudzeniem. Dom składa się istotnie ze szkieletu belek metalowych znitowanych. Szkielet ten *przybierają* potem (w znaczeniu dosłownem) w płyty kamienia ciosowego, a nawet często w szerokie, płaskie cegły. Czynność ta zaczyna się wogóle na

kilku piętrach odrazu, i to zanim się skończy budowa szkieletu.

Często robota przybierania zaczyna się na najwyższych piętrach, schodząc stopniowo do ziemi; w ten sposób nie wala się dzieła już wykonanego.

Urządzając się tak, dochodzi się do cudów szybkości przy budowaniu tych kamienic; materiały przynosi się z fabryk zupełnie gotowe do ustawiania. Lokatorzy oczekują z niecierpliwością wykończenia domu, licząc każdy dzień zwłoki jako stratę pieniężną. Po dwóch lub trzech miesiącach nieruchomość o dwudziestu piętrach zajmuje miejsce starego domu klasycznego; przez kilka dni rozciąga się 100 lub 150 kilometrów drutu, potrzebnego na dzwonki, oświetlenie i telefony. Opowiadają, jako o nadzwyczajnym wysiłku, że *przez dwa tygodnie* zbudowano dziewięć pięter *Reliance Building*; lecz oto dokonano czegoś jeszcze bardziej uwagi godnego. W ciągu dwóch tygodni postawiono trzynasto-piętrowy *Fisher Building* w Chicago, a w pięć tygodni wykończono zupełnie budowę tej kamienicy kolosalnej, która sięga 70 metrów wysokości.

Jeżeli wypadnie wam kiedy czytelnicy napotkać w Stanach Zjednoczonych dom podróżujący, to niech to was nie zadziwi. Jeżeli znajdziecie na jednej ulicy taką samą budowlę, jaką widzieliście niedawno na innej ulicy, to nie sądzcie, że oko was myli lub pamięć: dom się przeniósł, a prawie codziennie spotyka się także kamienice „na przeprowadzce”. Czyż to dom musi pozostać na miejscu, gdzie go budowano? Podcina się mury przy samej powierzchni gruntu, podpira kamienicę belkami, tworzącymi platformę, umieszcza wszystko na walcach i idzie w drogę na lepszą dzielnicę!

Bądźmy jednak ostrożni w podziwianiu powszechnem, a bezwzględnem. Te domy olbrzymy prawdziwie można nazwać „potworami” sztuki budowlanej. Mają przedewszystkiem tę niedogodność, że nie dopuszczają powietrza, ani światła.

Co więcej, one są szkaradne. Można rozrzucić po nich

przepych bogatych materiałów i ozdób kosztownych, ale to nie przeszkadza im mieć wygląd nieprzyjemny.

W ogólności architekturze Stanów Zjednoczonych brak znamion piękna artystycznego. Amerykanie są nazbyt gorączkowi, a do wykonania rzeczy pięknych trzeba czynnika nieodzownego, czasu. Współdział czasu, wieki całe były pomocą przy budowie świątyń, pałaców, pomników, tego życia zaklętego w kamieniu starej naszej Europy. Nawet szczątki tych budowli zachowały przez wieki niezatarte znamię sztuki.

Nieprzyjaciele telegrafu.

Kiedy około połowy XIX wieku zaczęto w zachodniej Europie stawiać pierwsze słupy i przeciągać pierwsze druty telegraficzne, wielu ludzi kiwało poważnie głowami, wielu też uśmiechało się urągliwie lub głośno szydziło. Z każdym nowym wynalazkiem, zawsze i wszędzie, dzieje się podobnie. Nie ma na świecie jest mężów, którzy w naturze to mają, iż muszą zawsze głośić ponure przepowiednie i niewierzyć w nic dobrego; niebrak też amatorów udawania głębokiego rozumu przez zajadłe krytykowanie wszystkiego, czego nie znają i nie rozumieją. Gdy zaś zwycięstwo telegrafów było już zapewnione, wystąpił inny gatunek wrogów. Ci nie podawali w wątpliwość praktycznej użyteczności telegrafów, ale przewidywali straszliwe skutki szybkiej korespondencji w sferze stosunków religijnych, społecznych, politycznych, towarzyskich i t. d.

Dziś już o tych wrogach postępu pamięć nawet zagięła: jedni wymarli, inni zaparli się własnych czarnych proctw. A telegraf coraz gęstsza, coraz rozleglejszą siecią oplata ziemską kulę. Dociera na góry podniebne, przebiega pustynie olbrzymie, sięga do głębin morskich przepaści. W r. 1896, kiedy w Niemczech święcono 50-tą rocznicę założenia pierwszego telegrafu, było ogółem na ziemi 5,423,099 kilometrów linii telegraficznej, — drutem tym możnaby 134 razy okręcić ziemię wzdłuż południków. Prócz tego podmorskie linje wynosiły wtedy 252,000 kilometrów, t. j. 6 razy tyle, co długość równika! W roku owym na świecie było już 80 tysięcy biur telegraficznych, które wyprawiły i przyjęły 351 milionów depeesz. Od tego czasu wszystkie liczby znacznie urosły.

Ale na tem nie koniec. Bardzo być może, iż dziś jesteśmy w przededniu wielkiego powszechnego przewrotu w urządzeniach telegraficznych, co wyrzuci może skutki nieobliczonej doniosłości na całe życie współczesne. Prze-



Bawół, ocierając się, obala słup telegraficzny.

wrotem tym jest usunięcie drutu. W możliwość telegrafów bez drutu wierzy dziś wielu znawców, wszędzie robione są w tym kierunku usiłowania, a Włoch Marconi już osiągnął nawet pomyslnie rezultaty. Tymczasem są to tylko poszu-

kiwania i usiłowania, ale niepodobna niemal już wątpić, że nie dziś to jutro zostaną one uwieńczone skutkiem pomyslnym, a telegraf bez drutu zostanie doprowadzony do takiej



Niedźwiedź zrywa izolatory drutów.

doskonałości, iż go można będzie zastosować w szerokiej, powszechnej praktyce.

Ażeby ocenić doniosłość tego oczekiwanego i gorączkowo poszukiwanego wynalazku, przypomnieć sobie trzeba, ile milionów kilometrów (nie metrów lecz *kilometrów!*), drutu

zwykłego, ile tysięcy kilometrów kosztownego kablu podmorskiego, ile milionów słupów wymagają dzisiejsze linie telegraficzne. Niestłychane sumy pochłania urządzenie pierwotne, a olbrzymie pieniądze iść też muszą na utrzymanie. Kosztowność należy do najgorszych wrogów postępu. Słupy i druty zużywają się nietylko przez czas, nietylko wilgoć je niszczy, mają one licznych i silnych wrogów. Trzeba z wielkim nakładem bronić od nich telegrafy, trzeba niszczyielską robotę naprawiać.

Któż są ci wrogowie telegrafów?

Naprzód ludzie: w krajach cywilizowanych jest już dziś takich szkodników bardzo mało lub niema wcale, gdzie się zaś zdarzy zerwany drut lub wywrócony słup, ma to charakter psoty wyjątkowej, za to wśród ciemnych, przesądnych ludów Azji, Afryki, Ameryki, Australji znajdują się do obecnej chwili stali, rozmyślni szkodnicy. Indianie Ameryki północnej kradli początkowo słupy telegraficzne,—obecnie to prawie ustało, poczęści wskutek tego, że zawzięci Yankesi niezartem mścili się za taką kradzież, powtóre dla tego, że Indian coraz mniej, szczególnie w tych okolicach, gdzie dociera już telegraf. W Australji, w Afryce i w Ameryce południowej trzeba było ciężkie kary nałożyć na wodzów i królików plemion tubylczych za każde zepsucie linii telegraficznych, aby szkody stały się rzadsze i mniejsze. W Indjach azjatyckich ludność w wielu miejscach wyciąga kable z wody, tnie je i przesądnie wtyka w ziemię, jako rodzaj czarów, amuletów, czy talizmanów.

Chińczycy znowu zrywają druty telegraficzne, aby z nich robić gwoździe. Naturalnie w miarę, jak narody cywilizowane stają się coraz bardziej gospodarzami na całym globie, niebezpieczeństwo dla telegrafów się zmniejsza.

Następnie idą w szeregu wrogów telegrafu siły natury. Ktoś powiedział: „żywioły nienawidzą dzieł ręki ludzkiej”. Trąby powietrzne, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, wylewy, zasyпы śniegowe i t. d. często psują urządzenia telegraficzne; woda morska przegryza kabel, lub go przerywa, uderzając o występy skały. Doświadczenie i postępy techniki coraz lepiej umieją zabezpieczać się od tego wroga, niemniej wyrządza on ciągle dotkliwie szkody.

Trzecim, najgorszym bodaj wrogiem telegrafu są zwierzęta. W krajach mało zaludnionych, o niskiej kulturze, trzeba poprostu codziennie wojować z tym nieprzyjacielem: odpedzać go lub reperować jego sprawki.

Przedewszystkiem wymienić tu wypada *bawołu*. Zdać by się mogło, iż ten potężny rogacz upatrzył sobie coś

do słupów telegraficznych, wpada na nie, wywraca i odrzuca nieraz na kilometr i dalej. Nie robi on tego wcale z jakiejś złości, ani z nienawiści do kultury, lecz tak sobie, dla przyjemności. I co robić z takim jegomościem? Wyper-



Dziurawiec dziurawi słup telegraficzny.

swadować mu nie podobna, postawić na setkach i tysiącach kilometrów dostateczną straż zbrojną,—również nie można, nie ma też sposobu wznosić takich słupów, aby zdołały wy-

trzymać uderzenie siłacza. Probowano nabijać dolne części wielkimi gwoździami—na nic się nie zdało, przeciwnie: bawoły przedewszystkiem wyszukiwały słupów podobnych, bo gwoździe łechtały je tylko przyjemnie przez grubą skórę i skołtunione, zlepione żywicą kudły.

Po bawole idzie *niedźwiedź*. Bardzo niedawno pisma amerykańskie donosiły, iż nowa linja telegrafów, zbudowana w północnej części Stanu Maine, została zepsuta przez czarne niedźwiedzie, licznie żyjące w lasach tamecznych. Wdzierały się misie na słupy i... odgryzały porcelanowe izolatory! Oczywiście, nie jest to potrawa ani smaczna, ani strawna nawet dla niedźwiedzia, a jednak ma on do niej jakiś osobliwy pociąg, bo podobne szkody wyrządza i w Norwegji i w Rosji. Tłomaczą zaś to w sposób następujący: gdy wiatr wieje, niedźwiedź słyszy szelest drutów i bierze go za brzęk pszczół. A że jest amatorem miodu, więc węszy, szuka, dociera do wierzchołka słupa, bo ztamtąd dochodzi dźwięk ponętny; znalazłszy nieznanego sobie białego przedmiot, mniema, iż to tam ukryto przed nim przysmak.

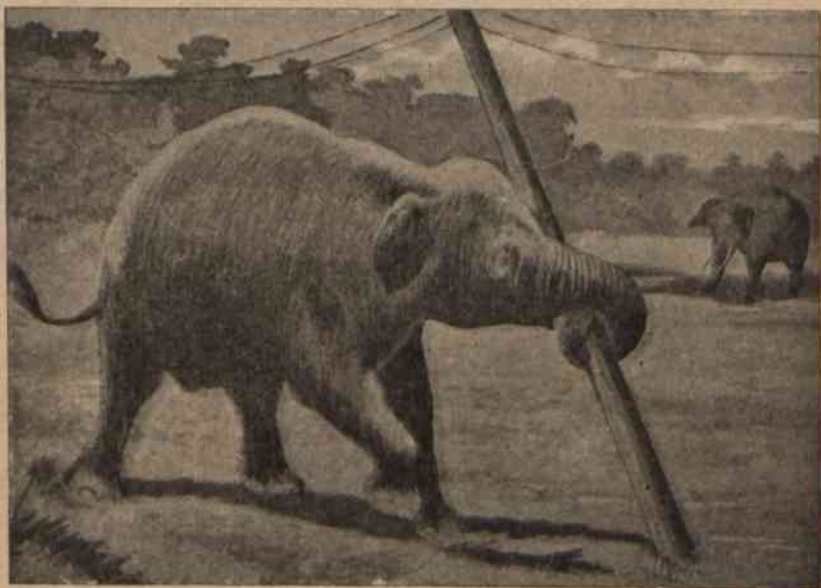
Podobnym złudzeniom ulega też *dzięcioł*. Jemu znowu szelest drutu wydaje się głosem owadów. Więc szuka ich w słupie, a nie znajdując, posuwa się coraz dalej, coraz głębiej. Wydziobuje sobie dziury, iż się słup przy pierwszym silniejszym wietrze łamie. Szczególniej gorliwy w tej robocie jest wielki dzięcioł norweski: dłubie nieustannie, dopóki słupa nie przedziurawi na wyłot. Należy też on do najgorszych wrogów telegrafu.

Nie lepiej obchodzi się z słupami telegraficznymi i amerykański jego kuzynek. Dzięcioły, znajdujące się w wielkiej ilości między Kalifornią a Meksykiem, mają zwyczaj wydziobywać sobie w jesieni w korze drzew dębowych i sosnowych otwory, w których składają następnie zapas żywności na zimę. Podobne właściwości odkryto niedawno u dzięcioła, żyjącego w okolicach nadmorskich. Ptaki te latają gromadnie nad morzem, gdzie wyszukiują pewien rodzaj ślimaczków morskich, ulubiony ich przysmak, które następnie ukrywają w wydziobanych w drzewach otworach, ażeby je w razie potrzeby spożyć. Przyniósłszy ślimaczka ukrywa go dzięcioł w otworze, poczem robi drugi otwór i odlatuje po nową zdobycz. Wybór pożywienia jest bardzo sprytny, ślimaczki te bowiem odznaczają się wielką wytrzymałością i żyć mogą długi czas w otworach drzew. Z wprowadzeniem komunikacji telegraficznej, przyszedł dzięcioł amerykański do przekonania, że do urządzania słupów żywności najlepiej nadają się suche i gładkie słupy

telegraficzne, niszczy też je okrutnie i niema możliwości, ażeby temu zapobiedz.

W Afryce wschodniej *żyrafy* zatruwają życie służbie telegraficznej. Wysokie te zwierzęta, sięgają głowami daleko poza druty telegraficzne, które w szybkim pędzie zrywają niejednokrotnie.

Pierwsza linja telegraficzna w Afryce wschodniej, idąca od Bagamoyo do Tanga, ulegała już w czasie budowy częstym uszkodzeniom przez żyrafy. Mimo długoletnie doświadczenie, nie nauczyły się zwierzęta te do dziś dnia unikać drutów telegraficznych. Szkoda, wyrządzona przez nie,



Stoń wrywa słupy.

jest bardzo dotkliwa, tem dotkliwsza, że niema sposobu zaradzenia złemu. Żyrafa w pędzie obala słupy, zrywa druty i biegnie dalej, ażeby za chwilę szkodę takąż wyrządzić w innym miejscu.

Ktoby się jednak spodziewał, że i używający powszechnie opinii rozumnego zwierzęcia, *stoń* należy również do wrogów telegrafów, że w Indiach niejednokrotnie wrywa trąbą swą setki, a nawet tysiące słupów telegraficznych. Jako arystokratą wśród zwierząt nie powoduje nim przy spełnianiu tej czynności żądza zdobyczy, jak to widzieliśmy

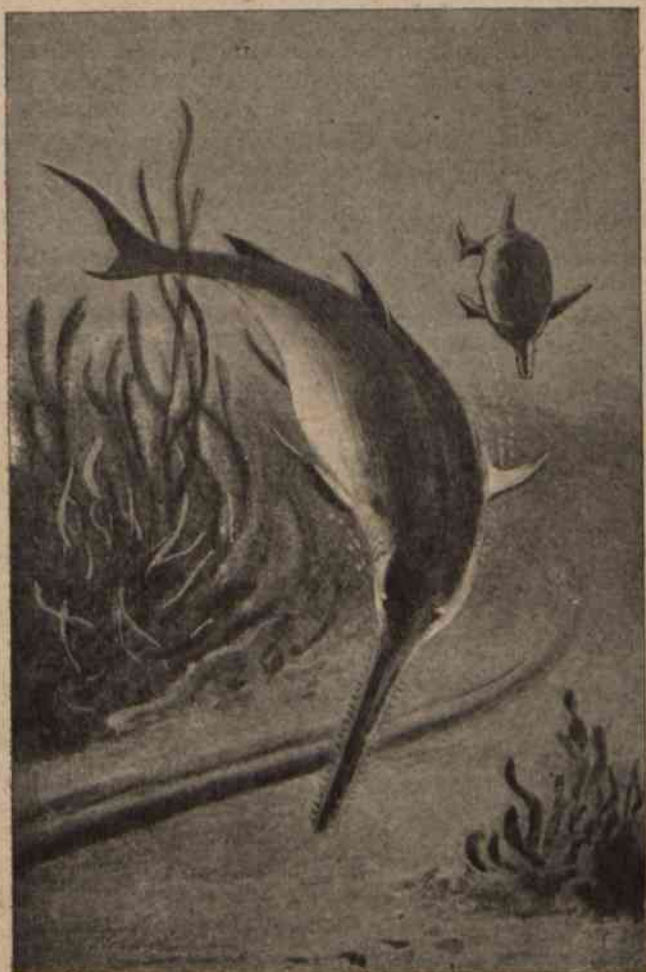
u niedźwiedzia, lub manja gromadzenia, jak u dzięcioła; uważa wyrywanie słupów telegraficznych jako szlachetną zabawę sportową. Ma on zwyczaj niejednokrotnie pozbywać się nadmiaru sił swoich w sposób wesoły i przyjemny, i uważa, że się słupy telegraficzne do tego bardzo dobrze nadają.

W porównaniu do wymienionych powyżej czworonogich, a nawet dzięcioła, są *mrówki* karlikami; a jednak w krajach podzwrotnikowych wróg to telegrafów większy, aniżeli wszyscy inni, razem wzięci. Zwłaszcza białe mrówki, tak zw. termyty, których potężne narządy gryzienia oszczędzają tylko żelazo i szkło, załatwiają się bardzo szybko z słupami telegraficznymi. A „mrówcza“ ta praca ich jest tak gwałtowna, że przez pewien czas wątpiono wogóle w możliwość utrzymania wielkiej australijskiej linii telegraficznej; mrówki niszczyły słupy tak szybko, że nie sposób było wprost zastępować ich nowymi. I dopiero powlekanie żelaznych słupów olejem kreozotowym zaradziło złemu. Z tego samego powodu wszystkie słupy telegraficzne na liniach afrykańskich powlekane bywają blachą stalową.

Niktby jednak nie przypuszczał, że nawet mały, nikły *pająk* jest w stanie zatruwać krew urzędnikom telegraficznym. A jednak tak jest w istocie; dzięki niemu komunikacja telegraficzna wstrzymana bywa nieraz na kilka godzin. Tak np. w Japonji urzędnicy telegraficzni zauważyli niejednokrotnie przerwę w prądzie, nie dającą się usprawiedliwić żadnem widocznem uszkodzeniem. Dokładniejsze badania stwierdziły, że przerwę spowodował... pająk. Zwierzątka te posługują się przy rozpinaniu delikatnej swej siatki nie tylko drzewami i krzakami, ale używają w tym celu także niskich stosunkowo słupów telegraficznych i drutów, przyczem ziemia i izolatory stanowią punkt oparcia dla przędzy. Siatka, gdy na nią padnie mgła, staje się doskonałym przewodnikiem elektryczności, przez który prąd uchodzi w ziemię, powodując przerwę w działaniu telegrafu. Władze telegraficzne w Japonji przedsięwzięły natychmiast środki celem zapobieżenia dalszym figlom ośmionogich zwierzątek: robotnicy, uzbrojeni w długie tyki bambusowe, obchodzili od czasu do czasu linję, usuwając delikatną przędzę. Małe jednak uszkodniki okazują większą sprawność w naprawie swych sieci, aniżeli robotnicy w usuwaniu ich; dotychczas też kwestja zapobieżenia szkodliwemu ich działaniu nie została zadawalająco rozstrzygnięta.

Telegrafy podmorskie są, rzecz prosta, mniej od lądowych wystawione na wpływy szkodliwe. Tam tylko, gdzie

zanurzają się w wodę, lub z niej się wynurzają, narażone są na uszkodzenia mniej lub więcej ciężkie przez ludzi i zwierzęta. Nie znaczy to jednak, ażeby kable podmorskie nie miały swoich wrogów; owszem, mają ich w najwięk-



Ryba „pita“ przecina linię telegrafu podwodnego.

szych nawet głębiach, i równie zawziętych, jak telegrafy lądowe. Gruba nawet powłoka z konopi i gutaperki nie chroni ich w zupełności. Pewien rodzaj grzechotek mor-

skich przegryza powłokę i obnaża drut, przez co prąd uchodzi w wodę; ryby uszkadzają również dość często powłokę izolacyjną. Przy zakładaniu linii od Pary do Kayenny zaszedł następujący wypadek. W chwilę po założeniu, telegraf już nie działał; gdy wydobyto kabel, znaleziono w licznych miejscach uszkodzenia, dokonane przez zęby ryb, tkwiące w powłoce. Podobne spostrzeżenia zrobiono i w innych miejscach; uszkodzenia te przypisują powszechnie gatunkowi ryby, noszącemu nazwę *pita*. Co tego potwora z rodzaju rekinów skłania do wyrządzania tych psot, niewiadomo, nauka bowiem jest w posiadaniu niewiele tylko szczegółów z jego życia.

Znane są również wypadki, że wieloryby, uwikławszy się w kabel, zrywały go. Najbardziej znany zaszedł w zatoce Perskiej. Okręt, który skutecznie miał naprawę uszkodzonego kablu, wyłowił wspaniały okaz nieżywego szkodnika, olbrzymiego wieloryba, który uszkodzenie przepłacił śmiercią.

Krótki ten szereg szkodników wystarczy do nabrania pojęcia, wiele pracy i trudu wymaga zabezpieczenie się przed nimi, usunięcie dokonanych uszkodzeń i utrzymanie prawidłowej komunikacji telegraficznej na tak rozległych linjach. A telegraf stał się już dziś nieodzowną potrzebą ludzkości.

Z. N.

Fakirowie indyjscy.

Nauka wnika coraz głębiej w liczne tajniki istoty ludzkiej, szczyjąc się nowemi zwycięstwami. A jednak ile jeszcze pozostało dla niej dziedzin nieznanych. Są tysiące zjawisk, których przyczyny nie pojmujemy. Do nich należą dziwy, jakie okazują fakirowie indyjscy, a w jakieby uwierzyć trudno, gdyby nie świadectwo wielu i wiarogodnych widzów. Podziwiać możemy jednak tylko fakty i porównywać z podobnemi, u nas dostrzeżonemi; istota ich pozostaje dotąd osłonięta cieniem tajemniczym.

Ciekawość i nadzieja rządzą głównie naszym umysłem i czynią nam życie miłym. Dla dziecka, którego dusza budzi się dopiero nieśmiało, wszystko jest przedmiotem podziwu; człowiek dojrzały, w miarę jak rozszerza swój krąg widzenia i pojmowania, widzi, jak przed nim szerzy się coraz większy zakres wiadomości, które spodziewa się osiąść w życiu dalszem. Czyż każdy nasz krok w życiu nie jest wysiłkiem w kierunku tej świadomości? Lecz nikt o tem nie myśli, że poza tem światłem naszym, ciemność panuje nieprzejrzana.

Życie społeczne podobne jest do życia jednostek ludzkich: nauka postępuje, oświata wzrasta, a mimo to nieświadomość wielu rzeczy nie ustępuje; to jednak nadaje naszemu bytowi ziemskiemu cechę szlachetności. Gdyby człowiek nie miał nadzieji, że z upływem czasu zdobędzie coraz więcej istotnej świadomości, to zubożenie na wszystko

zgasiłoby prędko płomień ideału, przyświecającego społeczeństwu.

Pomimo to człowiek winien się uzbroić w cierpliwość i miarkować swe pragnienie wiedzy, stanowiącej o całym postępie życia.

► Mając przed sobą nowe dziwy, niechaj je bada; poznawszy fakty, ma odtąd prawo szukać ich przyczyny. Często jednak nie dociecze przyczyny właściwej: lepiej wtedy wstrzymać się zupełnie od przypuszczeń nieuzasadnionych, niż zaprzeczać faktom lub zjawiskom, czy je ośmieszać. Coby powiedział najbardziej uczony encyklopedysta wieku ubiegłego, gdyby mu oświadczone, że po upływie lat stu ludzie rozmawiać z sobą będą na odległość tysięcy mil drogi, widzieć przez ciała nieprzezroczyste i żeglować pod wodą?

A tymczasem przy powszechnym rozwoju nauk, ile pozostało zjawisk niewyjaśnionych, które są prawie jak świat stare! Co mówić o całym tem życiu nadludzkiem, którego tajemnice znają już magowie wschodni, którem od przeszło 100 lat ludzie na nowo się zajmują, dając mu po kolei coraz inną nazwę: *magja*, *fakizm*, *magnetyzm*, *spirytyzm*, *hypnotyzm*?

To coś „nieznanego,“ które pomimo wysiłków nauki unosi się jeszcze nad wielu zjawiskami, jest zarazem przyczyną niezwykłego zaciekawienia, jakie wywołuje w naszej wyobraźni *spirytyzm*.

Nowi zwolennicy Mesmera ze szczególnem upragnieniem zwracają się ku Indjom, tej prastarej ziemi legend cudownych. Ztamtąd pochodzą opowiadania dziwne, które uważaćby należało za baśnie zmyślane, gdyby nie to, że podróżnicy, wojskowi, misjonarze, odwiedzający tę ziemię, obecnie otwartą od strony zachodniej, zapewniają, jako świadkowie bezstronni, iż widzieli to wszystko sto razy.

Indje przepełnia pewien rodzaj wędrownych żebraków, których Hindowie nazywają *Djorghis* (zamyśleni) lub *Tapasis* (surowi), Europejczycy zaś zowią ich fakirami, co po arabsku znaczy „biedni.“ Jako stronnicy *Sivy*, usiłują przez ascetyzm i cierpienia cielesne stać się świętymi, jak *Richi*, jak *Indra*, jak *Agastyja*.

Są biedni i pokorni. Jak księżę Budha, krążą po go-

ścińcach i zatrzymują się po wsiach, gdzie lud się zbiera koło nich.

Nie upominają się nigdy o pieniądze; rzucają im monety pod nogi, a oni, prawie nadzy, ubrani jedynie w sztukę tkaniny, jakby dla pokazania, że nie myślą o podstępie, — wykonywują czyny nieprawdopodobne. Samotni, bezdomni, pozbawieni rodziny, oddani wiernie świątyniom, gdzie składają zebrane pieniądze, są oni czczeni przez lud, który ich uważa za świętych.



Niektórzy fakirowie leżą tygodniami, miesiącami całymi na desce, najeżonej gwoździami.

Od niepamiętnych czasów przekazują sobie swe formuły, stanowiąc rodzaj stowarzyszenia tajemnego, mającego swych zwierzchników oraz przepis, obowiązujące. Jedni, *Djorgowie* są kuglarzami niesłychanej zręczności, wykonywują wszelkiego rodzaju sztuki kuglarskie, wtykają sobie do krtani długie laseczki, jak to pokazuje dołączona fotografia, i robią doświadczenia podobnie, jak u nas magicy najzwinniejsi. Inni, *Atta-Djorgowie* (mistrze), zajmują się pokazywaniem „cudów,” do których potrzebne są rozpamiętywa-

nia i ascetyzm najsurowszy, a które wywołują zapal bezgraniczny.

Przedstawmy sobie zbiegowisko gapiów, cisnących się do gadatliwego sztukmistrza, jakiego się u nas spotyka. Tam jest prawie ten sam obraz, lecz o wiele ciekawszy, dzięki niebu wschodniemu, które rzuca urok na wszystko, co oświetla, dzięki zgłodniałemu tłumowi mężczyzn, kobiet,



Djorgowie są wytraceniymi kuglarsami...

starców, dzieci, które otaczają zwolennika Sivy, dzięki słowom tajemniczym fakira, stojącego w szmacie tkaniny na biodrach!

Tłum zachowuje pełne szacunku milczenie; powietrze jest spokojne, bez wiatru, słońce dopieka. Djorgi wsadza w ziemię laseczkę, bez której się nie pokazuje nigdy, i obwija ją w liście figowe. Potem przysiadła o kilka kroków dalej, mając wzrok nieruchomy, ręce rozkrzyżowane. A wzdłuż całej laski, której nie porusza żaden po-

wiew wiatru, liście podnoszą się i opadają, jakby je oddech niewidzialny w ruch wprawiał; ani tłum, ani fakir nie ruszyli się z miejsca.

Fakir powstaje wśród okrzyków podziwienia, rozlegających się ze wszech stron. Na prośbę jego przynoszą rodzaj cytry, zrobionej ze skorupy żółwiej. Fakir prosi któregoś z widzów, by zechciał wybrać jakąś melodję.

Z oznakami szacunku najgłębszego, Hindu prosi o marsz „Radjet-Singh;“ a chociaż djorghhi nie porusza wcale palcami, dźwięki bojowe drgają na strunach liry.

„Teraz co innego,“ proponuje fakir. Młoda kobieta europejska życzy sobie marsza weselnego z *Lohengrina*. I rozlega się hymn tryumfalny.

Ale to wszystko jeszcze zabawka dziecinna! Djorghhi potrafi lepsze rzeczy pokazać: umie zgadywać, co kto myśli w duchu, czyta w myślach, jak w księdze otwartej; zgłębia największe tajniki serc i... kieszeni. Uczony misjonarz zapytał go: „o czym myśle?“, a laska czarodziejska wypisała na piasku cienkim wyrazy łacińskie, które miał w myśli. A gdy wiersze przepiękne o Mistralu śpiewnym tonem przypominają się prowansalskiemu majtkowi, który tu zabił, to fakir pisze na ziemi w najczystszej mowie miejscowej!



Atta-Djorgi.

Fakir najwyższej rangi.

Innemu znowu, co dopiero rano dnia tego wylądował na wybrzeżu Bombaju, człowiekowi, którego nikt nie znał jeszcze, mówił, jak się nazywa, ile ma lat, w jakim się urodził mieście, ile funtów szterlingów ma w woreczku pieniądze!

Jakiś fanatyk pozwala dokonać na sobie niebezpieczne-

go doświadczenia, a jeden z oficerów angielskich, obecnych przy tym popisie, zgadza się na użyczenie doń pałacza; fakir wymierza nim kilka cięć po karku skazańca: zgroza wstrząsa tłumem, krew ścieka strumieniem, ofiara blednie i pada... Sztukmistrz odrzuca szablę, kładzie ręce na głowie i wnet krew przestaje płynąć, rana się zamyka, człowiek ożywa i wstaje!

A tułacz otoczony zgrają zapaleńców, przebiega ulicę, leczy chorych, odczynia czary, wskazuje dokładnie miejsce, na którym się odnajduje przedmioty zgubione i zbłądzone bydło juczne. Jego wzrok dwoisty wszystkiego dostrzeże.

Po drodze spotyka studnię, z której Hindu czerpie wodę: żebrak się zatrzymuje, robi znak nad człowiekiem, a ten



Bożek żywy.

(*Yeghi Bava Luchman Dass*).

nagle spostrzeża, że woda iść przestała. Hindu ciągnie z całych sił, ogląda, czy jakaś przeszkoda nie zatrzymuje ciężaru, robi nowe wysiłki, lecz bez skutku. Nagle pada na ziemię, a wiadro samo wyskakuje z cembrowiny: djorgi bowiem odwrócił już odeń wzrok czarujący.

* * *

Co sądzić o tych zjawiskach? Co da się powiedzieć o tych fakirach niższego rzędu, którzy czytają myśli ludzkie i poruszają zdaleka, niedotykając, liście drzew?

„Najłatwiej kłamać o rzeczach dalekich“ — mówi przy-

słowie obce. Czy i my powinniśmy to samo powtórzyć, czytając opowiadania podróżników?

Nie, mówią zwolennicy spirytyzmu współczesnego, wśród których spotyka się wielu uczonych, co zadali sobie trud sprawdzania naukowo objawów, przeczuć, zjawisk wzroku „dwoistego“, oraz przedmiotów wprawianych w ruch z odległości, jedynie siłą woli.

Niektóre jednostki ludzkie, — przypuszczają spirytyści, — zwane medjami, mogą służyć jako pośrednicy między żywymi a umarłymi, między światem rzeczywistym a duchowym, który wywiera w ten sposób wpływ na przedmioty materialne i istoty myślące.



Fakirowie usadawiają się na ulicach, gdzie przechodnie ich czczą: wachowują przez długie godziny nienaturalną postawę posągów starych bóstw indyjskich.

I tą drogą wyjaśniają zjawiska najbardziej nieprawdopodobne, dziwy niepojęte na pozór, które zastanawiają nawet najmniej łatwowiernych.

Nauka współczesna nie uznaje przypuszczeń ani twierdzeń gorliwych wyznawców spirytyzmu. Do tej chwili uważa ona wszelkie medja za osoby chore, których ustrój nerwowy jest rozstrojony.

Czy niektórzy z fakirów, których sztuki tylko co opisaliśmy, należą również do tej gromady jednostek, medjów lub chorych, wykonywujących u nas czyny nadzwyczajne?

Być może! W każdym razie, jeżeli wśród ich dziwów są czyny podobne do sztuk kuglarskich, jakie pokazują wprawni sztukmistrze, to są za to inne, których ci ostatni dokonąć ani zrozumieć nie są w stanie.

Pułkownik de Rochas i p. Dariex, zebrani razem w pałacu Agnélas, robili doświadczenia ze słynnym medjum z Neapolu, Eusapją Paladino. Jeden z zaproszonych wpadł nagle na myśl doświadczenia zdolności, jaką się medjum odznacza, a polegającej na działaniu z odległości. Prosił więc Eusapję, aby poruszyła języczek u wagi do listów, znajdującej się w pokoju, na odległości kilku metrów od medjum. Pomimo że świadkowie zapewniają, iż podstęp w tym wypadku był niemożliwy, Eusapja dwa razy w ruch wprawiła to drobne narzędzie, nie dotykając go, i popchnęła języczek o 15 gramów.

Czy należy przypuścić, że odtąd uważać można te zjawiska jako poznane i dowiedzione naukowo?

Stanowczo nie, bo w tych zagadnieniach nigdy się nie postępuje dość roztropnie. — Niech nam starczy chwilowo obserwacja faktów, przyczem starać się musimy o niepopelnianie omyłek, lecz nie wolno stąd nie wnioskować, ani tworzyć prawideł ogólnikowych.

Nie stosuje się to jednak do innych wypadków, które niedawno wydawały nam się jeszcze dziwami, a które dziś należą do faktów znanych i zbadanych. Mówimy o sugestji. Osobniki bardziej nerwowe mogą w pewnych okolicznościach, bezwiednie nawet, poddać się przewadze magnetyzera lub medjum. Wola tego ostatniego zastępuje wtedy wolę podlegającego sugestji. Przykłady są zbyt liczne i znane, żeby trzeba było o nich opowiadać: robią nad tem codziennie spostrzeżenia w klinikach.

Wystarczy przypomnieć, że magnetyzer doprowadzić może do tego, iż uspiiony przezeń osobnik słucha go w zupełności biernie, gdy mu rozkazuje wykonywać czyny zarówno najprostsze, jak i najbardziej złożone. Zmusza go wierzyć, iż się poci, że drży od zimna, że jest stary, że jest innej płci, że jeden z obecnych ma głowę ściętą, chociaż nosi kapelusz, że widzi węża lub zwierza drapieżnego i t. d.

Przed kilkoma laty, w r. 1895, sami lekarze nosili się z myślą skorzystania z siły, ukrytej w sugestji, by przez nią oddziaływać na chorych. Sądzi, że gdy tylko zbliżą pewne lekarstwa do osobnika uspiętego, to one wywrą ten sam skutek, jakby je chory połykał. Opium pokazane choremu miało wywołać sen głęboki, wino i alkohol spowodować upojenie; amoniak zaś przywrócić do stanu zwykłego.

Wmawiając w wieśniaka hinduskiego, że nie może wydobyć wiadra wody, fakir wywołał podobne zjawisko. Z chwilą jednak, gdy przestał mu narzucać to przekonanie, człowiek odzyskał wnet władzę nad sobą i spełnił czyn, który przed kilku jeszcze minutami wydał mu się niemożliwym.

* * *

Lecz to nie są jeszcze fakirowie najwięksi, nadzwyczajni. Niektórzy z nich, już to dla interesu, już przez fanatyzm, każą się uwielbiać, jak bóstwo, naśladując swą postawą stare bogi indyjskie. A nie należy sądzić, że to rzecz łatwa. Niejedną postawę taką naśladować może dopiero po *czterdziestu latach* studjów gorliwych. Niepodobna opisać tych wykręceń ciała i stawów, jakie robią niektórzy akrobaci — fakirowie. Rysunki nasze pokazują czytelnikom niektóre ciekawe wzory. Fakir, którego sfotografowano w tych pozycjach nieprawdopodobnych, nazywa się Luchman Dass i jest braminem najwyższego stopnia. Pokazuje głównie na ulicy swe sztuki, przez które spada na niego część czci, jaką przechodnie do dziś dnia jeszcze otaczają stare posągi bóstw indyjskich. Fakirowie do tego stopnia doprowadzają umiejętność rozluźniania więzów stawowych i wyginania mięśni, że mogą dowoli wysuwać kości ze stawów, wykręcając ciało na wszystkie strony, splatać członki w sposób nader zawily. Naśladują tedy wiernie skrzywienia najbezdniejsze swych bogów bronzowych. A tłum ich uwielbia, jak bożków samych!

Ale to nic jeszcze. Zbliżając się do Benaresu, miasta świętego, patrzymy na widowiska jeszcze bardziej niezwykłe.

W otoczeniu niezliczonego tłumu, Atta-Djorgi, mistrz, znawca tajemnic nieprzeniknionych, przechadza się pod dużymi drzewami, obojętnie wymawiając słowa jednostajne. W ręku trzyma sznur długi, a oczyma poszukuje w górze gałęzi wysokiej.

Żeby się powiesić? Tak, żeby się powiesić, i to za nogi, jakie to okropne!



Z głową, zakopaną w ziemi, fakir powstaje nieruchomy.

Bardzo spokojnie, wyniośle obojętny na zachowanie się tłumu, zarzuca na obie nogi pętlę, zaczepia koniec sznura o gałąź i wspina się na palcach cicho. Jeżeli jakiś Europejczyk nie świadomy chciałby czekać, aż fakir porzuci nieprzyjemną tę pozycję, musiałby tu chyba zamieszkać.

Człowiek ten wisi dnie całe, tygodnie, miesiące, podczas gdy ofiary, w postaci monet, sypią się poprostu koło niego. Nie znać na nim wysiłku żadnego: postać spokojna, wygląd zwykły, głos czysty i normalny, a gdy zwrócisz się do djorgi z zapytaniem, odpowie ci jasno i wy-

rażnie, jak niemożna lepiej. W tej postawie, sprzyjającej jakby skupianiu myśli, rozmyśla nad znikomością rzeczy ludzkich. Podstęp jest tu zresztą niedopuszczalny: w dzień i w nocy tysiące widzów otacza go ciągle.

A gdy djorgi uważa, że już dosyć nzbierał pieniędzy,

odwiązuje się, zagarnia rozsypane monety, rupje, i oddala się spokojnie.

I wzrusza zapewne ramionami nad głupotą łatwowiernych? Rzeczywiście, bo dla wyćwiczonych fakirów jest to



Obok fakira, żywcem pogrzebanego, jutmużna wciąć się sypie.

jeszcze zabawką dziecinną. Albowiem, jak twierdzą świadkowie zupełnie wiarogodni, są między fakirami tacy, co każą się *pogrzebać żywcem!*

Odbywa to się bardzo zwyczajnie. Wykopują w ziemi

sympkiej dół o tyle obszerny, żeby mógł pomieścić całkowicie głowę do ramion, i kładą tam kawał tkaniny, w którą obwijają oblicze. Gdy głowa leży już w tym dole, a ciało unosi się nad ziemią, wsparte na kolanach lub na piętach i w kablak wygięte, palcami zbierają znowu ziemię, okrywając nią zupełnie głowę i szyję. A tłum zebrany, drepcząc umyślnie w około, by ubić ziemię, próbuje jeszcze gruntu, czy powietrze się przezeń



Fanatyk indyjski, siedzący na kołcach żelaznych.

nie przedostanie, czy niema gdzieś jakiejś rury, kanału jakiegokolwiek, przez który bramin mógłby odychać.

Niema nic, wszelkie podejście niemożliwe; datki padają około tego kadłuba bez głowy, wystającego z ziemi potwornie. Dłoń wyciągnięta i otwarta wskazuje, że nie pogrzebał się dla samej przyjemności.

Odbitka fotograficzna, podana przez nas powyżej, przedstawia dwóch takich Atta-Djorgów z głowami ukrytymi w ziemi. Jeden z nich podtrzymuje ciało za pomocą nogi podwiniętej. Drugi, mając kadłub przekreślony, opiera się na grzbiecie, czem wywołuje podziw u przechodniów, tłumnie zgromadzonych.

Sądzićie może, iż po upływie pięciu, dziesięciu najwy-

żej minut, fakir porzuca tę postawę dziwną, męczącą i duszącą? Wcale nie!

Tygodnie całe pozostaje tam nieruchomy. A pewnego dnia widzi się, jak porusza ręką, odgrzebuje ziemię wokół głowy zakopanej, wyłania się oblicze brudne, lecz pogodne, i djorgi udaje się w inne miejsce, gdzie znów pokazuje swe ćwiczenia, zapewniające mu obfite dochody, które chowa skrzętnie w skrytce brzydkiego fartucha indyjskiego.

Są jeszcze większe sztuki. Oto fakt, poświadczony przez kilku oficerów angielskich, między innymi przez generała Wenturę i kapitana Wade. Działo się to w obecności króla hinduskiego Radjet-Singha i kilku tysięcy widzów.

Słynny djorgi podjął się leżeć *10 miesięcy* w grobie mурowanym, jaki Radjah kazał umyślnie budować. Gdy nadszedł dzień oznaczony, grób był już gotów i oczekiwał mieszkańca. Djorgi zatkał sobie woskiem wszystkie otwory naturalne, z wyjątkiem ust; potem obrócił język do głębi krtani, zatykając ją szczelnie, przyczem język wydłużył się wskutek licznych nacięć, powstałych z wędzidla; wpadł później w sen letargiczny i dał się zaszyć w worku, który zapieczętował sam Radjah w obecności Anglików. Wór umieszczono w skrzyni drewnianej, na kłódkę zamkniętej, poczem skrzynię zakopano w mieszkaniu podziemnem fakira. Na ziemi, grób kryjącej, zasiano jęczmień, a strażnicy nieopodal czuwali dzień i noc.

Niedowierzający Radjah kazał dwa razy grób otworzyć, zanim upłynął termin umówiony. Djorgi leżał w grobie, zeszywniały i zimny. Wreszcie w 10 miesięcy po pogrzebie, znowu w obecności generała Wentury, otworzono grób



Fakir ten przez pięć lat miał rękę lewą wianiesioną do góry.

ostatecznie. Fakir się nie poruszał. Ciało było prawie zupełnie zimne, z wyjątkiem ciemienia; tętno ani serce nie biły.

Po dwugodzinnem pielęgnowaniu, nacieraniach, cuceniu wodą ciepłą i t. d., djorgi ożywił się powoli!



Fakir ten przez dwa lata nie kładł się, ani nawet nie usiadł.

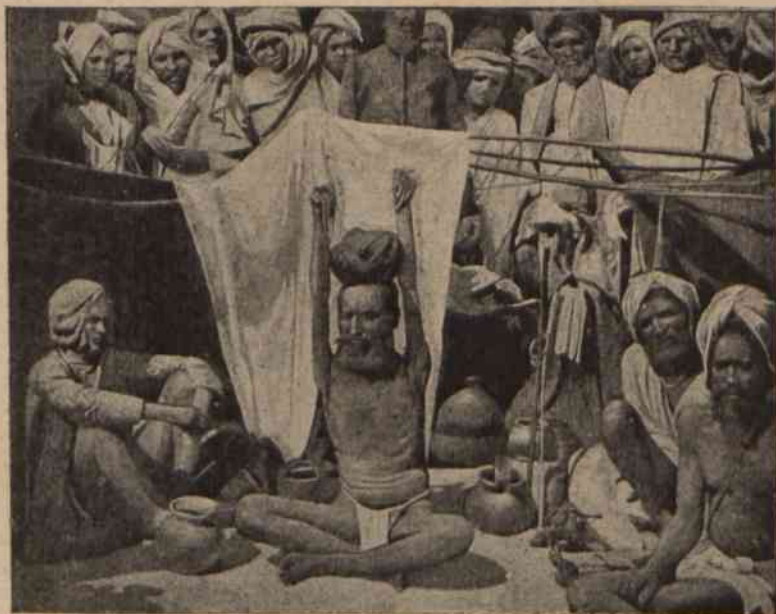
Jest to fakt nadzwyczajny, a jednak ściśle prawdziwy. Przed kilku laty w Akwarjum londyńskim i na wystawie Tysiąclecia Węgier, można było widzieć trzech fakirów, owiniętych w tkaniny, a leżących w trumnie szklanej. Pozostali w niej tyle czasu, ile życzyli sobie uczeni, kontrolujący te doświadczenia.

Te ostatnie dziwy, chociaż wydają się publiczności najbardziej zadziwiającymi, dają się może wyjaśnić najprościej; a mimo że zdanie to wydaje się nielogicznym, twierdzić można, iż pogrzebanie dobrowolne jest rzeczą najzupełniej możliwą.

Fakirowie odznaczają się usposobieniem surowem i niewolniczo do pewnych prawideł się stosującym, oraz prawie nadludzką cierpliwością i uporem; wszystko to jest wynikiem już to fanatyzmu, już wyrachowania materialnego. Z takim usposobieniem dochodzą oni do pozyskania mocy,

która na pierwszy rzut oka wydaje się siłą tajemniczą, lecz która w gruncie rzeczy jest tylko krańcowem nateżeniem woli w pewnym kierunku, niezmordowanie; woli, popartej prawdopodobnie stanem specjalnie chorobliwym, jaki lekarze nazywają histerją.

Fakirowie dają się zamykać w komórkach bez światła i prawie bez powietrza, zmuszają się do jadania możliwie jaknajmniej i coraz rzadziej. Oddychają też po coraz dłuż-



Od lat trzydziestu fakir ten siedzi z rękoma, do góry wzniesionemi. Ręce mu uschły, zdrętwiały, podobne są do gałęzi uschłych, pannańkie doszły wymiarów niezwykłych.

szych przerwach; po miesiącach, latach, dochodzą do tego, że jedzą tylko w bardzo długich odstępach czasu i nie oddychają długo. Pogrążeni w głębokiem odrętwieniu, nie poruszają się, nie myślą, jak gdyby nie żyli.

Czyż mamy, jak de Rochas, porównać ciało ludzkie do maszyny, która przekształca otrzymane alimenty na ruch? Życie byłoby kołem zamkniętem. Gdyby ruch ustał zupeł-

nie, to i pożywienie nie byłoby potrzebne. Lecz wszystko jest ruchem, a myśl jeszcze więcej, niż co innego; trzeba się więc unicestwić całkowicie. Gdyby człowiek przez jakieś ćwiczenia uporczywe doszedł do tego, że mógłby spać ciągle, a w tym śnie nie poruszać się, nie majaczyć, nie oddychać, to byłby w stanie żyć pod ziemią zaledwie wprawdzie wegetując, lecz żyjąc. Naturalnie, że myśl taka, aczkolwiek ciekawa, nie jest pozbawiona zarzutów poważnych.

Przypuszczenie co do hysterji sprzyja takiemu wyjaśnieniu. U histeryka wywołać można rodzaj zawieszenia ruchu; histeryk może czasami wstrzymywać się od jedzenia, nie tracąc nic na wadze. Dr. Bouchard opisał nawet niedawno wypadki przybywania na wadze, przypisując je nagromadzeniu się tlenu w tkankach przed rozpoczęciem snu histerycznego, w czasie którego utrata wagi jest tak mała, że nie równoważy nagromadzenia. Czyż zresztą djorgowie, zatkawszy krtań językiem, nie usypiają, jak histerycy, wpatrujący się bądź w przedmiot błyszczący, bądź w palec własny, bądź nawet w nos własny?

Pogrzebanie dobrowolne zdaje się stanowić ostatnie słowo *fakiryzmu*, bo trudno uważać za prawdziwe, w braku dostatecznej kontroli, opowiadania tych, co twierdzą, że widzieli, jak djorgowie unoszą się nad ziemią, bujają w powietrzu na znacznej wysokości i spuszcza ją potem na ziemię powoli, nie robiąc sobie nic złego. Podróżnicy, co opowiadają te dziwy więcej niż nadzwyczajne, zdają się być zbyt przejętymi opowieściami legendowymi o księciu Buddzie.

Jest jeszcze szereg faktów, w zakres naszego artykułu wchodzących.

Mówimy o cierpieniach fizycznych, jakie sobie żądają niektórzy fanatycy, aby osiągnąć zbawienie duszy, oczyszczonej przez bóle cielesne. Fanatyzm, jak gniew, jak zapał, jak wszelkie namiętności silne, powoduje znieczulenie na wiele wrażeń. Do istoty, której cała władza, cała energia jest wyteżona w jednym tylko kierunku, ból fizyczny nie ma dostępu.

Wspomnijmy też o *Aïssaouas*, sekcje muzułmańskiej, której zwolennicy przy dźwięku muzyki denerwującej, jedzą

w jakimś szale ciernie, niedźwiadki, szkło, liżą żelazo rozżarzone. Podczas uroczystości muzułmańskiej, *Dona*, w Egipcie widzi się, jak tysiące ludzi nieszczęsnych rzuca się na ziemię, aby utworzyć kobierzec tryumfalny z pogruchotanych członków i zgniecionych piersi dla Szeika, który pędzi w galopie ze swym konwojem. Wreszcie procesja *Juggernaut*, gdzie fanatycy, uniesieni szałem, rzucają się pod ciężki rydwan, wożący bożka świętego. Wóz przechodzi po nich, druzgocąc bezlitośnie ciała, na miazgę!...

Lecz ten szereg faktów będzie więcej jeszcze interesujący, gdy mamy do czynienia z fanatykami pojedynczymi,



Yoghi pogrążony w rozmyślaniach.

k którzy z zimną krwią, bez porywającej namiętności tłuszczy i bez obcego przykładu okrutnie sobie kaleczą ciało i całymi miesiącami leżą na kolecach żelaznych. W Indjach pokazują także fakirów, którzy w przeciągu kilku lat siedzą, mając obie ręce przywiązane z tyłu głowy do drąga poprzecznego. Cierpią srogie męki, dopóki członki zeschnięte, wychudłe, podobne do gałęzi z liści odartych, nie zostaną już w tej pozycji na zawsze, z powodu całkowitego zdrętwienia ramion. Opowiadają o wypadku takim, gdzie ręce uniesio-

ne były w ten sposób przez lat dwanaście, paznogie wyrosły tak, że przeszły przez ręce i wykrzywiły się ku grzbietowi.

To są opowiadania, poparte pewnymi świadectwami, nadeszłymi z nad brzegów Gangesu. Co wogóle sądzić o tych blakających się po Azji istotach?

STAROŚĆ.

„Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus“. Tak głosi znana studencka pieśń, którą śpiewaliśmy wszyscy, kiedy na głowie siedziała nałożona na bakier granatowa z białymi wypustkami czapka, albo też, jeśli to było poza granicami kraju, czubek głowy kryła korporacyjna mycka, a na piersiach widniała szeroka czerwona lub błękitna szarfa...

Życie jest krótkie!

„Venit mors velociter,
Rapit nos atrociter,
Nemini parocetur“!

I nie przychodziło wtenczas nikomu na myśl, że przemienie młodość bujna i górna.

Nie myślało się o tem, że gęstą, kędzierzawą czuprynę przerzedzą lata, że jasny lub kruczy włos przypruszy siwizna, że pochyłą się silne młode barki, zapadnie pierś pełna gorących uczuć, zachwytów, wesołą nutą drżąca, że poblakną błyszczące życiem i zapalem oczy, osłabną krzepkie dłonie, zleniwieją ochocze do piasów nogi, zmarszczki twarzy pokryją, i usta powtórzą z rezygnacją słowa poety...

„Ale już jestem za stary,
Bym mógł dzieweczko,
Zażądać serca ofiary.

Więc bawię tylko piosneczką...
Bom już za stary!“

Młodość to kwiat życia, a w tem życiu tak mało niestety kwiatów.

Więc trudno niejednemu pogodzić się z tą myślą, że ta młodość już przeszła. Trudno zrezygnować z przywilejów, jakie dają siła i zdrowie. Trudno przyzwyczaić się i zrosnąć niejako z tem przekonaniem, że po wiosnie następuje lato, po lecie jesień, a po jesieni zima, czasami, rzeźka i czerstwa choć mroźna, ale częściej chmurna, słotna z całym aparatem dolegliwości, wśród których króluje reumatyzm, duszność, kaszel, katar żołądka, hypochondrja, gderliwość, albo, co gorzej, upadek sił i zdziecinienie...

„Starość to brzydki wynalazek“, powtarzają ci, których dobry humor nie opuszcza, choć z brunetów stali się blondynami. Dokuczliwą jest ta starość dla pici nadobnej.

Bronią się od niej wszelką siłą i sposobem królowe serc, i mistrzynie wdzięków.

Ale daremnie! Złośliwy ród potrząsa trzepaczką z dzwonekami, powtarzając z przekorą:

„Nie pomoże blansz i róż,
Kiedy panna stara już“.

Przeto z radością niekłamaną powitały liczne rzesze wiadomość, że oto udało się uczonym doktorom zbadać przyczynę starości i kto wie, może znajdzie się środek wieczną młodość zapewniający!

Eviva l'arte!

Oto zjawił się nowy Mefisto, przynoszący do pracowni Fausta młodość—i miłosne czary!

A rolę tego Mefista miał spełnić znany z prac swoich w dziedzinie nauki o drobnoustrojach (bakterjologii) dr medycyny, prof. Miecznikow.

Nie tylko dr Miecznikow myślał i pisał o starości. Czyniono to od tej chwili, jak świat istnieć począł... Młoda wiedza marzyła o eliksirach, o kordjałach, o kroplach wiecznej młodości. Znane są nawet i w chwili obecnej, „kiedy

postępy olbrzymie wiedzy ludzkiej—w zwyczajnym pochodzie swoim po głębinach jamy brzusznej“ i t. d. mają w swej skarbnicy „wino zdrowia“ — „chleb zdrowia“, „Eliksir długiego życia“ Hoffmana, „mydło wiecznej młodości“, „czyszczące krew i żołądek pigułki młodości“—Capillifery, od których na dłoniach włosy rosną i wstrzykiwania, „dzielność mężką“ przywracające...

„Wollen sie verfetten, wollen sie verkalken“.

Fabryki niemieckie na wszystkie dolegliwości wymyślą środek skuteczny dla Polaków i wszelakich osobników słowiańskiej rasy. Swoją drogą starość nie czeka, a śmierć nie żartuje.

I daremnie wysiła się mózg ludzki, aby zagadkę rozwiązać.

Posłuchajmy, co mówi w tej kwestji prof. I. I. Miecznikow:

— Śmierć jest wedle ogólnie przyjętego przekonania czemś koniecznym i nieuniknionem. Uczony badacz *Wejssmann*, mówiąc o długowieczności, utrzymuje, że najniższe organizmy, mianowicie wymoczki z jednej tylko komórki składające się—są jakoby nieśmiertelne. Ponieważ te drobne żyjątka rozmnażają się przez podział swojego ciała na części, i ten podział ciągle się powtarza dalej i dalej, więc nie spotyka się zupełnie wypadków naturalnej śmierci. Śmierć takiego żyjątka, stanowiącego jedną tylko komórkę, mogłaby nastąpić wtenczas, gdyby się rozłożyła zawartość tej komórki na jakieś minimalne składające ją cząsteczki. *Wejssmann* uważa przeto, że przyczyną śmierci nie jest zestarzenie się składowych cząsteczek (komórek) naszego ciała, ich zużycie, ale raczej utrata siły dalszego rozmnażania się. Komórki tracą siłę wytwarzania komórek nowych, przeto życie kończy się.

Wedle takiego poglądu, przyczyną starości, jest stopniowe zmniejszanie się własności rozrodczych w komórkach, składających całość tak człowieka jak innych istot żyjących, a tem samem i niemożność dalszego odradzania się tkanek, całość organizmu żyjącego stanowiących. Profesor *Miecznikow*, chociaż nie zgadza się całkowicie na poglądy

Wejsmana, jednak nie zaprzecza jednokomórkowym organizmom możliwości ciągłego odradzania się, czyli inaczej względnej nieśmiertelności. Prócz innych biologów, którzy niepodzielali powyżej przytoczonych zapatrywań, doświadczenia uczonego Mape'a jawnie wykazały, że energia życiowa istot jednokomórkowych, które *amebami* się zowią, wyczerpuje się przez ciągłe dzielenie się tych organizmów, że przychodzi chwila, kiedy dalszy podział staje się niemożliwym. Istoty jednokomórkowe, powstające z podziału komórek macierzystych, niszczej, zdradzają wszelkie oznaki zwyrodzenia i giną.

Aby życie i zdolność do tego życia wróciły na nowo, potrzebnem jest koniecznie, *zlanie się — połączenie dwóch tworów jednokomórkowych w jedną całość*. Taką tylko drogą może znów powrócić zdolność rozrodcza. Bez tego dzielenie się komórek macierzystych i wytwarzanie przez nie komórek nowych, młodych, nie może trwać nieskończenie, ale przeciwnie, prowadzi do wyczerpania i śmierci. Profesor Miecznikow nie zgadza się z przeciwnikami teorii Wejsmana. Przyznaje komórkom własność rozradzania się do nieskończoności, a przyczynę starości widzi nie w wyczerpaniu treści komórkowej, ale we wzajemnym stosunku komórek organizm składających, w walce tych komórek między sobą.

Uczeni badacze, a między innymi znakomity bakterjolog francuski dr Roux wykazał, że komórki, organizm składające, wiodą ciągłą walkę z sobą, i od wyniku tej walki zależy wzrost, rozwój i najrozmaitsze zmiany organiczne. Taż sama walka komórek, składających tkanki organizmu wzrasta ciągle, potęguje się i, wedle zdania prof. Miecznikowa, jest przyczyną starości. Ponieważ organizm na starość drobnieje i traci na wadze, więc musi w nim coś pomniejszać się, zanikać, ginąć.

Starość przeto jest *zanikiem* organizmu.

Zmniejszają się przeto w starem ciele najrozmaitszego rodzaju komórki. Maleje rozmiar komórek mięsnych, nerwowych, gruczołowych, kostnych. Zanikają kiszki, skóra, kości, chrząstki, stawy tracą sprawność, więzadła sprężys-

tość, mięśnie elastyczność i siłę. Apetyt zmniejsza się znacznie, utlenianie krwi słabnie, wymiana materji postępuje leniwo. Tkanki zmniejszają się i niszczeją, twardnieją żyły i tętnice, na których ścianach osadzają się sole wapienne. Kostnieją ścięgna, twardnieją włókna tkanki łącznej, spajające pojedyncze komórki. Jeżeli starość uważamy jako zanik komórek i tkanek,—należy zaznaczyć, że także sama sprawa odbywa się wśród niższych organizmów, w chwilach ich przemiany.

Kiedy np. z kijonki tworzy się żaba, to cały ogonek tejże kijonki drobnieje, zanika, a nareszcie ginie całkowicie.

Tak samo giną pewne grupy mięśni nerwów, i t. p. przy przemianie gąsienicy w motyla.

Podobnie niektóre stworzenia, przebywające ciągle w ciemności, tracą oczy i pozostają im tylko organa wzroku niedokształcone, t. j. jakby w stanie zarodkowym pozostające.

Powodem zanikania komórek na starość w ciele tak ludzkim jak zwierzęcem są, według prof. Miecznikowa komórki, pożerające słabsze od siebie inne komórki ciała—i owe komórki drapieżne nazywa *fagocytami*.

W organizmie ludzkim i zwierzęcym istnieje rodzaj komórek wędrownych, posiadających własność kurczenia się i zmieniania kształtu. Jako typ tych komórek można przyjąć białe ciała we krwi się znajdujące. Krew, jak wiadomo, składa się z płynu zwanego *osoczem* (surowicą), z ciałek płaskich, czyli *krażków czerwonych*, które pod mikroskopem wyglądają jak małeńkie pieniążki miedziane i z okrągłych *ciałek białych*, które są większe od krażków czerwonych i posiadają formę nieco podługowatą.

Te komórki mogą wypuszczać z siebie jakby kielki drobne, któremi to kielkami chwytają się za okoliczne twarde cząstki ciała, wypuszczają z siebie płyn kleisty, oblepiają tym klejem sąsiednie komórki i pożerają. W podobny sposób postępują te komórki drapieżne (fagocyty) z mikroorganizmami, dostającymi się do krwi, zjadają te mikroby. W ten sposób chwytają każde ciało obce, a jeśli go zjeść nie mogą, to usuwają precz—albo do kanału pokarmowego, albo do mo-

czu, zółci i t. p. Spełniają one rolę armji, czuwającej, by się do organizmu żaden nieprzyjaciel nie dostał, gnębią go i wyrzucają z ludzkiego ciała. Ale nie na tej tylko dobroczynnej działalności rola ich się kończy. Jeśli ciało nasze ulegnie pokaleczeniu, jeśli w jakimkolwiek miejscu lub organie tegoż ciała wystąpią jakieś sprawy chorobliwe i pojawią się cząstki zniszczone, obumarłe, np.: komórki zgniecionej skóry, mięśni, ścięgien, nerwów i t. p., albo cząstka uległej uszkodzeniu wątroby, nerek, płuc i t. p., w tej chwili te cząstki rzucają się i zaczynają pożerać fagocyty, następuje silniejszy napływ krwi i rozwija się miejscowe zapalenie.

Jeśli w ten sposób tłumaczymy sobie zjawisko zapalenia, to owo zapalenie nie jest niczem innym, jak reakcją organizmu na szkodliwe i drażniące działające przyczyny (uderzenie, oparzenie i t. d.), lub też na mikroby i przedmioty obce, dostające się do ciała (cierń, drzazga — kula), a nawet na rozpadające się (gnijące) cząstki samego organizmu... które jako martwe nie są niczem innym, jak ciałem obcym, niepożytecznym, drażniącym, szkodliwym.

Obserwując zanikający ogonek u kijonki, Miecznikow znalazł masę fagocytów, zjadających tak przerodzone komórki, jak i całe kawałeczki włókien mięsnych i nerwowych. Kowalewski zaś, badając poczwarki muchy, obserwował, że komórki amebowe napadają na włókna mięsne poczwarki, otaczają je swą galaretowatą treścią i pożerają. Inni uczeni twierdzą, że taka przemiana może odbywać się bez udziału fagocytów.

Dowodzą, że na starość arterje ulegają przerodzeniu, że ścianki tych naczyń krwionośnych twardnieją, stają się mniej elastyczne i kruche. Przez to krew trudniej krąży, nie dochodzi w dostatecznej ilości do najdalszych zakątków ciała. Tkanki przeto nie są dobrze i prawidłowo odżywiane, drobnieją, stają się słabsze, a wskutek tego mniej odporne i skłonne do zaniku.

Prócz tego zauważono, że wszystkie więcej energiczne i szlachetne organa, jak nerwy i mięśnie, składające się z komórek nerwowych i mięśniowych włókien, poczynają

tracić te komórki szlachetne, a na ich miejsce rozrasta się zbyt szybko tkanka łączna, której wartość dla organizmu jest bardzo poślednia. Zupełnie dzieje się tutaj tak samo, jak na zaszczepionym polu: pszenica lub żyto nikną, a miejsce ich zajmują chwasty. Ziarno szlachetne ginie, a rozrastają się osty i kłakole.

Starość przeto należałoby uważać jako nadmierny rozwój i rozrost tkanki łącznej, zajmującej kolejną miejsce innych, szlachetniejszych tkanek.

Dlaczego jednak owa tkanka łączna tak nadmiernie rozrasta się? Według Miecznikowa, powodem tego zjawiska są fagocyty, które pożerają szlachetne komórki, a następnie same zamieniają się na tkankę łączną.

Znów wyraża się nowe pytanie, dlaczego owe fagocyty, owe wielkie komórki, zwane *makrofagami*, taką biorą przewagę nad komórkami nerwowymi i mięśniowymi? Dlaczego dzieje się to nie podczas najżywszego rozwoju organizmu, nie podczas pełni jego sił — a dopiero w starości? Miecznikow tłumaczy to tem, że jedne komórki są wrażliwsze na różne wpływy szkodliwe działające, a drugie mniej wrażliwe, a zatem odporniejsze. Ile to podczas długiego życia dostaje się różnych zarazków, różnych mikrobow do organizmu? Te mikroby działają szkodliwie na szlachetne komórki, a nie mają żadnego wpływu na komórki makrofagów. Więc komórki nerwowe i mięśniowe wyczerpują się walką, słabną — i następnie bardzo łatwo ulegają przewadze makrofagów, które zwalczają bakterje, nie słabnąc, a następnie rzucają się na osłabione szlachetne komórki i niszczą je, zajmują ich miejsce, przemieniając się następnie na tkankę łączną.

Taki sposób tłumaczenia starości jest jednak tylko przypuszczeniem, hipotezą.

Walka o byt, przyjęta dziś jako zasada w organicznym świecie, stosowaną być może i we wzajemnym do siebie stosunku komórek organizmów składających. Wiadomo, że pewne gatunki roślin i zwierząt, silniejsze, odporniejsze, żywotniejsze, mnożą się i rozradzają coraz silniej, inne gatunki słabsze marnieją i giną. Są tego tysiączne przykłady

w przyrodzie. Jeśli więc pojedyncze gatunki roślin lub zwierząt, w walce o byt zużywają się i giną, toż samo dzieć się może i z komórkami, które złożony organizm formują.

Według teorii Miecznikowa, fagocyty mniejsze, ruchome toczą w organizmie ciągłą walkę z mikroorganizmami, i niszczą wszelkie trucizny przez mikroby wytworzone, i dla życia organizmu zabójcze. Zaś duże fagocyty (makrofagi), nie biorą udziału w walce z bakteriami, ale czyhają tylko na sposobną chwilę, aby niszczyć i pożerać komórki szlachetne. Gdyby więc wynaleźć środek, np. jakąś surowicę, która wstrzyknięta pod skórę człowieka, lub zwierzęcia mogłaby osłaniać te drapieżne makrofagi, zmniejszać ich siłę, żarłoczność, a tem samem szkodliwość, wtedy komórki szlachetne łatwo wytrzymałyby atak drapieżnych fagocytów, i nieprzychodziłoby do owego starczego zaniku, do *starzenia* się organizmu. Przypuściwszy, że taka surowica zostałaaby odkryta, wynaleziona i stosowana, znów wyradza się nowa kwestja.

Profesor Miecznikow utrzymuje, że duże fagocyty (makrofagi) najskuteczniej chronią organizm tak od zarazku tuberkulozy, jak i od innych równie niebezpiecznych zarazków.

Jeśli za pomocą surowicy pocnie się gnębić makrofagi, co się wtenczas stanie z taberkulicznymi lasecznikami, oraz z innymi mikroorganizmami, które teraz tak skutecznie są zwalczane przez fagocyty makrofagi?

Do czegoż prowadzi cała teoria fagocytów? Fagocytocą jako ochrona organizmu od zarazków, ma rację bytu, odwrotnie, jako przyczyna niszczenia i zanikania tegoż organizmu, jako powód starości, staje się całkiem bezpożyteczną.

Dalej: w teorii Miecznikowa, tłumaczenia zjawisk starości dotyczącej, są liczne przeciwieństwa.

Wypadałoby, że najpierw powinny ginąć i zanikać komórki nerwowe, jako najszlachetniejsze, że starzenie się, *zanik starczy* winien postępować *od środka do obwodu* ciała, od mózgu do skóry.

Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie! Pierwej na-

stępują zmiany w skórze, w naczyniach krwionośnych, w gruczołach, w mięśniach, stawach, a nawet w organach zmysłów, pierwiej słabnie siła mięśniowa, tępieje słuch, słabnie wzrok, a siła myślenia i zdolności intelektualne mogą zachowywać się w całej pełni i świeżości.

Dalej: jeśli wstrzykiwać będziemy surowicę, osłabiającą siłę drapieżnych makrofagów, czy taka surowica nie będzie miała żadnego wpływu na komórki szlachetne, mianowicie nerwowe, mięśniowe i t. d.

Jeśli znów i wynaleźć by taką surowicę, taką trucizną, coby specjalnie gnębiła tylko drapieżne makrofagi, to znów jak z tem pogodzić ów pogląd, że cała masa trucizn, podczas długiego życia na organizm działających, że cała ta masa tylko atakuje komórki szlachetne, a makrofagów nie zaczepia? To jest dosyć trudne do zrozumienia i dla tego teoria Miecznikowa na dość chwiejnych opiera się podstawach.

Miecznikow utrzymuje, że komórka nerwowa jest nadzwyczaj czuła i mało odporna, a prof. Mazinesco w ostatniej pracy swojej dowodzi, że komórka nerwowa jest najwytrzymalszą i najodporniejszą na wszelakie szkodliwe wpływy i trucizny

Zdaje się więc, że teoria, stawiająca jako przyczynę starości żarłoczność makrofagów, nie wytrzyma krytyki. — Daleko prościej i słuszniej pozostawić fagocytom ich dawną, pożyteczną dla organizmu pracę, a o tak wrogie zamiary i zamachy na szkodę szlachetnych elementów ciała naszego nie obwiniać.

Makrofagi, jeśli nawet pożerają osłabiane i zużyte przez długą pracę komórki szlachetne, być może, iż czynią pożytecznie, bo gdyby te komórki dalej poczęły niszczyć i rozpadać się, mogłyby przepelnić organizm różnemi szkodliwemi i niepotrzebnemi produktami, które należy usuwać i uprzątać. Spełniają przeto pożyteczną dla ciała żyjącego rolę asenizacji.

Pojawianie się przeto makrofagów oraz ich robota, są raczej następstwem starości, nie zaś jej przyczyną, tak samo jak zanikanie ogonka u kijonek. Ogonek ten jest już

zupełnie w dalszym rozwoju żabie niepotrzebny, i zanika jako rzecz zbyteczna. Jeśli więc do tego zaniku dopomagają makrofagi, zjadając rozpadające się cząstki, czynią to na pożytek organizmu żaby, uwalniając go od niepotrzebnego balastu.

Nie potrzeba więc walczyć z makrofagami, aby starość usunąć.

Starość przychodzi niezależnie od makrofagów. Komórki, składające tkanki naszego ciała, gdy spełnią swe przeznaczenie, zanikają i umierają. Fagocyty nie pozwalają tym trupom zalegać pobojowiska i zarażać rozkładem organizmu, który starzeje się, ale przecież żyje. Więc oczyszczają one wnętrze tego organizmu, podtrzymują osłabioną wiekiem jego działalność, i dla tego za przyczynę starości uważać fagocytów nie należy.

Gdzie jest przyczyna, dla czego organizmy się starzeją?

Pytanie zostaje bez zadawalniającej odpowiedzi...

Gustaw Doliński.

Z DZIEDZINY POLITYCZNEJ.

W sprawie chińskiej, stanowiącej w chwili obecnej punkt ciężkości polityki całego świata, nie wiele się od zajęcia Pekinu zmieniło. Na propozycję Rosji, dotyczącą wycofania wojsk związkowych z stolicy Państwa Niebieskiego, nie wszystkie mocarstwa zainteresowane dały stanowczą odpowiedź. Rząd chiński mianował już pełnomocników do rokowań pokojowych, idą one jednak oporem, i—jak dotąd—wcale się jeszcze nie rozpoczęły. Główny pełnomocnik chiński Li-Hung-Czang, kilkanaście razy na dzień wyjeżdża z Szanghaju do Pekinu i wyjechać jakoś nie może. Eskortować go ma okręt wojenny rosyjski, protestuje Anglja, eskortować angielski, protestują Niemcy, eskortować japoński, protestuje znowu Anglja i t. d., a tymczasem handel upada, pola leżą odłogiem, rozległemu Państwu Niebieskiemu grozi widmo głodu.

Mocarstwa zgodziły się już podobno na warunki, pod jakimi mogłoby nastąpić przywrócenie stosunków dyplomatycznych z Chinami. W szeregu ich na pierwszym miejscu stawiają powrót cesarza do Pekinu, ukaranie ks. Thuana, jako *spiritus movens* zawieruchy chińskiej, i wielu innych dostojników, na których pada podejrzenie, że do zajęć ostatnich czynną przyłożyli rękę. Rząd chiński z wypełnieniem warunków tych zwleka, a na zwłocę tej cierpią dotkliwie obie strony.

Rząd chiński z swojej strony domagać się ma między innymi od mocarstw ograniczenia na przyszłość działalności misji chrześcijańskich w Chinach, zapewniając, że środek ten usunie raz na zawsze przyczynę zaburzeń, które, w prze-

ciwnym razie, powtarzać się będą coraz częściej i z coraz większą siłą.

Czyżby istotnie działalność misji, skierowana wyłącznie ku szerzeniu światła wiary i oświaty wśród niesfanatyzowanej zresztą na punkcie religijnym ludności chińskiej, miała być tak szkodliwą dla stosunków wewnętrznych Chin i tak niebezpieczną dla pokoju całego świata? Odpowiedź na pytanie to znajdujemy w uwagach pewnego znakomitego misjonarza francuzkiego, który, przebywając dłuższy czas w Chinach, poznać mógł dokładnie stosunki tamtejsze.

Stwierdza on przedewszystkiem, że mimo że dzisiejsza misja chińska rozporządza znacznie większymi środkami materialnymi, aniżeli przed kilku dziesiątkami lat, mimo że posiada daleko więcej szkół, szpitali, ochronek i tym podobnych zakładów, liczba wiernych jest mniejsza, aniżeli przed 30 laty. Gdy bowiem w roku 1870 liczba katolików w Chinach wynosiła 800,000 wiernych, dziś ich jest zaledwie 630,000. Podczas, gdy dawniejsi chrześcianie należeli do większej części do inteligentniejszej warstwy ludności, do wysokich, a nawet najwyższych urzędników z najbliższego otoczenia cesarza, dzisiaj wyznawcami chrystjanizmu są przeważnie przedstawiciele najniższych warstw społeczeństwa. A jednak misja dawniejsza miała warunki znacznie uciążliwsze, aniżeli dzisiaj. Wobec zupełnego prawie braku komunikacji, odległość między Chinami a Europą wydawała się większą, podróże trudniejsze i bardzo niebezpieczne, nadto misjonarze nie mieli na miejscu żadnej protekcji prócz tej, którą sami sobie wyrobili.

Położenie ich ówczesne miało jednak jedną stronę bardzo korzystną: oto byli oni prawie jedynymi Europejczykami w kraju, prócz Portugalczyków, którzy trzymali się wyłącznie w murach miasteczka Makao. Europa nie istniała więc wcale dla Chińczyków, którzy znali ją tylko z najlepszej strony, z dzieł sztuki i naukowych zdobyczy, poznawanych za pośrednictwem misjonarzy.

Jakżeż inaczej dzisiaj! Otwarte dziś dla handlu europejskiego Chiny zalewane są coraz bardziej przez Europejczyków, wśród których misjonarze nikną prawie zupełnie. W ręku Europejczyków są dziś cła, żegluga parowa, telegrafy i t. d.; jedynem pragnieniem ich, chęć wzbogacenia się chińskimi pieniędzmi; kupcy europejscy marzą tylko o zyskach materialnych, o zalaniu Chin swoimi towarami. Łatwo sobie wyobrazić, jakimi oczyma Chińczycy patrzą na tę działalność Europejczyków. I tu właśnie szukać należy przyczyny, dlaczego poddani Państwa Niebieskiego tak wro-

gie żywią uczucia względem misjonarzy chińskich, dlaczego rząd chiński uważa działalność misji za zgubną dla państwa. Oto dlatego, że poza plecami apostołów chrześcijaństwa widzą całą Europę z jej ideałami i cywilizacją, z jej żądzą wzbogacenia się kosztem ich, oto dlatego o Europie tej wcale wiedzieć nie chcą, gdyż cywilizacja przodków, słusznie czy niesłusznie, zupełnie im wystarcza.

W dalszym ciągu uwag swych misjonarz, aczkolwiek nie zaprzecza, że Chińczycy wrogo są usposobieni przeciw misjonarzom i że w obecnych warunkach misje chrześcijańskie mogą niewątpliwie wpływać na pogorszenie się położenia w Chinach, z drugiej jednak strony twierdzi stanowczo, że stosunki te wytworzyli świeccy Europejczycy. Niema chyba narodu na ziemi, któryby był bardziej obojętnym dla religii, jak Chińczycy. Rząd chiński wcale nie troszczy się o to, czy ktoś jest wyznawcą Konfucjusza, albo Lao-tse, czy też muzułmaninem lub buddystą. Jeżeli więc dziś mordują chrześcijan—tuziwców, jeżeli palą i rabują misje chrześcijańskie, to nie czynią tego z fanatyzmu religijnego, ale z nienawiści ku wszystkiemu, co jest europejskie, co tchnie cywilizacją Europy. Ograniczenie działalności misji chrześcijańskich w Chinach, a nawet zupełne jej wzbronienie, położenia nie poprawi wcale.

Właściwy bohater dramatu południowo-afrykańskiego, który od roku trzyma w naprężeniu uwagę całego świata, prezydent republiki Transwaalskiej Paweł Krueger, zniknął z widowni dziejowej. W otoczeniu kilku urzędników swoich schronił się do Lourenço-Marquez, gdzie zamieszkał pod opieką gubernatora portugalskiego. Okręt wojenny, ofiarowany mu gościnnie przez rząd holenderski, zawieźć ma sędziwego prezydenta do Holandji. Urzędowy komunikat rządu transwaalskiego donosi, że prezydent otrzymał sześciomiesięczny urlop, ażeby zakolać raz jeszcze do rządów europejskich o interwencję na rzecz nieszczęśliwych państw boerskich. Tak głosi komunikat urzędowy, w rzeczywistości jednak pod formą tą dokonywa się rozwiązanie republiki południowo-afrykańskiej, które Anglja wprost zagarnęła bez żadnego z niczyjej strony protestu.

Wypadki, które spowodowały usunięcie się Kruegera z widowni, na której tak długo odgrywał pierwszorzędną rolę, nie pozbawione są wysokiego tragizmu. Sędziwy prezydent, który śmierci tak często, bez cienia nawet strachu, zaglądał w oczy, odczuwał instynktowną obawę na myśl, że Anglicy zesłać go mogą na wyspę św. Heleny, czem go już oddawna straszyla. Ażeby uniknąć tego smutnego losu, pro-

wadził beznadziejną walkę do ostatecznych granic, i dopiero gdy wszystkie już niemal środki wyczerpał, uciekł przed widmem wygnania na grunt neutralny. Myśl, że w Europie będzie mógł jeszcze coś zdziałać dla ukochanej ojczyzny, jest pociechą, w którą on sam nawet nie wierzy, a cóż dopiero mówić o poddanych. Mocarstwa, które w dniach powodzenia oręża boerskiego nie przedsięwzięły nic dla powstrzymania morderczej walki, które i po zgnębieniu rzeczo-popolitych południowo-afrykańskich nic nie zrobiły dla ulżenia smutnemu losowi zwyciężonych, nie widzą dziś powodu mięszać się do sprawy, rozstrzygniętej już prawem silniejszego.

Paweł Krueger odegrał już swoją rolę i należy dziś do historii. Współcześni w wielu wypadkach przecenili wprawdzie zarówno ciemne jak i jasne strony tej postaci, nie można mu jednak odmówić pewnych rysów wielkości, za której upadek nie na niego tylko spada odpowiedzialność. Wiedział on wprawdzie dobrze, jaki stosunek zachodzi między środkami afrykańskich jego rodaków a potęgą światową Anglii, i że porywa się do walki bardzo nierównej; jeżeli mimo to dopuścił do wybuchu wojny, a nawet sam wojnę tę wywołał, to kierowało nim przeświadczenie, że niema innego wyjścia, że zatarg nie da się załatwić bez zdobycia miecza. Miał do wyboru albo poniżającą kapitulację bez cienia oporu, albo wojnę. A widoki wojny tej ułożyły się dlań od samego początku niezwykle pomyślnie. Lepsze wyzyskanie pierwszych wielkich orężnych powodzeń, poparte ogólnem powstaniem Afrykandrów w kolonjach angielskich, byłoby niezawodnie wywołało zupełnie nowe ukształtowanie się stosunków politycznych w Afryce południowej, wręcz przeciwne zamiarom Anglików. Energja i wytrzymałość Kruegera nie ugięła się jednak i wówczas, gdy oręż boerski słabnąć zaczął pod ciężarem przeważających sił angielskich. I jak z początku wojny świat cały zdumiony był wyborem uzbrojeniem i wyćwiczeniem armji boerskiej, tak i teraz podziw w nim budziła wytrwałość, z jaką sędziwy prezydent prowadził dalej wojnę, mimo, że już wszystko niemal było stracone, armja zdziesiątkowana, najlepsi wodzowie, bądź poszli na wygnanie, bądź legli na polu sławy. Dzięki olbrzymiej popularności, podniecał na nowo gasnący zapal rodaków i w chwili, gdy Anglicy pewni już byli, że potęga Boerów na zawsze złamana, zapisywał się mały, o wolność walczący naród, nowem świetnem zwycięstwem na kartach historii.

Ustąpienie Kruegera z widowni wypadków to początek smutnego końca. Wojna w wielkim stylu już skończona;

armji Boerów, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, już nie ma, gdziekolwiek ukazują się jeszcze luźne oddziały maruderów, które, prędzej czy później, czeka los towarzyszy. Dzielnny wódz De-Wet, dzięki któremu zajaśniał oręż Boerów raz jeszcze ostatnim, potężnym blaskiem, poległ.

Głównodowodzący armją angielską marszałek Roberts wraca do ojczyzny syt sławy i zwycięstw, odniesionych nad pięćdziesiątkroć słabszym wrogiem. W ojczyźnie czeka go uznanie, czekają zaszczyty... i łzy tych dziesiątków tysięcy rodzin, którym wojna transwaalska zabrała najdroższe osoby.

— Na kogo, po Transwaalu i Chinach przyjdzie kolej paść ofiarą nienasyconej dążności państw europejskich do rozszerzenia ich kolonji i handlu zewnętrznego? Odpowiedź znajdujemy w liście korespondenta *S. Petersburskich Wiadomości* z Tangeru. Według niego, nadużycia Europejczyków, Amerykanów i protegowanych przez nich żydów marokańskich muszą w niedługim czasie doprowadzić rząd i ludność cesarstwa marokańskiego do czynnej obrony przeciw niemożliwemu wyzyskowi tego nieszczęśliwego kraju, znajdującego się obecnie, dzięki działaniom europejskich i amerykańskich cywilizatorów, o jeden krok od zupełnej anarchji. Obecnie rząd marokański ma dwa kłopoty. Stany Zjednoczone domagają się wynagrodzenia za straty, poniesione przez ich protegowanego, marokańczyka—lichwiarza i grożą, że w razie odmowy poprą swoje wymagania siłą. Drugi kłopot stanowi ruch wojska francuskiego na południe Marokko. Dalej korespondent donosi, że w Tulonie czynią się śpieszne przygotowania, z powodu oczekiwanych w Marokko wypadków i że admirał Fournier odebrał rozkaz trzymać eskadrę śródziemnomorską w pogotowiu do działań wojennych. Pogłoski o blizkiej inwazji Francuzów wzburzyły marokańczyków i korespondent sądzi, że w najbliższej przyszłości nastąpi wybuch fanatycznej nienawiści ludności mahometańskiej do Europejczyków, nieunikniona napaść na których da powód do interwencji. Anglja poczyniła już w Gibraltarze wszystkie potrzebne przygotowania do natychmiastowego w danym razie zajęcia Tangeru, które może być dokonane w ciągu jednej doby. A imani wielkich meczetów w Fezie, Marokesz i Mekinecie głoszą już „*dżechad*“ — wojnę świętą przeciwko gjaurom, która ma poruszyć wszystkie kraje muzułmańskie. Korespondent jest przekonany, że w Marokko Francja i Anglja działają w zupełnem porozumieniu... Biedne Marokko!

Rozwiązanie parlamentu wiedeńskiego, którem rząd au-

strjacki tak długo straszył niesfornych obstrukcjonistów niemieckich, stało się po trzy i pół letnich bezowocnych obradach faktem dokonanym. Rozwiązana świeżo Izba deputowanych zapisała się w historii parlamentaryzmu austriackiego niebywałymi skandalami, bójkami na noże, dwunastogodzinnymi mowami obstrukcyjnymi, kocią muzyką i tym podobnymi środkami obstrukcyjnymi, stosowanymi naprzemian to przez Niemców, to przez Czechów. Izba ta wstawiła się nadto przez to, że w ciągu niedługiego swego istnienia obaliła aż pięć gabinetów: Badeniego, Gautscha, Thuna, Clary'ego i Witteka. Gabinet ostatni dr-a Koerbera starał się przez pewien czas wprowadzić obrady parlamentu na normalne tory, gdy jednak przekonał się o bezowocności tych usiłowań, rozwiązał Izbę. Był to, jak się wyraził cesarz austriacki do jednego z posłów polskich podczas pobytu swego w Jaśle—ostatni środek konstytucyjny gabinetu przedlitawskiego. Czy słowa te stanowią mają groźbę, że Austria rządzić się będzie nadal środkami niekonstytucyjnymi, przyszłość pokaże.

Rozwiązana niedawno Izba zebrała się po raz pierwszy w zwiększonym komplecie (z powodu utworzenia nowej kurji wyborczej, powszechnej), dn. 29 marca, 1897 r. Na czele gabinetu stał wówczas hr. Kazimierz Badeni, posiadający najzupełniejsze zaufanie cesarza, mąż „żelaznej ręki“, jak go powszechnie nazywano. W nowym premierze austriackim pokładano wielkie nadzieje, uważano go powszechnie za owego męża opatrnościowego, który przyprowadzić ma do równowagi skołataną nawę austriacką. A czekało go zadanie nielada, odnowienie ugody z Węgrami na odmiennych, niż dotąd, warunkach. Hr. Badeni, pragnąc złamać niesłuszną hegemonję Niemców i równocześnie pozyskać dla swoich planów Czechów, przez zrównouprawnienie ich z ludnością niemiecką, wydał owo znane rozporządzenie językowe, które następnie stało się przyczyną upadku zarówno jego, jak i następnych gabinetów i o które po dziś dzień wre walka zacięta.

Niemcy, zagrożeni jakoby w „najświętszych“ swych prawach, podnieśli wrzawę i rozpoczęli taktykę obstrukcyjną, uniemożliwiającą obrady. Hr. Badeni widział się zmuszonym zamknąć sesję parlamentu, w nadziei, że się namiętności uspokoją i że potrafił może zdobyć sobie większość. Nadzieje te zawiodyły. W zwołanej w trzy miesiące potem powtórnie Izbie obstrukcja wybuchła z większą jeszcze gwałtownością. Nastąpił szybko szereg znanych już faktów: pojedynek Badeniego z Wolfem, 12-godzinną mową posła Le-

chera, nocne posiedzenia, awantury, bójki, wkroczenie policji do sali obrad parlamentu, aresztowanie Wolfa i wreszcie groźne demon tracje na ulicach Wiednia.

Hr. Badeni, widząc bezowocność swych usiłowań, pragnął już dawniej ustąpić, na wyraźną jednak prośbę cesarza pozostał na stanowisku. Nic jednak zdziałać nie mógł, bo miał związane ręce; cesarz nie chciał się zgodzić na jego taktykę. Nastąpił dzień 28-go listopada, pamiętny demonstracjami na Ringstrasse. Pod naciskiem sfer dworskich cesarz polecił zamknąć Radę Państwa, a w kilka godzin potem hr. Badeni otrzymał dymisję.

Po Badenim fotel prezydjalny objął Gautsch, który rządził na podstawie § 14. Rozporządzeń językowych poprzednika swego nie zniósł, ale je ograniczył na korzyść Niemców, poczem zdał rządy następcy swemu hr. Thunowi. Ale i temu nie lepiej się wiodło, aczkolwiek prowadził politykę pojednawczą. Najlepsze usiłowania rozbiły się o opór Niemców. Hr. Clary obejmuje nawę państwową z wyraźną misją prześlągania Niemców. Znosi rozporządzenia językowe, czem wywołuje zaciętą opozycję ze strony Czechów. Rozpoczyna się na nowo ta sama taktyka obstrukcyjna, która nie pozwala mu przeprowadzić ugody z Węgrami, sprawy w najwyższym stopniu naglącej. Ustępuje więc miejsca gabinetowi urzędniczemu Witteka, który po krótkim żywocie oddaje ster państwa w ręce dr-a Koerbera.

Napróżno dr. Koerber usiłował uspokoić wzburzone umysły i natchnął je chęcią do pracy ustawodawczej; Czesi oświadczyli stanowczo, że trwać będą w opozycji, dopóki nie otrzymają zadośćuczynienia za zniesienie rozporządzeń językowych, Niemcy natomiast ani słyszeć nie chcieli o równouprawnieniu Czechów. W tych warunkach rozwiązanie Izby było rzeczywiście jedynym środkiem, jakiego w danej chwili użyć można było.

Czy środek ten przyniesie jaką korzyść, niedaleka przyszłość pokaże, wybory bowiem do nowej Izby odbędą się w ciągu trzech, a najdalej czterech miesięcy.

Walka wyborcza da żywiołowi radykalnemu obszerne pole do rozwinięcia zgubnej swej działalności, i — jak jest mniemanie powszechne — wzbogaci stronnictwo radykalne o sporą ilość nowych mandatów. Dziś już wielu posłów najrozmaitszych odcieni, którzy od szeregu lat z pożytkiem pracowali na arenie parlamentarnej, oświadcza, że o mandaty w nowej Izbie ubiegać się nie będą. Ktokolwiek zwycięży, społeczeństwo na tem straci, nawyknie bowiem do politykowania, roznamiętniającego umysły i odciągającego je od

pracy. Walka wyborcza zaogni nadto w wysokim stopniu rozwinięty już dziś silnie antagonizm narodowościowy. Wybory z obydwu stron, tak niemieckiej, jak i słowiańskiej, odbędą się pod hasłem nieustępowania ani na krok. Czyż w takich warunkach można myśleć o tem, że nowa Izba będzie lepszą od swej poprzedniczki? Stosunek posłów według narodowości zasadniczej zmianie, w niej nie ulegnie; liczyć ona będzie tak jak i dawniejsza: Niemców 195, Czechów 83, Włochów 19, Słoweńców 18, Kroatów 9, Polaków 69, Rumunów, 5, Serbów 2, Rusinów 11, socjal-demokratów 14. Na czemże więc tu oprzeć nadzieje na lepszą przyszłość? Wszystko składa się na to, że rozwiązanie parlamentu nie wpłynie na zmianę położenia i że monarchja habsburska przygotować się musi na długi szereg dotkliwych przykrości.

R. .

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Zarzucają zwykle modzie, że jest kapryśną i nielogiczną tyranką. Jeśli jednak wnikiemy bliżej w jej ostatnie wyroki, przekonamy się, że to zarzut niesłuszny—chwilowo przynajmniej. Obecna moda jest różnorodną, i każda z pań może w niej znaleźć coś odpowiedniego dla siebie. Przytem jej nowe fasony są tak harmonijne, że trzeba być zupełnie gustu pozbawioną, aby się niegustownie ubierać. Suknie obcisłe, „oblepiające“, stworzone są jakby dla kobiet dobrze zbudowanych, odznaczających się, że tak powiem „pulchną szczupłością“; inne znajdują w obecnych fasonach mnóstwo takich, które pokryją przyrodzone usterki i braki. W zakresie staników noszone są bluzki, żakieciki, staniki gładkie, marszczone i t. d. Co do bluzek zarówno cieszą się uznaniem gładkie, jak i w zakładeczki, we wstawki, z kołnierzami wykładanymi, z paskami szerokimi, z wąskimi. Wszelkie fasony są modne.

To samo da się powiedzieć o żakiecikach. I tu widzimy krótkie, długie, otwarte, zapięte, krojem męzkim, fantazyjne, słowem najrozmaitsze. Ze staników gładkich najmodniejszym jest ten, który przedstawia № 1 naszej ryciny: zaszewki odznaczone stębnówką, kołnierzyk wykładany, do tego stojący płócienny i krawat męzki. Ale ten fason nie nadaje się do każdej figury i do każdej twarzy: trzeba być dobrze zbudowaną, aby wytrzymać ogniową próbę takiego „oblepionego“ stanika. Wprawdzie obecnie noszone są na gorsetach podkładki fiszbinowe, idące od biustu do ramienia

nadające sztuczną pełność figurze, ale podobne „sztuczki“, tak samo jak róż i bielidło nikogo w błąd nie wprowadzą. Co zaś do kołnierzyków—dobrze to dla osób młodych o świeżej twarzy, lub dla zupełnie starych, którym już obojętnem jest, jak wyglądają, byle przedstawiały się schludnie; panie lat średnich, dbające o swoją powierzchowność, nie powinny nosić białych krochmalnych kołnierzyków, bo przy nich nieświeża cera odbija.

Przyjrzyjmy się teraz spódnicom. I tu wybór wielki: mamy gładkie z kontrafałdami ztyłu, odpowiednie dla osób

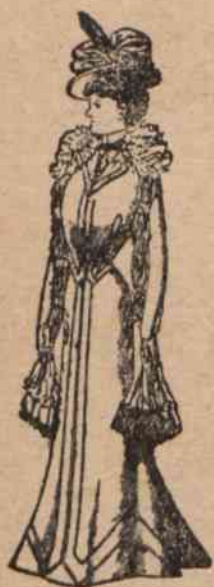


Fig. 1.



Fig. 2.



tęgich, szerokich w biodrach; spódnice z tunikami, z przeróżnymi falbanami, w zakładki od dołu do kolan; te ostatnie najlepiej wcielają przewodnią myśl obecnej mody, jednocząc wąskość u góry z dużą objętością u dołu. Należy jednak dodać, że ten fason wychodzi najlepiej w materiałach miękkich i lekkich, i że niezbyt jest wygodnym w toaletach spacerowych, bo musi być powłóczysty dokoła, a żadna rozsądna kobieta nie lubi zamiatać ulic. Najodpowiedniejszą spódnicą spacerową jest gładka, sięgająca zaledwie do ziemi, uzupełniona zakiecikiem.



Kostjum jesienny.

Aby dowieść, jak logiczną jest moda obecna, zwrócę uwagę na rękawy zakończone bufą z muszliny lub tiulu: pojawiły się one wraz z bolerami, otwartymi z przodu i uzupełnionymi szmizetką w rodzaju bluzki; otóż taka bufa wygląda jak rękawek bluzki, wychodzący z rękawa wierzchniego stanika. (Patrz rycina № 2).

Dobrze jest, a nawet pożytecznie rozprawiać o modzie, wskazywać jej najnowsze zdobycze, ale nie należy też tracić z oczu i innych spraw z nią związanych, ani pomijać praktycznych wskazówek. Otóż na schyłku lata zużyły się już stroje letnie i wypowiadają posłuszeństwo. Za wcześnie jeszcze na zimowe. Jakże więc sobie poradzić? Jak odnowić suknie i kapelusze, nadać im znowu pozór nowości, naprawić to, co uszkodziło słońce? Otóż mody wczesnej jesie-



Fasony kapeluszy jesiennych.

ni podobne są do jesiennych kwiatów—jaskrawszych od wiosennych, bogatszych pod względem kolorystycznym. Chcąc zgotować nowe tryumfy toaletom, które już odbyły letnią kampanię, najlepiej podnieść je, ożywić dodatkami. A więc suknie beżowe, popielate, oraz inne można odświeżyć przy pomocy jedwabnej materijki kraciastej lub gładkiej, z której robi się udrapowana dokoła ramion szarfa szerokości 50 cent., spływająca z przodu do pasa w kształcie bretelek lub też związana w węzeł kunsztowny. Inna kombinacja: pasek z materji, obciągniętej na figurze, także same, bardzo szerokie wyłogi. Najłatwiej dają się odświeżać szmizetki, tak powszechnie noszone przy bolerach, a odnawiana lub zmieniana szmizetka nadaje świeższy wygląd całej toalecie.

Tak samo z kapeluszami: póki jeszcze jasno i ciepło, aż do października, a czasem i do połowy tego miesiąca bywają noszone, a właściwie donaszone kapelusze letnie, zwłaszcza ciemne. Ten system „donaszania” jest praktyczny, bo

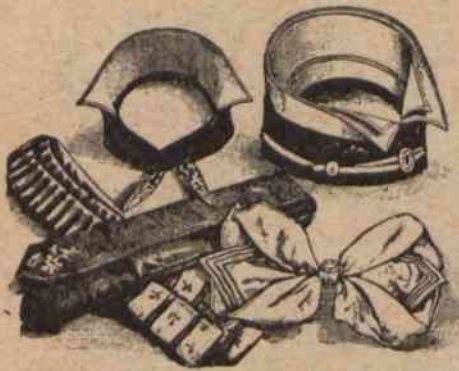


Angielski kostjum jesienny z żakietem.

przy końcu sezonu wymagania mniejsze, krytyka przyjaciółek; pobłażliwsza; lepiej zatem zużyć do ostatka rzecz, która już na wiosnę będzie niezdatną do użycia. Ale jak odnowić

kapelusz nieświeży? Jeżeli jest ze słomy angielskiej, trzeba go naprzód wyczyścić szczotką, gdy to nie pomaga, wziąć gąbkę, umaczać ją w wodzie letniej namydlonej lub w lek-
kim roztwarze boraksu. Gąbkę wyżyć i wodzić nią szybko i lekko po słomie, żeby jej nie przemoczyć, bo wysychając straciłaby formę. Po umyciu można słomę polakierować lakierem bezbarwnym, co nada jej pozór świeżości. Gdyby jednak słoma była spłowiała od słońca lub deszczu, w takim razie trzeba użyć lakieru tej samej barwy, w ciemniejszym odcieniu. Słomki białe, popielate, żółte dają się lakierować na ponsowo, granatowo, brązowo; czarne odświeżają się tylko lakierem czarnym. Takich lakierów można dostać w każdym składzie aptecznym.

Słomę czarną odświeża się inaczej; niepodobna jej oczyścić z kurzu przy pomocy samej tylko szczotki; trzeba na-



Kołnierzyki i krawaty.

cierać wata, umaczaną z lekka w oliwie, po zdjęciu kurzu, wytrzeć suchą wata i szczotką wyczyścić. A teraz kilka słów o garniowaniach; jeżeli są jedwabne, morowe, atłasowe, po wyczyszczeniu, pociera się je okowitą z mydłem (proporcja: na pół szklanki kawałeczek mydła wielkości orzecha laskowego), potem płucze się z lekka w czystej wodzie i suszy pomiędzy dwoma płatkami; nie należy nigdy prasować, bo materje i wstążki po zetknięciu z gorącym żelazkiem robią się sztywne, jak karton. W ten sposób mogą się odnawiać całe suknie jedwabne. Aksamit zwilża się wódką i prasuje w powietrzu. Jeżeli garniowania są już nie do użycia, to można je zastąpić jedwabnym muslinem, marszcząc go w parę dużych *chou*, co łatwo zrobić w do-

mu. Wogóle, im mniej się wkłada w przeróbki, tem lepiej.

Choć możemy jeszcze spodziewać się długiej pogody i ciepła, nie należy jednak zapominać, że jesień szybkimi krokami zbliża się i może zaskoczyć znienacka. Trzeba więc, by nas znalazła w zbrojnym pogotowiu toaletowem. O sukniach już mówiłam, pragnę udzielić jeszcze paru wskazówek co do okryć. Fason *Empire* przeważa, odmiany jego

rozmaite, a więc noszone będą palta z dwoma pelerynkami, jedna, sięgająca prawie do kolan, druga—do łokcia, kołnierz bardzo wysoki, wykładany, spięty na patkę. Drugi model ma trzy pelerynki; wreszcie trzeci typ, znajdujący zastosowanie tylko w materjałach cienkich i miękkich, tak się przedstawia: od karczka idą kontrafałdy lub fałdy, sięgające do kolan, rękawy szerokie, kołnierz stojąco-wykładany. Wogóle kołnierze *à la Medicis*, wysokie w kształcie rozchyłonego liścia, zaczynają się już przeżywać, latem zastąpiły je wykładane płaskie, w nadchodzącym sezonie miejsce ich zajmą oficerskie proste, z wyłożeniem. Palta sakowe będą wciąż noszone, jako bardzo wygodne, lecz ujrzymy je w postaci udoskonalonej, zgrabniejszej: tył bardziej wcięty, pra-



Hawelok dla pań.

wie do figury, przody luźne, skrzyżowane szeroko na piersiach, kołnierz wysoki wykładany, wprowadzono też jedną zmianę praktyczną, a mianowicie rozporek z boku będzie dłuższy, aby łatwiej móż suknię podnosić na słoty. Pojawia się też dawno niewidziany, wygodny zwłaszcza do podróży, *hawelok*, t. j. płaszcz obszerny, z rękawami w kształcie peleryny. (Podajemy model na rysunku). Wreszcie peleryny ze szkoc-

kich szalów, gładkie *Double face*, półburki, cieszyć się będą ciąglem powodzeniem. W interesie zdrowia moich czytelniczek pozwalam sobie jednak zwrócić im uwagę, że peleryna dobra jest wtedy tylko, gdy się ma drugie, cieplejsze okrycie, bo w dnie chłodne nie zabezpiecza dostatecznie od zimy, daje przystęp ostrym podmuchom i przyczynia się do kataru, influenzy i tym podobnych utrapień.

Dzisiejsza pogadanka byłaby nie wyczerpującą, gdybym w niej nie poświęciła miejsca rękawom. Ulegają one zupełnie przekształceniu, stają się daleko szersze, tracą dawną jednolitość. Oto kilka wzorów. № 1, z cienkiej wełny, dość obcisły, rozszerzający się od łokcia i zakończony bufką z jedwabnego muślinu lub tafty, oszytej wzdłuż czarnymi aksamitkami, wszyty przy rękę w pasek z tego samego materiału w rękaw i zakończony taką samą pasmanterją. № 2, z bardzo lekkiej materji; u góry fałdeczki podłużne, poniżej rękaw spada swobodnie, ujęty w szeroką wstawkę, od której idzie bufka, zakończona drugą wstawką. № 3, podobny do 1, z tą różnicą, że obcislejszy.

E. Żmijewska.

Korsarz Triplex.

(Powieść w 2 częściach).

(*Ciąg dalszy*).

— Silly nic tu nie winien,—odezwał się szybko James Pack.—Pozwolę sobie jednak udzielić rady, ażeby pan dyrektor nie wzbraniał panu Lavaredowi przyjść na wskazane miejsce. Być może, że jacyś źli ludzie chcą go ograbić i wyrządzić mu szkodę. Niech się więc uda do parku, my poszlemy tam kilku policjantów, żeby go mogli obronić i równocześnie zaarrestować złoczyńców.

Sir Allsmayne skinął głową na znak zgody. Sekretarz odepchnął bez ceremonji Littinga, który pozostał sam, przeklinając niedbalstwo policji w ogóle, a sir Allsmayne'a w szczególności. Byli oni jednak już daleko i nie mogli słyszeć jego przekleństw.

Zabawa w dokach ożywiła się coraz bardziej. Większa część wybrzeża wspaniale była iluminowana. Girlandy lamp weneckich i szklanych baloników odbijały przecudnymi arabeskami na ciemnym tle nieba. Kontury budynków

gorzały mnóstwem światła elektrycznego. Na placach, przytykających do budynków, urządzone były sklepy i stragany, otoczone zbitą masą tłumów. Dźwięk trąb miedzianych, organów parowych i najrozmaitszych instrumentów muzycznych zlewał się w nieharmonijną całość, niedającą się opisać.

Święto doków — to niemal święto narodowe. Spotkać też tu można przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa; a i złodzieje kieszonkowi nie zapomnieli zaszczycić święta swoją obecnością, wypróżniając kieszenie swych współobywateli z woreczków, pugilaresów i innych cennych przedmiotów.

Allsmayne i towarzysze zbliżali się do miejsca uroczystości.

— Nie odchodź odemnie, Silly, — rzekł naczelnik policji. — Gdy zobaczysz człowieka, który ci dał dziś rano afisze, pokażesz mi go.

Silly skinął głową potakująco. Wszyscy trzej wnięszali się w tłum, gdy nagle, jak z pod ziemi, zjawił się przed nimi agent policyjny.

— Ekscelencjo, — rzekł — przed chwilą stałem właśnie na posterunku przed cyrkiem, gdy zbliżył się do mnie jakiś nieznajomy, i wskazując na elegancko ubranego mężczyznę, wchodzącego do cyrku, rzekł: „To korsarz Triplex ten, który pisał dziś do sir Tobjasza Allsmayne’a.“

— Gdzież ten nieznajomy?

— Zginął w tłumie, zanim miałem czas mu się przypatrzeć.

— Ach, to fatalne!

— Ja sądzę, ekscelencjo, że, jeżeli znajdziemy Triplexa, nie będziemy potrzebowali kłopotać się o tego człowieka.

— Tem bardziej, — dodał James Pack, — że człowiek ten nie zaniecha zgłosić się po nagrodę, wyznaczoną za wydanie korsarza.

Uwaga ostatnia uspokoiła widocznie nieco naczelnika policji.

— Masz pan słuszność, — odpowiedział, a zwracając się

do ajenta policyjnego, zapytał: — No i cóż, schwytaliście tego bandytę?

— Nie, ekscelencjo, nie chciałem przerywać przedstawienia. Ustawiłem przy bramie cyrkowej czterech młodych ludzi z rewolwerami i dałem im, na wszelki przypadek, kajdanki. Żeby nie wiem jak silny był ten Triplex, i tak im nie da rady.

— A więc wygląda na mężczyznę silnego?

— Bez wątpienia: wysokiego wzrostu i silny jak atleta. Ma oczy niebieskie i wielką blond brodę.

— Mamy więc nareszcie jego rysopis — mówił zacieraając ręce z zadowoleniem sir Allsmayne. — A zatem panowie, nie traćmy czasu i chodźmy do cyrku.

Udali się w stronę cyrku tak szybko, jak na to pozwalały gęste tłumy publiczności, i znaleźli się wkrótce u celu. Placyk przed cyrkiem był pusty, z zewnątrz dochodziły głośne brawa i oklaski. Przy schodkach drewnianych, prowadzących do cyrku, stało nieruchomo jak posągi czterech ludzi.

— To moi ludzie, — rzekł, wskazując na nich agent.

— Dobrze, dobrze! Przedstawienie skończy się niezawodnie za kilka minut. Nie możesz mi pan pokazać tego korsarza?

— Mogę, ekscelencjo. Zrobiłem w deskach naprzeciw wejścia otwór. Może ekscelencja zechce pofatygować się za mną.

Naczelnik policji udał się za agentem; wkrótce znaleźli się przed otworem, wypłowanym w ścianie cyrkowej.

— Niech ekscelencja spojrzy tu: siedzi w pierwszym rzędzie, tuż naprzeciw nas.

Allsmayne spojrział w otwór i ujrzał rzeczywiście w pierwszym rzędzie mężczyznę, z długą, blond brodą. Naczelnik policji zadrzał z radości.

Ten, którego tak śledzono, rozkoszował się widocznie widowiskiem. Oparty łokciami o barjerę z uśmiechem śledził karkołomne produkcje kłowna.

— Ani mu przez myśl nie przejdzie, że go oczekują przed cyrkiem, — szepnął Allsmayne do ucha sekretarzowi.

— Prawdopodobnie. Zkąd bo wiedzieć może, że został zdradzony?

Sir Allsmayne zatopił się znowu w obserwowaniu korsarza. Doznawał uczucia szczególnego zadowolenia. Widział teraz na własne oczy wroga, który napawał go grozą nadprzyrodzoną szybkością swoich ruchów.

— No, a teraz dość tych żartów! — zasyczał przez zęby. — Skończyły się twoje figle z nami. Szubienica uwolni nas niebawem od twoich sztuczek!

Nagle zamilkł. Na arenę wyszedł sam dyrektor cyrku, master Moenky i podziękowawszy „szanownej publiczności“ oświadczył, że się przedstawienie skończyło.

— Prędej do wyjścia, — rzekł Allsmayne.

Pobiegli pędem do schodków. Policjanci stali na swoich stanowiskach. James Pack i Silly, z wyrazem łatwo zrozumiałego zaciekawienia na twarzach, zajęli miejsca obok schodków. Allsmayne stanął obok nich, niezwracając wcale uwagi na tajemniczy uśmiech, błakający się na twarzach to jednego, to drugiego.

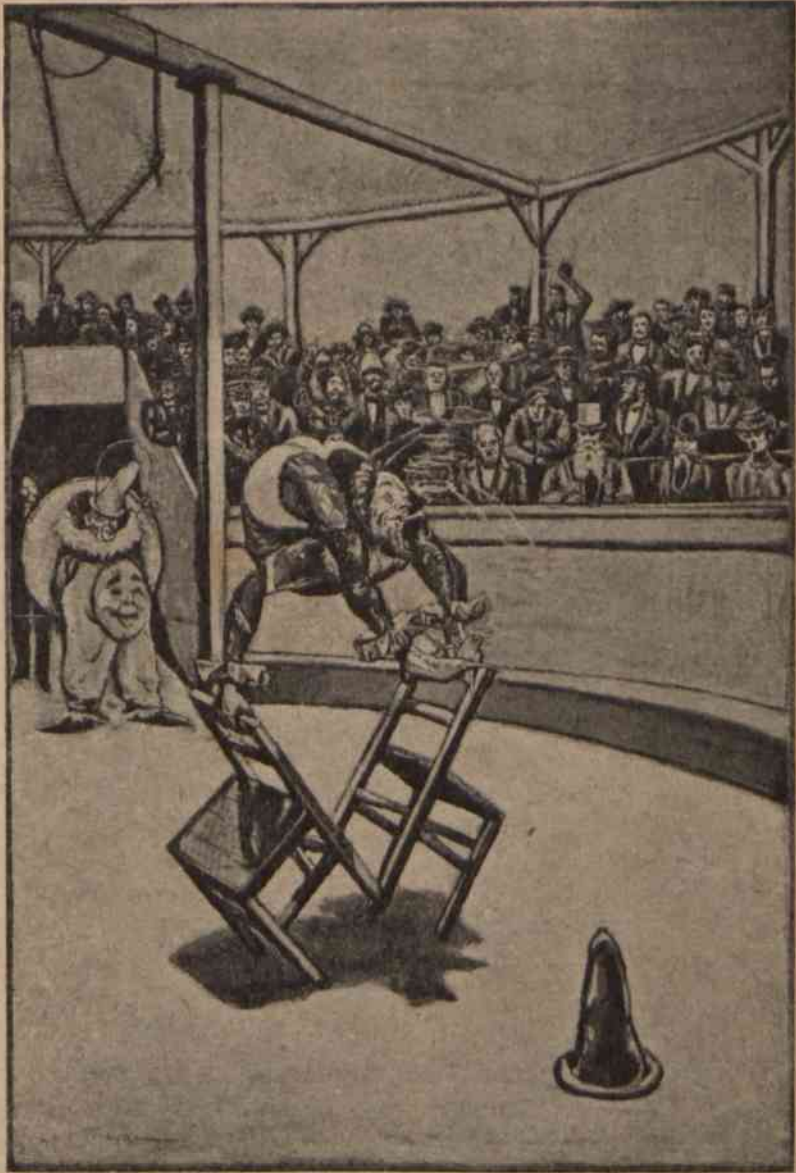
Ciężka zasłona, zakrywająca drzwi, podniosła się, tłum schodzić począł zwolna schodami. Odbywało się to tak wolno, że naczelnik policji przyjrzeć się mógł każdej twarzy. A poznać tego, którego oczekiwali, było bardzo łatwo, dzięki długiej brodzie.

Tłum zaczął już przerzedzać się, a jego ciągle jeszcze nie było. Zeszli w końcu i ostatni spóźnieni widzowie, zasłona opadła znowu. Cyrk był pusty, a korsarz Triplex nie wychodził zeń.

Sir Allsmayne i towarzysze nie mogli się ruszyć z podziwu z miejsca. Z piersi naczelnika policji wyrwał się wreszcie okrzyk wściekłości, poczem rzucił się jak szalony na schody. Zanim pobiegli i inni.

Na środku areny stał master Moenky w czarnym fraku, wydając rozkazy służbie. Robił właśnie przygotowania do ostatniego przedstawienia, dopóki jeszcze nie pogaszono iluminacji.

— Proszę, proszę panów! — wołał donośnym głosem. —



Oparty łokciami o barjerę sledził karkołomne produkcje kłowna. (Str. 53t).

Zaraz rozpocznie się przedstawienie, tylko skończymy przygotowania.

— Tu nie o przedstawienie idzie, — odezwał się gniewnie naczelnik policji. — Musimy aresztować łotra.

— Między moimi artystami niema łotrów.

— Kto panu to powiedział? Był między publicznością i powinien był wyjść z cyrku.

— Przez drzwi.—odrzekł z wyrazem urażonej godności własnej Moenky. — Po przedstawieniu stałem przy drzwiach wraz z służbą. Publiczność opuściła cyrk w zupełnym porządku.

— My jednak widzieliśmy wszystkich i nikt nie odpowiadał jego rysopisowi.

— Jakiemu rysopisowi?

— Wysoki, tęgi mężczyzna, z jasno blond brodą.

— Widziałem go, — odezwał się piskliwym głosem jeden z kłownów, przysłuchujących się tej scenie,—widziałem na własne oczy i zaraz pomyślałem sobie: Na prawdziwą to ta broda trochę za ładna.

— Co? — krzyknęli obecni.

— No tak, broda była przypawiona.

— Przypawiona! — krzyknął Allsmayne takim głosem, że aż wszyscy zadrżeli. — Przypawiona?

— Nie pomyliłem się, była przypawiona. Obserwowałem pilnie tego pana przed wyjściem z cyrku. I nagle, pa-trzę, trach! zerwał brodę i schował w kieszeń.

Naczelnikowi policji gniew tamował mowę.

— Czyś pan pewien jest tego, co mówisz? — zapytał zdławionym głosem.

— Najpewniejszy.

I podszedłszy do miejsca, w którym Allsmayne widział swego niepochwytnego przeciwnika, mówił dalej:

— Ot, tu siedział.

Ażeby słowom swoim nadać więcej siły przekonywującej, uderzył ręką po czerwonej materji, którą obita była barjera, zaraz ją jednak cofnął.

— Aj! — krzyknął. — Ukłułem się!

Wszyscy nachylili się ku barjerze; w miejscu, gdzie

korsarz oparty był łokciami, przypięty był szpilką bilet wizytowy.

Allsmayne pochwyił go szybko, a spojrzawszy nań, rzucać się zaczął, jak w napadzie furji.

Bilet zawierał następujące słowa:

„Korsarz Triplex

daje sir Allsmayne'owi dobrą radę:

Niech nie próbuje pochwyić tego, który jest wszędzie obecny.“

A więc Triplex nietylko wymknął się, ale i szydził z swoich prześladowców.

W tej chwili wbiegł do cyrku zadyszany agent policyjny z doniesieniem, że korsarz Triplex znajduje się w domu gry Johna Billinga, t. j. na drugim końcu ulicy nadbrzeżnej.

Wściekłość Allsmayne'a doszła do ostatecznych granic. Obrzucił Bogu ducha winnego agenta gradem najniegrzeczniejszych przezwisk. Wreszcie, przyszedłszy nieco do siebie i uspokoiwszy się, zapytał:

— Jak go pan poznałeś?

— Według rysopisu, nadesłanego do wszystkich posterunków policyjnych przez agenta Burleya, który obecnie znajduje się przy waszej ekscelencji.

— Jakiż to rysopis?

— Mężczyzna wysokiego wzrostu, z niebieskimi oczyma, z długą, jasno-blond brodą.

Mimo wściekłego wzroku Allsmayne'a, cała służba cyrkowa wybuchnęła głośnym śmiechem. To ściganie korsarza, tracącego i odzyskującego napowrót, według upodobania, brodę, zaczynało być istotnie zabawnem.

— Dobrze, — rzekł James Pack, uprzedzając grad nowych przezwisk, które gotowe były spaść z ust jego naczelnika, — mnie się zdaje, że powinniśmy udać się natychmiast do tego domu gry. Jeżeli się pośpieszymy, to, być może...

Słowa te, rzucające słaby promyk nadzieji, uspokoiły sir Tobjasza.

Nie pożegnawszy nikogo, wyszedł z cyrku, i rozpychając się na wszystkie strony łokciami, skierował się ku ulicy nadbrzeżnej. Towarzyszący urzędnicy podążyli za nim.

Wkrótce stanęli przed domem, o oświeconych rzęsiście oknach. U wejścia spotkał ich urzędnik policyjny, który wręczył naczelnikowi list.

— Co to za list?

— Nie wiem, ekscelencjo. List ten oddał mi jakiś młodzieniec dla wręczenia ekscelencji.

James Pack zamienił znowu znaczące spojrzenie z Sillym.

Gorączkowym ruchem rozdarł Allsmayne kopertę i wyjął z niej kartkę papieru, na której wielkimi literami wypisane było:

„Korsarz Triplex.“

Poniżej umieszczony był następujący dopisek ołówkiem:

„Żałuję bardzo, że nie mogłem doczekać się sir Allsmayne'a. Nie sądzonem nam widocznie było spotkać się u Johna.“

Tym razem naczelnik nie rozgniewał się. Ogarnął go jakiś lęk przed człowiekiem, który śmiał szydzić z całej uruchomionej dla schwytania go policji sydneyjskiej. Dawniej nie wierzył w obecność korsarza w kilku miejscach równocześnie, teraz przekonać się miał o tem z własnego doświadczenia. Graniczyło to z czarami i zaczynało być niebezpiecznem. Dręczony obawą Allsmayne, stał teraz na jednym miejscu, nie wiedząc, co dalej począć.

Gdy tak zajęty był rozmyślaniami, zbliżył się doń jakiś męczyzna niewielkiego wzrostu, w odzieży robotnika. Z pod wyszarzałej czapki wymykały się nieposłuszne sploty czarnych włosów. Położył spracowaną dłoń swą bez ceremonji na ramieniu Allsmayne'a, mówiąc:

— Wszak prawda, że nagrodę w wysokości 4 tysięcy funtów otrzyma ten, który wydał korsarza Triplexa? To ja pisałem do pana dzisiaj rano, dodał ciszej.

Naczelnik był w takim usposobieniu, że zamiast odpowiedzi obrzucił nieznanego wymówkami.

— Jakto, chcesz mnie pan jeszcze na śmieszność narazić! Wszak wiesz, że korsarz kpi sobie z nas. Niezawodnie i ciebie wysłał po to tylko, ażeby się mógł naśmiać potem ze mnie do woli. Ale nic z tego, bo ja każę cię, bracie, aresztować.

Robotnik przeczekał spokojnie potok słów. Gdy wreszcie Allsmayne zatrzymał się, ażeby chwycić powietrza, odezwał się:

— Jeżeli mi pan nie wierzysz, proszę mnie kazać okuć i proszę udać się za mną. Zaprowadzę pana do domu, w którym Triplex przepędził cały wieczór, zajęty pisaniem czegoś.

Usłyszawszy taką propozycję, Allsmayne uspokoił się w jednej chwili. Zachowanie się robotnika rozbroiło jego nieufność.

— Czy jesteś pan pewny, że go pochwycimy?—zapytał łagodniejszym już głosem.

— Niezawodnie, jeżeli tylko nie będziemy tracić czasu. Pan mnie rozumie?

— To znaczy, że mamy iść natychmiast?

— To właśnie chciałem powiedzieć.

— A więc prowadź nas.

Naczelnik policji chciał już zawołać Packa, Sillego i agentów swoich, nieznajomy jednak powstrzymał go ruchem ręki.

— Pan niepokoisz się nieco, jak widzę; każ mi więc przedewszystkiem nałożyć kajdany.

— Żartujesz chyba?

— Nie, mówię najzupełniej serjo; trzeba być przygotowanym na wszystko. Nie chcę, ażebyś pan w razie niudania się naszej wyprawy, powątpiewał w moją szczerłość.

Allsmayne wahał się jeszcze, nieznajomy nalegał jednak:

— Bój się pan Boga, prędszej, czas ucieka.

Naczelnik policji uległ. Nieznajomy przyglądał się z zadowoleniem czynności nakładania kajdanów na ręce.

— A teraz jestem gotów, — rzekł wesołym tonem.

— Idźmy więc.

Nieznajomy szedł naprzód, zanim postępował Allsmayne z agentami; Pack i Silly zamykali pochód. Silly dotknął drżącą ręką Jamesa Packa.

— Nie bój się, Silly, — przemówił Pack tonem łagodnym, — zaufaj mi. Wierzyłeś przecie w szczerłość moich słów. Nadeszła wreszcie chwila, o której ci mówiłem.

Malec obrzucił go wzrokiem pełnym łez; na twarzy jego malowało się jakieś niczem nie wytłomaczone wzruszenie.

— Uspokój się, w przeciwnym razie zwrócić mogą na nas uwagę.

— Masz pan słuszność, panie Pack, będę mężny.

-- Musisz być mężnym, Silly. Czy możesz iść?

— Zdaje się, że będę mógł.

— Zbliźmy się do Allsmayne'a. Trzeba, ażeby nas ciągle miał na widoku.

Przypieszyli kroku i dopędzili wkrótce naczelnika policji. Miejsce uroczystości, gorejące jasnym światłem, pozostawili za sobą. Przed nimi ciągnęły się długim szeregiem ciemne ulice. W domach wszyscy już spali. Kroki ich głośnym echem rozlegały się wśród ciemności. Od czasu do czasu spotykali spóźnionego przechodnia, który z trwogą i ciekawością przypatrywał się grupie urzędników policji. To znowu mijali ich dyżurni policyjni, a poznawszy dyrektora, szepotali:

— Sam naczelnik wziął się do roboty. Musiało zajść coś ważnego.

Minęli urząd pocztowy, olbrzymi gmach w stylu włoskim, z wspaniałą kolumnadą granitową, przeszli mimo wysokiej wieży ratuszowej, a robotnik ciągle szedł i szedł.

Stanęli w końcu na przedmieściu. Robotnik zatrzymał się nagle przed wązką, ciemną uliczką.

— Jesteśmy na miejscu, — szepnął.

Allsmayne zmierzył wzrokiem długość ulicy.

— To tu?

— Tak jest, o 20 metrów stąd, w małym domku. Za domem ogród i w parkanie kilka wejść. Należałoby otoczyć dom.

— Ażeby nam zwierzyna nie uciekła? masz pan słuszność.

Allsmayne wydał osobiście rozkazy. Urzędnicy policyjni, gromadkami po 2 i 3, znikli w sąsiednich ulicach. Przy naczelniku pozostał tylko 1 agent, James Pack i mały Silly. Ostatni blady był, jak chusta, i drżał na całym ciele.

— My we czworo staniemy przy drzwiach, — rzekł Allsmayne. — Ja mam rewolwer, a pan panie Pack?

— Ja mam również.

— A więc idźmy.

Robotnik wszedł w uliczkę. Postępował na palcach, starając się nie robić najmniejszego bodaj szmeru. Inni poszli za jego przykładem. Wszyscy pojmowali doniosłość chwili. Uszedłszy ze 30 kroków, przewodnik zatrzymał się przed małym domkiem z zamkniętymi okiennicami i ciężką dębową bramą, około której zawieszony był młotek miedziany. Z pomiędzy szczelin w okiennicach przebijało światło. Robotnik wskazał je palcem. Wszyscy zrozumieli znaczenie tego gestu. Korsarz Triplex był w tym domku.

Uzucie, jakiego doznaje urzędnik policyjny przed aresztowaniem wielkiego zbrodniarza, przypomina uczucie myśliwego. Allsmaynem wstrząsał dreszcz nerwowy. Zdawało mu się, że przez okiennice widzi wroga swego, piszącego coś przy świetle lampy. Wyobrażał sobie jego przerażenie, gdy zobaczy, że nie ma wyjścia. Allsmayne czuł się teraz naprawdę szczęśliwym. Uwięzienie tego człowieka uwalniało go od niedającego się opisać rozdrażnienia, w jakim dotąd pozostawał, a nadto otwierało mu drogę do nowych zaszczytów. Teraz mógł już liczyć na wszystko. W uszach jego brzmiał już słodką melodią tytuł lorda, tytuł, który w naiwnej chępliwości swej uważał za należący się jaknajśluszniej swojej rodzinie.

Ciszę nocną przerwało nagle przeciągłe gwizdnięcie. Był to znak, że dom już otoczony. Allsmayne wy dobył rewolwer, lewą ręką ujął za młotek, i uderzywszy nim 3 razy w bramę, wymówił stereotypową formułę:

— Otworzyć w imieniu królowej!

Nie zdążył jeszcze wymówić tych słów, gdy brama nagle rozwarła się.

Naczelnik policji osłupiał. Nie przyzwyczajony był do tego, ażeby przestępcy tak chętnie poddawali się rozkazom policji.

W tej chwili w bramie ukazały się jakieś cienie. Jakieś silne dłonie pochwyciły nagle Allsmayne'a, Jamesa Pa-

cka, Sillego i ajenta, rozbroiły ich i wciągnęły do wnętrza, poczem ciężka brama z łoskotem zawarła się za nimi. Allsmayne nie zdążył jeszcze przyjść do siebie, gdy zarzucono mu na głowę chustę, celem zagłuszenia krzyków, odłączono od towarzyszy i powleczono gdzieś w dół, po schodach. Czuł, że niosą go przez jakieś sale, korytarze, potem domyślił się, że go wyniesiono na świeże powietrze. Tu postawiono go na nogi.

— Siadaj pan,—odezwał się jakiś gruby głos.

Uczuł się nagle wepchniętym do karety, która potoczyła się szybko. Allsmayne sięgnął ręką do głowy, ażeby zdjąć dławiącą go chustkę, nie pozwolono mu jednak na to.

— Nie bądź pan zbyt ciekawym. To u nas wzbrownione.

Ton, którym słowa te były wypowiedziane, nie zapowiadał nic dobrego. Allsmayne, wiedziony łatwo zrozumiałą ostrożnością, zamilkł.

Nie przeszkadzało mu to jednak słyszeć a właściwie domyślać się, że kareta wyjechała za miasto: pod kołami słyhać było dudnienie szosy, a w mieście wszystkie ulice były brukowane.

Odkrycie to nie bardzo było pocieszające dla jeńca. Był teraz w rękach korsarza, który całym zachowaniem się swoim nie zdradzał bynajmniej przyjaznych uczuć względem sir Allsmayne'a. Naczelnik policji wiedział nadto dobrze, że w Australji wazki tylko nadbrzeżny pas korzysta z dobrodziejstw cywilizacji, że wewnątrz kraju policja niema żadnego wpływu i że tam, na pustyni tej, dorównywującej obszarem Europie, zaludnionej zaledwie półczwarta miljonem mieszkańców, obowiązuje jedno tylko prawo—prawo silniejszego. Nie było nic łatwiejszego, jak uwolnić się od wroga poza obrębem zamieszkanym ognisk życia ludzkiego. Pustynia nie wydaje zbrodniarzy, nie można w niej znaleźć świadków zbrodni.

Rozmyślania te nie bardzo były wesołe. Nic więc dziwnego, że na ciało Allsmayne'a występował zimny pot. W warunkach takich najodważniejszy nawet utraciłby zimną krew.

Niema nic straszniejszego, jak znajdować się w ręku wroga i wiedzieć, że może nas zabić bez obawy odpowiedzialności.

Prześladowcy sir Allsmayne'a nie mieli jednak widocznie zamiaru wywozić go na pustynię. Koła zadudniły wkrótce znowu po bruku, karetka potoczyła się wolniej, i po pewnym czasie wjechała, o ile sądzić można było z odgłosu kopyt końskich, w jakieś podwórze. Jeńca ujęto znowu pod rękę i wyniesiono z powozu. Wszedł na jakieś schody, potem przeszedł korytarz, wyłożony płytami kamiennymi i w końcu znalazł się w izbie z podłogą drewnianą. Przeprowadzono go przez kilka pokoi, poczem usadowiono poza stołem.

— Możesz pan zdjąć kaptur z głowy, — odezwał się jakiś głos.

Allsmayne nie dał sobie tego powtarzać drugi raz i szybkim ruchem zerwał chustę z głowy. Ujrzał się teraz w wielkiej sali, bez żadnych ozdób. Naprzeciw niego, za stołem, przykrytym do ziemi czerwonym sukniem, siedziały nieruchomo trzy postacie, owinięte w zielone płaszcze z takimiż kapturami. Twarze ich pokrywały również maski z otworami na oczy i usta. Dokoła jeńca stało na straży kilku ludzi w odzieży majtków. Twarze ich ukryte były również pod zielonymi maskami.

IV.

Zielone maski.

Allsmayne chciał przemówić, lecz ten, co siedział w środku, giestem nakazał mu milczenie. Potem zwrócił się do majtka, stojącego przy stole, obok aparatu, niewiadomo do czego służącego.

— Panie sekretarzu, — wymówił nieznanym tonem surowym i zimnym, — czy fonograf gotowy?

— Gotowy, kapitanie.

— Przygotuj go pan do notowania zeznania.

Aparat brzęknął. Człowiek nazwany kapitanem, wyciągnął rękę do Allsmayne'a i tonem prezesa sądu zapytał:

— Jak się pan nazywasz?

Więzień oburzył się. Jakto, jego, naczelnika policji, śmie ktoś badać jak przestępcę? Nie, na to nie pozwoli.

— Odpowiadać nie będę,—wyrzekł sucho. — Nie przyznaję panom prawa badać mię.

Kapitan wzruszył ramionami i zwróciwszy się do straży, rzekł zimno:

— Rozwiążcie więźniowi język...

W rękach strażników zabłysły noże. Allsmayne'a zdjął strach...

— Nie odważycie się zabić człowieka,—zamruczał.

— Dzikie zwierzę można zabić zawsze bez żadnego wahania. Ale czas leci. Po raz ostatni zapytuję pana: jak pan się nazywaś?..

— Sir Tobjasz Samuel Allsmayne, — odparł ochłodzony naczelnik policji.

— Ile pan masz lat?

— Czterdzieści siedem.

Prezes improwizowanego sądu zajrzał do leżących przed nim papierów.

— Tak jest,—rzekł. — Jesteś pan synem biednych emigrantów, osiadłych nad brzegiem rzeki Laklama w Nowej południowej Walji...

— Tak jest...

— Jako młodzieniec, wstąpiłeś pan do szeregów policji w Sidney. Byłeś bardzo ambitny... Prawda, że przytem odznaczałeś się pan pracowitością i przykładnością. Nie mając środków do kształcenia się, uczyłeś się pan. Jednakże do lat trzydziestu wieku nie zdołałeś zająć wybitniejszego stanowiska...

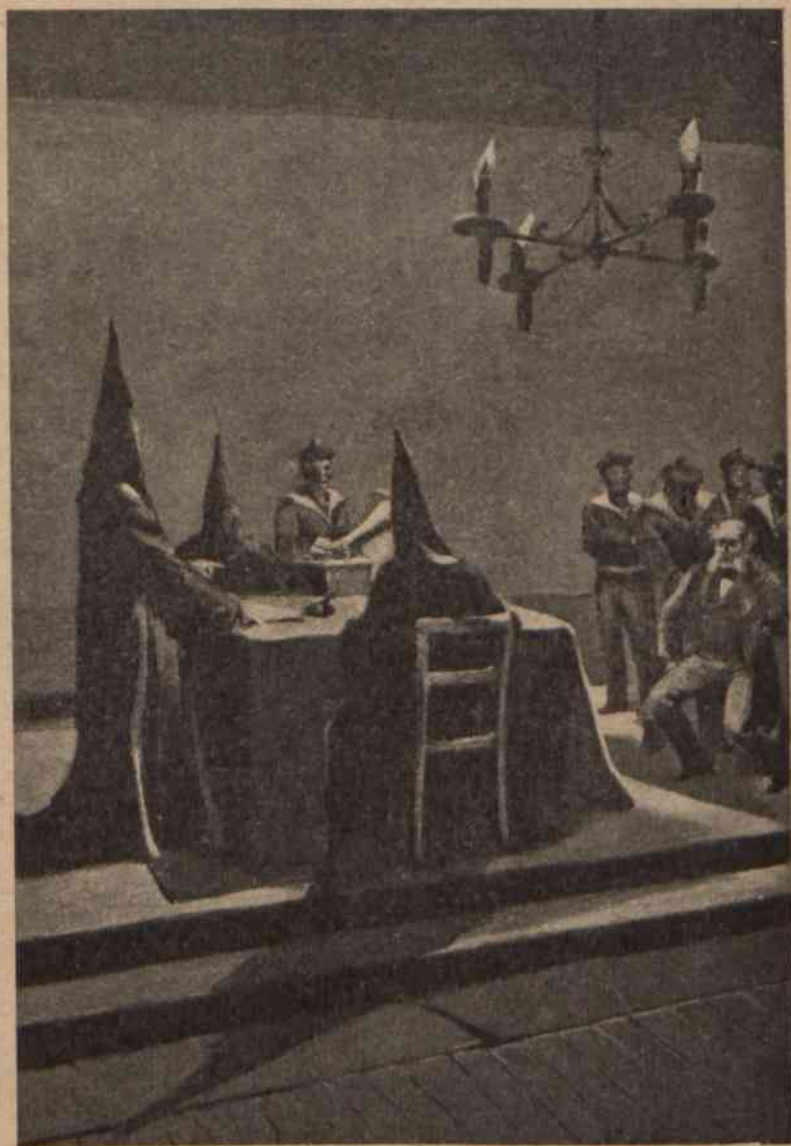
— Tak.

Sir Tobjasz mówił głosem przytłumionym. Na twarzy jego malował się bolesny niepokój.

— Jakim więc sposobem zdołałeś pan w przeciągu szesnastu lat dojść do stanowiska dyrektora policji Oceanu Spokojnego, stanowiska, które nadaje władzę nieograniczoną, prawie królewską...

Oskarżony milczał.

— Odpowiem więc za pana, tem bardziej, że wyjątko-



Naprzeciw niego, za stołem siedziały nieruchomo trzy postacie... (Str. 541).

wo dzisiaj zebraliśmy się dla tej kwestji właśnie. Miałeś pan lat trzydzieści, gdy byłeś przedstawiony lordowi Green, bogatemu Anglikowi, który przyjechał do Sidney, aby wyleczyć się ze spleen'u. Pańskie opowiadania o przygodach z praktyki policyjnej rozerwały go trochę. Chcąc się wywdziękzyć, użył dla pana stosunków swoich i rodziny miss Jenny Geerr, dziewiętnastoletniej swojej narzeczonej. Za dwa lata byłeś pan już naczelnikiem biura śledczego i zostałeś stałym gościem w domu lorda Green, w tym samym domu na Paramara-Street, gdzie pan mieszkasz obecnie.

Ostatnie zdanie wymówił kapitan obojętnie, lecz sir Tobjasz pobladł. Kapitan nie zwrócił uwagi na tę okoliczność i ciągnął dalej:

— Wszystko to prawda rzeczywiście. Przyznajesz pan?

— Przyznaję.

— Bardzo dobrze. Idziemy dalej... Przy każdej zdarzonej sposobności okazywałeś pan swym protektorom najczulszą wdzięczność. W tym właśnie czasie lordowi Green zginęła miniatura rodzinna, bardzo dla niego droga.

— Tak, złodzieja ja wykryłem—przerwał Allsmayne. — Spełniłem swój obowiązek, i nikt z tego powodu zrobić mi zarzutu nie jest w stanie.

— Nikt panu zarzutu nie zamierza robić,—z pewną ironją odparł kapitan. — Przeciwnie, zdarzenie to dowodzi pańskiej zręczności. Gdyby nie pan, nikomu nie przyszło by na myśl podejrzewać Joe Prechile, stryjecznego brata pani Jenny, sierotę, którego ona przygarnęła i wychowywała.

Człowiek, siedzący po prawej stronie mówiącego, drgnął.

— Miniaturę,—ciągnął dalej kapitan,—znaleziono w rzeczach Joego, który liczył wtedy piętnasty rok życia. Chłopiec nie przyznawał się do winy, o której jednak nie można było wątpić. Lady Jenny nie chciała jednak porzucić chłopca na wolę losu, odesłała go więc do Anglii, niechcąc go trzymać u siebie, lecz łożyła na jego kształcenie. Mieszka w Anglii dotychczas.

— O tem wszyscy wiedzą,—rzekł sir Tobjasz.

— Chcesz pan powiedzieć, że wiadomości moje o tej sprawie nie dziwią pana. Masz pan słusność. Lecz są rze-

czy o charakterze mniej publicznym, a jednak znane mi również dokładnie.

W słowach mówiącego zabrzmiała groźba, oskarżony pochylił głowę.

— Po niejakimś czasie mała córeczka lorda Green i lady Jenny, zwana przez służbę miss Maddy, zapadła na dziwną chorobę... Był to brak sił, może suchoty — lekarze nie byli w stanie dociec przyczyny choroby. Mówili jednak o złych warunkach życia miejskiego, o koniecznej potrzebie dla dziecka świeżego powietrza... Pańska matka, pani Allsmayne, żyła wtedy jeszcze, i pod jej to opiekę oddałaś pan chore dziecię. Twierdziłeś pan, że w małej fermie nad rzeką Laklaną, Maddy powróci wkrótce do zdrowia, a pan będziesz szczęśliwy, że to samo powietrze, które wyleczyło pana, powróci zdrowie córeczce pańskich dobroczyńców. Przytem mówiłeś pan, że powierzać dziecko w ręce obce rzecz nieprzyjemna, a nawet niebezpieczna, lecz matce pańskiej można zaufać. Wszystko się stało, jak pan chciałeś. Dziecię wysłane zostało do matki pańskiej.

Naczelnik policji podniósł głowę.

— No, cóż dalej? Jakież w tej sprawie można znaleźć przestępstwo?

Kapitan zaśmiał się nerwowo.

— Stawiasz pan pytanie bardzo ciekawe, panie Allsmayne, miej pan jednak trochę cierpliwości. Ja nie odpowiem tymczasem jednak skończę opowiadanie. Na rodzinę lorda Green spadały nieszczęścia jedno za drugim. Sam lord zabity został na polowaniu. Błądząca kula trafiła go w samo serce. Nikt nie wiedział, kto był sprawcą fatalnego strzału.

— Był to nieszczęśliwy wypadek.

— Wypadek ten nie był ostatnim. Zaledwie owdowiała lady Jenny przyszła do siebie po ciężkiej stracie, gdy spotkał ją nowy cios. Matka pańska przyjechała do Sidney i z przerażeniem zawiadomiła, że mała Maddy wpadła do rzeki, i że nie znaleziono nawet jej ciała, porwanego przez prąd. Nikt nie widział, jak to się stało. Znaleziono tylko przewróconą łódkę, przypuszczano zatem, że dziewczynka

wybiegła z domu, wsiadła do łódki, sznur się przerwał, no i tak dalej...

Tobiasz milczał.

— Co pan myślisz o śmierci małej Maddy, panie Allsmayne?—zapytał tajemniczy sędzia.

Oskarżony zdołał zapanować nad widocznym wzruszeniem i pewnym głosem odpowiedział.

— Przyjąłem tę samą przyczynę, którąś pan przed chwilą podał. Zresztą, prawdy rzeczywistej nie wiem...

— Pan nie wiesz? — z naciskiem wyrzekł kapitan.

Naczelnik policji drgnął. Kapitan nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej:

-- Rozpacz lady Jenny nie miała granic. Być może, że pragnęła śmierci, która była by dla niej zbawieniem, gdyby nie pańska przyjaźń...

W ostatnim wyrazie brzmiała straszna ironja.

Odwiedzałeś pan ją codziennie, nie szczędząc pociechy: gwałtem prawie zmuszałeś pan do rozrywek, pokazując się zawsze z nią razem. Dzięki pańskiej taktyce, opinja publiczna wkrótce zaczęła uważać was za narzeczonych. Obawa samotności, ciągle alluzje znajomych i chęć zachowania pańskiej przyjaźni, zmusiły ją oddać panu rękę.

— Działalem pod wpływem prawdziwego uczucia,—probował bronić się Allsmayne.

— Kłamstwo! Pobudką do pańskich czynów była ambicja. Małżeństwo to dawało panu wszystko, czego dotąd pragnąłeś. Pozwoliło panu użyć stosunków zmarłego lorda, zająć stanowisko, na którym znajdujesz się obecnie, stanowisko, które pozwala panu kierować się tylko własną wolą i nie znać żadnego prawa, oprócz własnego despotyzmu.

Allsmayne chciał przemówić, lecz powstrzymał go nakazujący ruch człowieka w zielonej masce.

— Ja, korsarz Triplex, — mówił dalej grzmiącym głosem, — oskarżam cię teraz, panie Allsmayne, o następujące zbrodnie: Pan podrzuciłeś skradzioną miniaturę w rzeczy Joego, gdyż obawiałeś się pan przenikliwego umysłu chłopca. Pan zabiłeś, niby to przypadkiem, protektora swego, lorda Green, który także przeszkadzał ci. Z namowy pańskiej

mała Maddy Green została porwana przez zbrodniarza, któremu dałeś do wyboru karę lub utaskawienie. Człowiek ten nie zawahał się przed nową zbrodnią i utopił dziecię, które mogło by bronić swej matki przed pańskim fałszywym uczuciem.

Łkanie czyjeś przerwało mowę kapitana. To człowiek, siedzący po prawej jego stronie, zerwał się z miejsca, chwytając się za głowę. Gwałtowny ruch zsunął kaptur, z pod którego wysunęły się złociste loki.

Kapitan szybkim ruchem poprawił kaptur, lecz Allsmayne zdążył spostrzedz jasne włosy. Na twarzy jego odbiło się zdumienie.

— Włosy zupełnie Silly'ego,— wyszeptał cicho.

Lecz kapitan znowu zwrócił się do niego i twarz Allsmayne'a przybrała znowu dotychczasowy wyraz obojętności.

— Gdy stałeś się pan pierwszą osobą krajów Oceanu Spokojnego, postawiłeś pan własną samowolę po nad wszystkie prawa. Bez litości gnębiłeś tych, których bronić było twoim obowiązkiem. Wspomnę tylko o ostatniej zbrodni pańskiej. Dlaczego wtrąciłeś do więzienia egipcjanina, nazwiskiem Niari? Milczysz pan? Ja za ciebie odpowiem. Uwięziłeś pan tego nieszczęśliwego tylko za to, że żałował kłamstwa, z pomocą którego wprowadził w błąd cały kraj swój. Wiedziałeś, że tym sposobem zgubisz Francuza, obcego zupełnie intrygom egipskim, że odbierzesz mu uczciwe nazwisko Roberta Lavarede, a obdarzysz go hańbiącym imieniem zdrajcy Tanisa.

— Lavarede!—powtórzył Allsmayne, przypominając sobie, że nazwisko słyszał już tego wieczoru,— co w tem wszystkim robi Lavarede?

Kapitan chciał odpowiedzieć, lecz sąsiad z lewej strony pociągnął go za rękę. Nastąpiła chwila milczenia.

Oskarżyciel przemówił dalej.

— Wspomniałem tu Lavarede'a, jak mogłem przytoczyć setki innych. Lecz czas skończyć. Za zbrodnie twoje, panie naczelniku policji, trzeba by cię zabić, jak szkodliwe zwierzę, lecz w takim razie w grobie twym spoczęłaby prawda razem z tobą, a ja chcę, aby prawda wyszła na jaw

przed całym światem. Niechcę zemsty, pragnę tylko naprawić to złe, któreś pan uczynił. Na stanowisku swoim jesteś pan zupełnie bezpieczny, gdyż każde oskarżenie rozbija się o piedestał władzy, na którym pan stoisz. Trzeba cię zwalić na ziemię, i ja cię zwalę. Nic tak łatwo nie może pozbawić cię władzy, jak śmieszność, a ja potrafię cię ośmieszyć. Jutro staniesz się pan pośmiewiskiem miasta — a za kilkanaście dni pośmiewiskiem państwa brytańskiego. Nie próbuj pan walczyć. To, co zrobię z panem, dowiedzie, że mogłem cię zgładzić z oblicza ziemi, lecz ja zadowolnię się tem, że zażartuję z pana. Cały świat przyzna mi wspaniałość. Zawdzięczać mi będziesz życie, dopóki nie oddam cię w ręce sprawiedliwości.

— Ani jeden dźwięk nie wydobył się z zaciśniętych konwulsyjnie ust Allsmayne'a. Bał się. Tak, bał się, gdyż ostatnie słowa kapitana uwięzły w mózgu jego, jak szpony stalowe. Wróg wiedział, jakiej przeciw niemu użyć broni. Stać się pośmiewiskiem i utracić władzę — było to dla Allsmayne'a gorsze, aniżeli śmierć.

Przytem, z kąd człowiek ten mógł wiedzieć rzeczy, które, zdawało mu się, były wiadome jemu jednemu. A przecież słowa oskarżenia, któremi biczował naczelnika policji, były prawdą od początku aż do końca. Wśród rozpaczliwych myśli, jedna tylko jaśniejsza błyskała w głowie Allsmayne'a, myśl, że zabity nie będzie, że będzie mógł jeszcze prowadzić walkę, walkę na śmierć i życie. Zresztą te włosy, tak podobne do jasnych splotów Silly'go, wskażą mu ślad, jak odnaleźć tego, który ośmielił się grozić jemu.

Myśli te jednak prędko zostały przerwane. Na znak kapitana, marynarze schwycili go, owinęli znowu głowę, związali ręce i unieśli w powietrze. Nie bronił się, było by to daremne. Poczul, że go wynoszą, wpychają do karety, której koła znów zaturkotały po bruku.

V.

Interwier z powieszonym i jego skutki.

Po godzinie jazdy, karetka zatrzymała się, i naczelnika policji wyciągnięto z niej bez ceremonji. Słyszał ciche jakieś głosy, czuł, że obwiązują go sznurami i zawieszają na szyi ciężki przedmiot na łańcuszku.

Zabrzmiął rozkaz:

— Do góry go, chłopcy!

Zdarto mu zastonę z głowy. Zanim zdążył obejrzeć się, poczuł silne pchnięcie, niewidzialna siła podniosła go w górę, nogi uniosły się nad ziemię i zawisły w powietrzu. Słyszał jakieś kroki, szybko oddalające się, jakieś cienie mignęły w ciemności i wszystko ucichło. Tylko liście drzew, trącone skrzydłem spłoszonego ptaka, szumiały cicho.

Sir Tobjasz obejrzał się z przerażeniem i spostrzegł, że wisi na wysokości dwunastu stóp nad ziemią. Był skrepowany sznurem, którego koniec szedł w górę, po nad jego głowę i umocowany był do belki. Belka ta, odznaczająca się ostro na pochmurnem niebie, dotykała pod kątem prostym do słupa. Chcąc lepiej zbadać położenie, Allsmayne odwrócił głowę.

Wskutek tego ruchu sznur zakręcił się, i naczelnik policji powoli obrócił się na około swej osi... Z piersi jego wyrwał się okrzyk zgrozy i oburzenia. Spostrzegł, że wisi na szubienicy...

Tak, naczelnik policji Oceanu Spokojnego został powieszony.

Na szczęście, powieszenie nie groziło mu śmiercią, mógł oddychać swobodnie. Gdyby nie zbyt świeże wspomnienia o sędzie tajnym, mógłby pomyśleć, że powieszonym został w celach leczniczych, gdyż metoda taka praktykuje się w niektórych chorobach nerwowych. Pomimo, że położenie nie groziło żadnem niebezpieczeństwem, zdawało mu się okropnem. Sam widok szubienicy nie należy do przyjemnych, tembardziej dla człowieka, który ma władzę wieszać bliźnich

a który widzi siebie samego na szubienicy, — godle sprawiedliwości angielskiej.

Do obawy fizycznej, wkrótce przybyły cierpienia moralne. Z niczem nie wzruszoną logiką, nawet w tak wyjątkowych okolicznościach, naczelnik policji rozumiał dobrze, że przecież nie na wieki zawisł między niebem a ziemią. Uwolnić się sam — nie był w stanie. Wniosek naturalny, że powinni zrobić to inni. Kto mianowicie? Mieszkańcy Sidney, ci sami, których dźwięk jego imienia zmusza do drżenia. I oni właśnie zobaczą go wiszącym na szubienicy. Przypomniał sobie słowa Triplexa: „nie tak łatwo nie może pozbawić cię władzy, jak śmieszność, a ja ośmieszyć cię potrafię.“

Nigdy jeszcze sir Tobjasz nie miał do czynienia z tak piekielnie pomysłowym nieprzyjacielem. Rozumiał to dobrze, że jutro, kiedy przygoda jego stanie się powszechnie wiadomą, całe miasto śmiać się będzie do łez! Powaga jego rozwieje się, jak dym.

Każdy inny na miejscu Allsmayne'a opuściłby ręce, lecz on nie tracił energii. Walka była jego żywiołem, przeciwności nie straszyły go, lecz podburzały. „W rezultacie, — mówił do siebie, — wszystko jeszcze może być ocalone, kto potrafi mścić się, ten nie może być śmiesznym. A zdaje mi się, że nic intrygi trzymam w ręku. Silly... Silly... tak, to jego włosy. Może być, że właściciel hotelu miał rację... Tak, w liście adresowanym do owego Lavarede'a, którego także trzeba mieć na oku, było napisane, że spotka mnie u posągu Cooka. Czy nie w tem właśnie miejscu... wiszę?

Zaczynało świtać.

Powieszony obejrzał się w około. Szubienica stała na placu, z którego rozchodziło się kilka alej, lecz drzewa zasłaniały widok, nie mógł więc Allsmayne poznać dokładnie miejsca. Powoli jednak robiło się coraz widniej, horyzont się rozszerzał. Nagle Allsmayne krzyknął: Po przez gałęzie spostrzegł coś białego...

— Tak, to posąg Cooka, — mówił do siebie. — Nic zatem niema straszego. Jeżeli pierwszy przyjdzie tu Lavarede, potrafię zmusić go do milczenia. Aby mu tylko nie odradzo- no w hotelu iść na spotkanie.

„Jeżeli przyjdzie, to przecież jeden tylko człowiek będzie wiedział o mojej przygodzie, a to dla mnie stanowi już zwycięstwo. Potem, nie mówiąc ani słowa nikomu, nawet Packowi, który śmiałyby się ze mnie, nad Sillym rozciągnę dozór tajny. Czuję już, że tym sposobem dojdę do Triplexa. Instynkt mój nie zawodzi mnie nigdy.“

Z nad horyzontu wyjrzało słońce. Jasne promienie położyły wierzchołki drzew i obudziły ptactwo, które, szcziebiocząc wesoło, przyglądało się uważnie wiszącemu w powietrzu człowiekowi. Allsmayne'a ogarnęła nowa obawa, gdy na wieży wybiła piąta.

„Żeby też ten Lavarede przyszedł prędzej,—mrucał.— Ale gdzie tam, przed szóstą niema co nawet myśleć o tem! Żeby chociaż kto inny nie zobaczył mnie, zanim on przyjdzie... Najważniejsza rzecz — uniknąć śmieszności. Ale to nie możebne—park otwierają o szóstej... A jednak...“

Pokiwał głową, lecz ruch ten sprawił mu ból w ramionach. Teraz dopiero spostrzegł, że na szyi ma jakiś przedmiot, zawieszony na łańcuszku. Schylił głowę i zobaczył wiszącą na piersiach tabliczkę z napisem, którego jednak przeczytać nie mógł, widział tylko litery. Przy tych usiłowaniach sznur zakołysał się i sir Tobjasz poczuł zawrót głowy.

Powoli, jak perpendykuł sam przez się, Allsmayne znowu nieruchomo zawisł w powietrzu. W całym ciele zaczął uczuwać ból. Podtrzymywała go myśl, że niedługo już szósta, że na dziesięć minut przed szóstą otworzą park... Żeby choć ten Lavarede nie spóźnił się!...

Przecież nieznajomy ten nie miał chyba żadnej do niego pretensji. A może to jaki krewny Roberta Lavarede'a i zna historję Niarego. To wikałoby bardzo sprawę, gdyż korsarz mówił prawdę.

Rzeczywiście, kilka miesięcy temu Niari zjawił się u Allsmayne'a i opowiadał mu cały przebieg intrygi, wskutek której Robert Lavarede stał się Tanisem. Chcąc dopomóc kolegom swym w Afryce, Allsmayne, bez dalszych rozpraw, wtrącił biednego Niarego do więzienia i ten do-

tychczas siedział w tajnym oddziale przy forcie Broken-Bay, leżącym o kilka mil na północ od Sidney.

Pod wpływem tych myśli, sir Tobjasz zasepił się, lecz wkrótce zdołał odpędzić je.

— Zresztą, to wszystko fraszka,—mówił głośno. — Najważniejsza rzecz, żeby mię ten Lavarede uwolnił, potem znajdę środek, aby go zmusić do trzymania języka za zębami.

Wybiło pół do szóstej.

— Jeszcze pół godziny, — westchnął powieszony.

W tej samej chwili na prawo od szubienicy dał się słyszeć szelest kroków. Allsmayne naostrzył słuch.

— Ktoby to mógł być, — szeptał, — brama jeszcze zamknięta...

Niedokończył zdania, gdyż usłyszał szelest kroków i z drugiej strony.

— Jeszcze ktoś!

Kroki zbliżały się i wkrótce na placyk z dwóch przeciwnych stron weszli dwaj młodzieńcy. Obaj byli blondyni, obaj ubrani podług żurnalu, obaj w czerwonych rękawiczkach, obaj z monoklami i, co najcharakterystyczniejsze, obaj z notesami i ołówkami w rękach. Zdaje się, że wzajemne spotkanie bynajmniej nie ucieszyło ich. Nie pokazali jednak po sobie niezadowolenia, uśmiechnęli się do siebie uprzejmie i powitali uściskiem dłoni.

— Ach, i pan tutaj, szanowny kolego?

— Jak pan widzisz...

— Przyznać muszę, że można powinszować redakcji „Przeglądu Sydneyjskiego“ współpracownika, który zasługuje na tytuł „króla reporterów.“

— Uważam sobie za miły obowiązek stwierdzić, że redakcja „Gazety Sydneyjskiej“ posiada w swym składzie reportera, który wart tytułu „cesarza reporterów.“

— Panie, zawstydzasz mnie...

— Ja równie zawstydzony jestem...

— Pan przyszedłeś tu...

— Na interview...

— Ja także.

— Więc „Przegląd Sydneyński“ otrzymał zawiadomienie od korsarza Triplexa.

— Tak. „Gazeta“ również?

— Ma się rozumieć. Więc możemy zacząć.

— Zaczynamy. Po skończeniu, pójdziemy każdy do swojej redakcji i zrobimy zakład, czyj artykuł będzie pierwszy.

— Zgoda.

Rozśmieli się wesoło i, zdjawszy jednocześnie kapelusze, z pełnym szacunku ukłonem zwrócili się do wiszącego dygnitarza. Ten na ukłon odpowiedział okropnym skrzywieniem się. Allsmayne słyszał całą rozmowę i zrozumiał, że korsarz postarał się, aby cios, zadany przez niego, nie chybił. Chcąc zapewnić się, że wiadomość o przygodzie naczelnika policji nie przejdzie niepostrzeżenie, uprzedził o niej gazety.

Szalony gniew opanował naczelnika policji, gdy uczuł się na szubienicy, z skrępowanemi rękami i nogami, oddanym na pastwę reporterów. Teraz już nie mógł się spodziewać, aby przygoda jego nie doszła do wiadomości publicznej. Wieść o niej jeszcze dziś rano rozejdzie się w tysiącach egzemplarzy, w każdym domu śmiać się będą do upadłego nad przygodą naczelnika policji.

Nagle drgnął, usłyszał bowiem charakterystyczny odgłos zatraskującej się klapki aparatu fotograficznego. Aparat fotograficzny stanowi niezbędny przyrząd dla każdego reportera australskiego, i zanim Allsmayne otrząsnął się ze smutnej zadumy, jego postać na szubienicy uwieczniona została na czulej kliszy.

Obaj dziennikarze, nie zważając na wściekłe spojrzenia, jakimi obdarzał ich wiszący, jednocześnie oddali mu ukłon i odezwali się z wzruszającą jednomyślnością:

— Dziękuję panu. Wspaniała poza!

— Panowie! — odparł gniewnie sir Tobjasz, — zrobilibyście sto razy lepiej, gdybyście, zamiast żartować, postarali się o drabinkę i wybawili mnie z tego położenia.

Reporterzy spojrzeli na siebie z uśmiechem.

— Będziemy zaraz do ulóg pańskich. Lecz dostęp do

pana, panie naczelniku policji, jest bardzo trudny, nie możemy zatem pominąć sposobności interviewowania pana. To nie potrwa długo. Komunikat korsarza Triplexa poznał nas już z samą istotą sprawy. Otrzymaawszy zawiadomienie stawiliśmy się tutaj bezzwłocznie. Bramę zastaliśmy zamkniętą, dostaliśmy się zatem przez parkan. Mamy do załatwienia trzy sprawy. Pierwsza — odfotografować pana i to już załatwione. Druga — skopjować napis, wiszący na pańskich piersiach. To potrwa dziesięć sekund.

Reporterzy zaczęli pisać w notesach, czytając głośno to, co pisali. Sir Tobjasz mógł więc poznać treść napisu, co jednak nie sprawiło mu wielkiej przyjemności.

„Korsarz Triplex,—brzmiał napis,—mógłby bez wątpienia ukarać pana Allsmayne'a za jego zbrodnie. Na to dość byłoby powiesić go nie za ramiona, lecz za szyję. Jeżeli tego nie zrobił, to jedynie dla tego, że prawo to pozostawia sądom brytańskim, które, wcześniej czy później, załatwią się z tym człowiekiem.“

— Gotowe! — odezwali się jednocześnie reporterzy. — Przechodzimy teraz do trzeciej sprawy. Zechciej pan, panie naczelniku policji, zapoznać nas z wrażeniami powieszzonego.

Sir Tobjasz nie mógł powstrzymać się dłużej:

— Idźcie do stu djabłów! — krzyknął

Lecz przedstawiciele „Przeglądu Sydneyjskiego“ i „Gazety Sydneyjskiej“ nie należeli do ludzi, którzy zważaliby na podobne drobnostki

— Nie spiesz się pan, pomyśl trochę,—mówili słodko.— My poczekamy. Kwestja to bardzo ciekawa, nawet z filozoficznego punktu widzenia. Pańskie poglądy powinny być bardzo interesujące. O ile nam wiadomo, pan pierwszy ze wszystkich powieszonych, miałeś do rozporządzenia dość czasu, aby zastanowić się nau swemi uczuciami.

Widząc, że sir Tobjasz milczy, jeden z reporterów wy dobył z kieszeni cygarnicę, poczęstował cygarem swego towarzysza, i obaj najspokojniej zajęli się paleniem.

Pomimo gniewu, Allsmayne widział, że musi ustąpić.

— Panowie! — odezwał się.

— Co pan każe?

— Gotów jestem odpowiadać na wasze pytania. Ale, na miłość Boską, spieszcie się. Całe ciało moje zdrętwiało.

Reporter „Gazety Sydneyjskiej“ zaczął zadawać pytania.

— Gdyś pan się ujrzał na szubienicy, jakie do głowy przychodziły ci myśli?

— Bynajmniej nie przyjemne...

— I ja tak myślę. Ale jakiego głównie doznałeś pan uczucia? Strachu?

— Nie, wiedziałem, że życiu memu nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Reporterzy pokiwali głowami potakująco.

— Aha, więc to potwierdza napis korsarza Triplexa. To widocznie porządny człowiek...

Nic nie mogło rozniewać sir Tobjasza więcej, aniżeli pochlebne zdanie o jego wrogu.

— To łotr! — krzyknął, zapominając o zimnej krwi, jakiej dowody lubił dawać.

— Przepraszam, — zaprzeczył spokojnie reporter. — Ten człowiek pisze, że nie pragnął pańskiej śmierci, i pan to potwierdzasz. Jest więc porządnym człowiekiem.

— Bandyta, zdolny do spełnienia największej zbrodni! — ryczał sir Tobjasz.

— Grzeczniej, panie! Nie mamy zamiaru ogłaszać drukiem takich zdań o człowieku, który traktuje prasę z należnym szacunkiem.

Allsmayne zacisnął zęby, aby nie wyrzucić z gardła potoku klątw na swoich katów.

— No, zbliżamy się ku końcowi. Ostatnie pytanie. Czy policja wpadła na trop tego Triplexa?

Reporter, jakby umyślnie, zadawał nieprzyjemne dla Allsmayne'a pytania. Lecz sir Tobjasz, widząc, że pokora będzie najlepszym sposobem wydobycia się z przykrego położenia, przewyciężył się i odpowiedział stłumionym głosem:

— Nie, dotychczas policja nie natrafiła na żadne ślady.

Teraz reporterzy schowali do kieszeni notesy i ołówki.

— Dziękujemy panu serdecznie, panie Allsmayne. Pójdziemy teraz do ogrodnika i przyślemy panu drabinę.

— Nie, nie! Nie chcę, aby mnie zobaczyli wszyscy stróże.

— Więc pan chcesz, abyśmy sami przynieśli drabinę?

— Bądźcie panowie tak łaskawi...

— Dobrze, zgadzamy się. No, szanowny kolego, chodźmy! Uwolnimy pana Allsmayne'a, a później rozegramy nasz zakład.

Ucieszeni powodzeniem, młodzieńcy szybko skierowali się w boczną aleję.

Niewątpliwie sir Tobjasz w duszy ciskał za nimi najstraszliwsze klątwy, na jakie zdobyć się może fantazja anglo-saska. Teraz zaczynał już cierpieć. Krew zaledwie krążyła w jego zdrewniałych członkach, minuty zdawały mu się wiecznością.

Usłyszał kroki.

— Wracają już, — westchnął.

Lecz mylił się. Na placyku pokazał się człowiek, którego sir Allsmayne wcale nie znał. Był to Armand Lavarede, dążący na rendez-vous, naznaczone przez autora listu anonimowego.

Na widok szubienicy, paryżanin stanął zdumiony. Przebiegł oczami fatalny napis na piersiach powieszonoego i półgłosem wyrzekł:

— Sir Tobjasz Allsmayne! Wiedziałem, że Anglicy lubią ekscentryczność, nie myślałem jednak, aby to dochodziło do takich ostateczności.

Uwaga ta wywołała nowy wybuch gniewu u powieszonoego.

— Idź pan do djabła! — zawołał, gdy Lavarede ukłonił się i wymówił swoje nazwisko. — Przychodzisz pan zapóźno.

— Przepraszam, jest teraz szósta, — odparł Francuz, — wyjmując zegarek.

Jakby na potwierdzenie słów jego, na wieży wybiła szósta.

— Słyszysz pan? — zapytał Lavarede.

— Mniejsza o to! Stałem się ofiarą głupiego żartu i liczyłem, że mnie pan uwolnisz, zanim o tem dowie się całe miasto.

— Nic łatwiejszego!

— Zapóźno, mówię panu. Widzieli mnie już dwaj reporterzy. Zaraz mnie uwolnią, ale za to opiszą w gazetach...

Lavarede uśmiechnął się.

— To głupstwo! Artykuł można odwołać...

— To prawda! Ale jest coś innego, czego odwołać nie można.

— Co takiego?

— Fotografja.

— Nie rozumiem.

— Reporterzy mieli z sobą aparaty fotograficzne, i teraz są w posiadaniu zdjęć.

— Które chciałbyś pan zniszczyć...

— Ma się rozumieć... Ale cicho! Idą już.

Rzeczywiście, na placyku ukazali się dwaj młodzieńcy, niosący podwójną drabinę.

Drabinę tę starannie ustawili pod szubienicą.

Lavarede skłonił się grzecznie.

— Panowie, jestem waszym kolegą z Francji, — odpowiedział na pytające spojrzenia reporterów.

— Kolega! — z radością zawołali młodzieńcy. — W takim razie zechciej pan zająć się uwolnieniem sir Allsmayne'a. Nam bardzo pilno...

Lavarede poruszył głową przecząco.

— Dla mnie, jako dla cudzoziemca, jest rzeczą niebezpieczną [wtrącać się między złoczyńców i sprawiedliwość, i dla tego zmuszony jestem, z wielkim żalem, odmówić panom tej przysługi.

— Masz pan słuszność, — odparli Anglicy. — Niema co, spóźnimy się nieco. Wejdźmy obaj, drabina na szczęście podwójna, odwiążemy pana Allsmayne'a i będziemy zupełnie wolni.

Już wstępowali na drabinę, lecz Lavarede zatrzymał ich.

— Czy nie obawiacie się, panowie, o całość waszych aparatów? — zapytał, wskazując na skórzane futerały, zawieszane przez ramię obydwóch młodzieńców.

— Prawda, mogą się łatwo uszkodzić.

Obejrżeli się w około, szukając miejsca, na którym by złożyć mogli aparaty.

— Dajcie panowie, ja potrzynam...

— Jeżeli pan tak łaskaw...

Dziennikarze szybko weszli na drabinę i zaczęli rozwiązywać sznury, krępujące naczelnika policji.

— Trzebaby tylko zniszczyć negatywy, aby zostać przyjacielem Allsmayne'a. A przy jego pomocy łatwiej mi przyjdzie znalezienie Roberta. Śmiało, Armandzie!

Lekkim naciskiem palca, uniósł na kilka sekund klapki i opuścił je. Zdjęcia, jeszcze nie utrwalone, znikły na zawsze. Tymczasem reporterzy zdołali rozplątać sznury i spuścić Allsmayne'a na ziemię.

Lavarede najspokojniej zwrócił im aparaty. Ucisnęli mu serdecznie rękę i spojrzeli na siebie.

— A zatem zawieszenie broni skończone,—rzekł jeden.

— Skończone, — odparł drugi.

— Zaczynamy walkę.

— Zaczynamy.

— Dziesięć funtów szterlingów otrzyma ten, czyj artykuł ukaże się wcześniej.

— All right!

Rywale rozeszli się pospiesznie, każdy w swoją stronę, pozostawiając Lavarede'a sam na sam z Allsmayne'm.

Sir Tobjasz potrzebował dziesięciu minut czasu na wyprostowanie zdrętwiałych członków. Na szczęście, mózg jego powrócił do stanu normalnego wcześniej, tak, że Lavarede mógł wyjaśnić mu, w jaki prosty sposób udało mu się zniszczyć fatalne zdjęcia fotograficzne. Chcąc wyrazić swą wdzięczność, Allsmayne jednocześnie dowiódł odzyskania sił fizycznych, gdyż ucisnął rękę paryżanina tak mocno, że omało nie zgruchotał.

Po chwili nowi przyjaciele skierowali się ku domowi sir Tobjasza. Po drodze Armand przedstawił mu swój raport i naczelnik policji z całą beczelnością przyrzekł zrobić wszystko, o co prosił Armand i przeznaczyć całą brygadę policji do poszukiwań zbiegłego. Jednocześnie wyznał pa-

ryżaninowi, że po raz pierwszy słyszy o Tanisie, o Robercie Lavarede i o Niirim.

Gdy zbliżali się ku domowi, obaj byli z siebie zadowoleni. U drzwi domu oczekiwała sir Tobjasza nowa niespodzianka: ujrzał Jamesa Packa, otoczonego policjantami. Ukazanie się Allsmayne'a powitane zostało głośnieimi okrzykami. James opowiedział naczelnikowi, co się stało potem, gdy zostali pochwyceni w tajemniczym domu, do którego zaprowadził ich zbrodniarz, przebrany za robotnika. Około północy James znalazł się przywiązany do słupa wprost posterunku policyjnego na Darling-Harbour. Na krzyk jego wybiegli dyżurni policjanci i uwolnili go. Natychmiast udał się do domu, gdzie miał być aresztowany Triplex. Został tam policjantów na dawnych miejscach. Z nimi wszedł do domu i ze zdumieniem spostrzegł, że dom był zupełnie pusty. Zrewidował wszystkie kąty, zbadał ściany, gdyż zdawało mu się, że niesiony był przez jakiś korytarz podziemny, wszystkie jednak poszukiwania były daremne. Co zaś do Silly'ego, którego przed chwilą spotkał, z chłopcem złoczyńcy obeszli się inaczej. Silly twierdził, że został zamknięty w jakimś pokoju przez ludzi w maskach zielonych, i że otrzymał obfita kolację. Potem zasnął, a rano obudził się na kupie rogów obok doków. Wspomnienia nocne tak się pomieściły w słabym umyśle chłopca, że nie był pewny, czy widział to wszystko we śnie, czy na jawie.

Allsmayne słuchał opowiadania spokojnie, nie zdradzając bynajmniej swoich podejrzeń.

— Wszystko to jest niepojęte, — rzekł w końcu, — lecz przedewszystkiem należy nam się odpoczynek. Pan, panie Pack, idź tymczasem do biura, ja prześpię się ze dwie godziny i potem cię zastąpię.

Naczelnik policji uściśnął rękę Lavarede'a i wszedł do domu wraz z sekretarzem. Odprowadził Jamesa do drzwi biura, pożegnał go i, zamiast położyć się do łóżka, udał się do głównego zarządu policyjnego, gdzie kazał przyzwać do siebie jednego z agentów, nazwiskiem Dowe. Gdy agent nadszedł, Allsmayne długo mówił do niego coś tak cicho, że ten zaledwie mógł go zrozumieć. Potem powrócił do domu,

udał się do łazienki, i przyjąwszy kąpiel natryskową, świeży i lekki, jak gdyby nie wisiał przez całą noc na szubienicy, zjawił się w biurze zastąpić Jamesa, który tymczasem zdążył przez telefon postawić na nogi cały skład policji w Sydney i zorganizować poszukiwania korsarza.

Gdy Armand pozostał sam, wzrok jego padł na Silly'ego, który z obojętnym wyrazem twarzy patrzył na agentów, rozchodzących się w różne strony. Łagodna twarzyczka chłopca budziła w nim bezwiednie uczucie sympatji, a przytem paryżanin znajdował się w takim usposobieniu, że chciałby kogokolwiek uszczęśliwić. Nie wątpił już, że przedsięwzięcie jego uda się pomyślnie. Zaledwie przyjechał do Sydney, zdążył wyświadczyć przysługę dygnitarzowi, którego poparcia potrzebował, był więc pewnym, że uda mu się odnaleźć Roberta.

Zwrócił się z uśmiechem do chłopca i uderzył go przyjaźnie po ramieniu.

— No, Silly! — rzekł, — pamiętasz podróźnych, których odprowadzałeś do hotelu pod „Stulistną różą.“

— Silly często odprowadza podróźnych, — odparł chłopiec.

— Wiem, ale przypomnij sobie, co było wczoraj.

— Aha, wczoraj, pamiętam. Odprowadzałem dwie młode panie i pana, który dał mi szylinga.

— Tak właśnie.

— Więc co?

— Ten podróźny — to ja.

— Być może.

— Słyszałem, że dzisiaj w nocy zjadłeś porządną kolację. Czy nie chciałbyś zjeść dobrego śniadania?

Twarz chłopca rozjaśniła się uśmiechem.

— Zjeść porządną kolację i potem dobre śniadanie, czy to nie zawiele na jeden dzień?

— Więc nie chcesz?

— Ależ nie, tylko że to śmieszne: jednego dnia człowiek się naje porządnie, a drugiego niema co w usta włożyć. A może tak być powinno...

ROZMAITOŚCI.

— **Oryginalne zapisy.** Anglicy lubią od czasu do czasu robić królowę Wiktorję spadkobierczynią swych ruchomości i nieruchomości, aczkolwiek wiedzą dobrze, że monarchini z zasady nie przyjmują spadków prywatnych. Przy tej sposobności wychodzą czasem na jaw ciekawe okoliczności; tak np. używa królowa opinii wielkiej przyjaciółki zwierząt, co jej w ostatnich latach przyniosło oryginalne zapisy testamentowe. Królowa otrzymuje w spadku węże, złote rybki, koty, psy, papugi i t. d., przyczem zapisodawcy baczą pilnie na to, ażeby dziedzictwo ich obdarowanej nie przysporzyło kosztów. Razem z zwierzętami zapisują pewną stałą rentę na ich utrzymanie.

Najoryginalniejszą pod tym względem okazała się pewna stara panna, która przekazała królowej Wiktorji testamentem pudła i papugę wraz z rentą roczną, w wysokości 100 funt. szterl. Prosiła królowę o opiekę nad stworzeniami w następujących słowach: „Mam nadzieję, że królowa wypełni moją prośbę i że za drugie sto funtów, wypłacane przy końcu każdego roku, wysłać będzie pudła i papugę co roku na 14 dni do kąpiel morskich w Margate, zwierzęta te bowiem przyzwyczajone są od młodości do korzystania z dwutygodniowego pobytu nad morzem. Drugie 100 funtów przeznaczone są dla służącego królowej, który towarzyszyć będzie zwierzętom nad morze i opiekować się nimi na miejscu. Umieszczać należy pudła i papugę w pierwszorzędnym hotelu; pudel pokazywać winien codziennie swoje sztuczki, papuga, w razie pogody, przechadzać się godzinę na świeżem powietrzu“.

Pewien amator kotów zapisał królowej kilka tuzinów tych stworzeń, oraz znaczną sumę na wzniesienie „schronienia dla kotów“. Zapisodawca prosi królowę, żeby schronienie to znajdowało

się, o ile możliwości, w pobliżu pałaców królewskich, co pozwoli na gorliwe roztoczenie opieki nad pensjonarzami.

Inna znowu stara panna ofiarowała królowej w testamencie papugę i 2,000 mk. rocznie; dla nabrania pewności, że opiekun papugi nie skrzył jej szyi, i pieniędzy nie schował do kieszeni, przypro- wadzać ją miał 2 razy do roku przed oblicze monarchini.

Marek 1,400 rocznie i 3 złote rybki zapisała jakaś pani kró- lowej, pod warunkiem, że suma ta wypłacana będzie temu, który obejmie opiekę nad rybkami. Zapisodawczyni wyraziła obawę, że rybki mogą zdechnąć i że opiekun, nie chcąc utracić pensji doży- wotniej, zastąpi je innemi. W tym celu podała w testamencie do- kładne wskazówki, po których królowa poznać miała, czy przedsta- wicne jej rybki są prawdziwe. Wskazówki te brzmiały w naiwnym stylu zapisodawczyni jak następuje: „Jedna z rybek jest grubsza, aniżeli dwie drugie; przekonać się więc będzie mogła królowa, czy to te same rybki, jeżeli jedna z nich będzie gruba, a dwie inne cienkie“.

Niedawno pewna amatorka węzów zapisała królowej 60 węzów jadowitych. W testamencie pisała: „Lubiłam zawsze węże i gry- zło mnie tylko to, że nie mogę ich nauczyć, ażeby mnie poz- znawały. Mam nadzieję, że Wasza Królewska Mość będzie w tym kierunku szczęśliwszą“.

Królowa angielska otrzymała dotąd w spadku w gotówce ogó- łem 2 miliony funtów (przeszło 12 milionów rubli), nie przyjęła z sumy tej jednak ani grosza. Raz tylko zrobiła wyjątek o tyle, że zapis przyjęła i ofiarowała go natychmiast komu innemu.

Pewien bogaty fabrykant przekazał królowej w testamencie 800,000 mk., pomijając zupełnie siostrzeńca swego, który, obarczo- ny liczną rodziną, umierał prawie z głodu. Gdy się królowa o tem dowiedziała, przekazała całe dziedzictwo siostrzeńcowi zapisodawcy.

Niejaki Karr zapisał królowej 160,000 mk., a żonie swej tylko 1 szyllinga (30 kop.). W testamencie zaznaczył wyraźnie, że wydziedzicza żonę, ponieważ nie pozwoliła mu nigdy odczytać w spo- koju dzienników wieczornych. W chwili kiedy brał do ręki ulu- biony swój dziennik, zaczynała z nim rozmowę, albo śpiewała, albo wreszcie przechadzała się po pokoju, nie dając mu czytać.

Najwyższy spadek pochodził od pewnego staruszka, nazwi- skiem Veald, który zapisał królowej 10 milionów marek. Tego jednak spadku, jak wogóle wszystkich, królowa nie przyjęła.

— **Wieża ratunkowa na wypadek pożaru.** Wiadomo po- wszechnie, że w czasie wielkiego pożaru w piętrowych gmachach schody i korytarze tak są przepełnione gryzącym dymem, że o wy- dostaniu się tą drogą najoźcierzej nie może być nawet mowy. Zwięk- sza to znacznie niebezpieczeństwo pożaru, zwłaszcza w teatrach, fabrykach i wogóle w budynkach, w których gromadzi się większa

liczba osób. Na zewnętrznych ścianach budynków takich umieszczone bywają wprawdzie wysokie drabiny żelazne, umożliwiające wydostanie się z ognia, mało jest jednak ludzi, którzyby wśród niebezpieczeństwa zachowali tyle zimnej krwi, ażeby móżdź zleźć po takiej drabinie z znacznej wysokości. Pewien architekt amerykański obmyślił żelazną wieżę ratunkową dowolnej formy, która oddać może wielkie usługi w razie pożaru, zwłaszcza w szkołach, fabrykach



teatrach i podobnych budynkach publicznych. Do wieży tej, jak wskazuje rysunek, dostać się można z każdego piętra; wewnątrz wieży biegnie od góry do dołu rodzaj szerokiej rynny, formy spiralnej z gładkiego metalu. W razie pożaru mieszkancie, nie mogąc zejść na dół po schodach, wchodzą do wieży, siadają w rynnę i staczą się na dół. W ten sposób mogą w krótkim czasie setki ludzi wydostać się bez żadnego niebezpieczeństwa z płonącego gmachu. Wieżę podobną wzniesiono przy budynku szkolnym w Louisville; pod-

czas doświadczeń znajdowało się na wyższych piętrach 135 dzieci; w ciągu minuty wszystkie znalazły się bez szwanku na dole.

— **Bójka powszechna.** Nie mamy tu na myśli jakiejś wielkiej, powszechnej wojny europejskiej, lecz niezbędną w każdym gospodarstwie maszynę nowego wynalazku, umożliwiającą w krótkim czasie ubicie masła, kremu, przyrządzenie lodów i t. p. Użycie jej jest bardzo proste: należy tylko pociągać szybko naprzemian to jedną, to drugą drewnianą gałkę (jedna z nich widoczna jest na rysunku, wisi na sznurku po lewej stronie), ażeby maszynę wprowadzić w ruch.



— **Telegrafja polowa.** W poprzednim numerze podaliśmy wiadomość o współczesnych sposobach pośpiesznego prowadzenia linii telegraficznej. Obecnie ilustrujemy to rysunkiem (str. 565), który daje pojęcie o szybkości takiej roboty i czynnościach każdego z kawalerzystów.

— **Oddychanie nosem.** Oddychanie nosem jest, jak stwierdziło doświadczenie lekarskie, bardzo ważnym, zbyt mało jednak cenionym czynnikiem zdrowia. Dr. H. Mendel, w wydanej świeżo pracy, p. t. „Patologja oddychania nosem“, stwierdza całym szeregiem doświadczeń, że mnóstwo cierpień źródło swe ma w chorobach przewodu nosowego, które dopływ powietrza tą drogą bądź utrudniają, bądź zupełnie uniemożliwiają.

Ażeby się o prawdziwie twierdzenia tego przekonać, dość spojrzeć na przedstawiony na rysunku anatomiczny przekrój głowy ludzkiej. Widzimy tu, że przewód oddechowy T , który doprowadza powietrze do płuc, tworzy z osią ust prawie kąt prosty, gdy tymczasem leży w równej prawie linii z gardzielą P , do której otwierają się otwory nosowe 1, 2, 3. Te zwinięte na kształt rogu przewody nosowe, pokryte są z wszystkich stron trzema błonami śluzowymi, wzdłuż których przepływa powietrze, zanim dojdzie do gardzieli. Przewód oddechowy zasłonięty jest od góry nakrywką krtaniową E , rodzajem wentylu, zamykającego się mechanicznie



Telegrafja polowa.

w chwili, gdy przelkamy pokarm, dla którego służy sąsiedni przewód pokarmowy *N*. „Zadławienie się“ następuje wówczas, gdy pokrywa krtaniowa nie dość szybko przyjmuje położenie, jak je wskazuje *E*¹, ażeby zamknąć przewód, przeznaczony jedynie dla powietrza.

Ażeby sobie zdać sprawę z doniosłości prawidłowego oddychania, wiedzieć potrzeba, ile powietrza spożywa organizm ludzki. Jeden oddech doprowadza do płuc człowieka średniej wielkości $\frac{1}{2}$ litra powietrza, a że oddycha 16 razy na minutę, ogółem więc spożywa w ciągu 24 godzin około 11,520 litrów powietrza. Wiemy dalej, że organizm nasz zużytkowuje 5,5 proc. tlenu z spo-



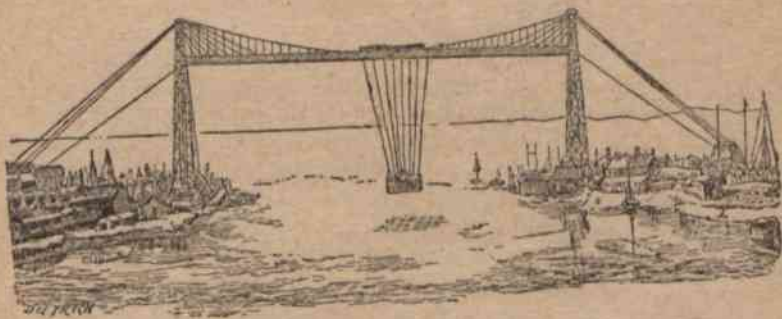
żytego powietrza; ogólne więc spożycie tlenu wynosi na dzień 633 litrów, i ilość ta uważana być musi za niezbędną. Jasną wobec tego jest rzeczą, że gdy z jakiegokolwiek powodu wdychamy za każdym oddechem, zamiast normalnych 500 cm. sześciennych powietrza, tylko 400, ubytek ten (wynoszący w ciągu doby około 130 litrów), wystarcza, ażeby krew, która dlatego właśnie odprowadzana bywa do płuc, ażeby się przez zetknięcie z tlenem na nowo ożywić, nie może w tych warunkach wyjść na swoim.

Rzut oka na przekrój uczy nas dalej, że przewód nosowy w ten sposób jest zbudowany, że może w tym samym czasie i przy

równem wytężeniu wprowadzić więcej powietrza do płuc, aniżeli to możliwe jest przez usta. Powietrze to nadto, przechodząc przez przewód nosowy, ogrzewa się i skrapla, traci wreszcie znaczną część kurzu, którem jest przepełnione. Przekonać się o tem można, jeżeli po długiej podróży koleją, oczyścimy jamę nosową chustką.

Wszystkie względy powyższe przemawiają za tem, że daleko zdrowiej oddychać nosem, aniżeli ustami. Oddychanie nosem jest najbardziej przyrodzone, nowonarodzone dziecko nie zna innego. Dopiero później uczymy się oddychać ustami, w czasie kataru, gdy przewód nosowy jest mniej lub więcej zatkany. Konieczność chwilowa staje się z biegiem czasu drugą naturą. Z tego też względu cierpienia nosowe, na które niestety zbyt mało zwracamy uwagi, mają bardzo wielkie znaczenie dla zdrowia. Dr. Mendel stwierdza, że wyleczenie ich ma wielki wpływ na cały szereg innych chorób, których przyczyny szukać należy właśnie w nieumiejętności oddychania nosem.

— **Most ruchomy w Rouen.** Budowa mostów przez wielkie rzeki splawne, takie zwłaszcza, które stanowią ważne drogi handlowe, połączona jest z licznymi bardzo trudnościami technicznymi. Mosty takie muszą być bardzo wysokie, ażeby pod nimi mogły swobodnie przepływać wielkie okręty morskie, z wysokimi masztami. Trudnościom tym zaradzono w sposób dość oryginalny w francuz-



kiem mieście Rouen nad Sekwaną: budowy mostu stałego zaniechano; zastępuje go platforma ruchoma, wisząca na linach drucianych, a przesuwana przy pomocy elektryczności z jednego brzegu na drugi. Po obu brzegach, jak wskazuje rysunek stoją żelazne słupy, wysokości 70 m., podtrzymane za pomocą lin drucianych, a połączone ze sobą konstrukcją wiszącą o rozpięciu 160 m. Na konstrukcji tej, rozpiętej 50 m. ponad powierzchnią wody, wisi ruchoma platforma, która przy pomocy elektryczności przesuwana bywa z jednego brzegu na drugi, jak to ma miejsce z zwykłym promem, z tą różni-

cą, że platforma ta nie płynie, lecz unosi się nad wodą. Na platformie tej, długości 13 m. i szerokości 11 m. zajmują miejsce wozy, piesi i t. d. Wsiadają na jednym brzegu i po kilku minutach są już na drugim. Podobne mosty ruchome znajdują się pod Bilbao nad zatoką Biskajską i w Bizercie, północno-afrykańskim wojennym porcie francuzkim w Tunisie.

— **Geranium (geranium pratense), jako środek od ukąszenia żmii oraz inne jego własności lecznicze.** Od ukąszenia żmii proponowano wiele różnych środków. Między innymi profesor Kaufmann zaleca roztwór kwasu chromowego (jedna część na 100 cz. wody); roztwór ten należy zapuszczać bezpośrednio do rany. Znowu profesor Lazerdi przepisuje zastrzykiwania kali hypermanganicy pod skórę.

Ale środki te są bardzo wątpliwe. Sami wymienieni profesorem uważają je za paljatywy, które mają raczej przynieść ulgę cierpiącym, niż leczyć. Przytem trzeba je koniecznie stosować natychmiast po ukąszeniu. O wiele skuteczniejszym okazuje się inny środek, mianowicie świeże liście rośliny *Geranium pratense*.

Liście te roztarte z niewielką ilością wody lub poprostu zżute, mają być wypróbowanym środkiem od ukąszenia przez żmiję ludzi i zwierząt; roztartą tak masę przykładają do ukąszonego miejsca, oblewając i masę i ciało ściekającym z masy sokiem. W razie, jeśli masa wysycha, należy przykładać nową, co zwykle powtórzyć trzeba 2—3 razy, po upływie bardzo szybkiego czasu ból przechodzi i opuchlina znika.

Masa geraniowa działa skutecznie nawet po przejściu kilku godzin od ukąszenia. W wielu miejscach lud oddawna wie o leczniczych własnościach liści geranium i używa ich w różnych wypadkach, w tej liczbie i od ukąszenia przez żmiję i przy ranach innego rodzaju.

W Ameryce bardzo jest rozpowszechnione używanie innego rodzaju geranium, mianowicie *Geranium maculatum*, dla powstrzymania krwotoków; kawałek waty umaczany w esencji z tej rośliny (jedna część na 20 części wody), powstrzymuje krew z nosa.

Używają również tej esencji do płukania gardła w razie ziębienia.

Rady i wskazówki praktyczne.

— **Dzieci** potrzebują więcej snu niż osoby dorosłe, śpią one dłużej w nocy i potrzebują snu po obiedzie. Zdarza się, że dzieci, które po południu spać mają, kładą matki w ubraniach do łóżka. Dzieje się to zwykle z wygody czyli z lenistwa matek, aby dzieci nie rozbierać, a potem znowu nie ubierać. Gdyby to matki wiedziały, jak szkodliwym jest ten zwyczaj dla ich pieszczoł, to z pewnością nie obawiałyby się tego trudu, aby je rozebrane do łóżka położyć. Szczególnie w dni upalne ma rozebranie bardzo wielkie znaczenie. Dziecko, które w ubraniu spało, budzi się często osłabione potami, a zamiast być przez sen pokrzepionem i wesołem, grymasi. Tasiemki i guziki tłoczą na brzuch i piersi, i utrudniają oddechanie i trawienie. Każda matka powinna, jeżeli dziecko po południu ma iść na drzemkę, ściągnąć z dziecka ubranie, a będzie miała ztąd tę pociechę, że dziecko obudzi się z wesołą miną.

— **Srodek przeciwko pleśnieniu chleba.** Na wsi, gdzie wypada piec odrazu znaczną ilość bochenków chleba, napada na nie czasem pleśń przy dłuższem ich przechowywaniu. Dla zapobieżenia temu, należy bochenki po wyjęciu z pieca, włożyć do worka, w którym jeszcze nieco mąki pozostało, tak, aby bochenki wierzchnią stroną skórki stykały się ze sobą. Po napełnieniu, worek się zawiązuje i zawiesza w przewiewnem miejscu. Tym sposobem chleb daje się przechowywać bardzo długo, nie pleśniejąc i nie czerniejąc.

Przed użyciem dobrze jest bochenek chleba potrzymać przez dobę w piwnicy, gdyż wtedy mięknie.

— **Jak ochronić narzędzia rolnicze od rdzewienia.** Po skończeniu robót w polu, części metalowe narzędzi rolniczych, dla ochrony od rdzy, trzeba smarować mieszaniną łożu (4 części na wagę), ze smołą (jedna część). Do smarowania używa się szczotki, lub też szmatki. Smarowidło takie doskonale chroni od rdzy żelazo i stal, może być zatem z korzyścią użyte, jako tani i skuteczny środek do zabezpieczenia od rdzy wszelkiego rodzaju narzędzi rolniczych, ogrodniczych i t. p.

— **Jak usunąć przykry odór z klatek ptaków pokojowych.** W tym celu trzeba dno klatki pokryć warstwą mialko sproszkowanego gipsu i lekko przysypać piaskiem. Gips pochłania nieprzyjemny odór. Aby zaś ptaki nie rozrzucały piasku i nie walały się gipsem, klatka powinna mieć dno podwójne: dolne, wysypane gipsem i piaskiem, i górne podziurkowane, służące za podłogę dla ptaka.

— Jak odróżnić prawdziwą kość słoniową od fałszywej. Istnieje pewien gatunek palmy, zwany Palma tagua (*Phytelephas*), owoce której, wielkość gęsiego jaja, zawierają białą twardą masę. Tej masy używają w wielkich ilościach do fabrykacji drobnych przedmiotów z „kości słoniowej“. Z powierzchowności masa ta, starannie polerowana, do złudzenia naśladuje kość słoniową, i przedmioty z niej wyrobione często bywają sprzedawane za kość słoniową. Lecz łatwo jest odróżnić imitację taką od prawdziwej kości; trzeba tylko na dany przedmiot puścić kroplę skoncentrowanego kwasu siarczanego; jeżeli przedmiot wyrobiony jest z masy roślinnej, miejsce zwilżone kwasem, przybiera kolor jasno-czerwony. X.

Masło zimowe.

Nierzadko spotykamy się z pytaniem, dla czego w zimie trudniej o dobre masło? Otóż nietylko dla tego, że sucha pasza nie może nadać mleku, owego aromatycznego zapachu, jaki daje świeża, ale i dla tego, że przy mniejszej wydajności mleka, dłużej się zbiera śmietana na masło przeznaczona; nie wszędzie bowiem są już centryfugi. Aby więc śmietana nie kwaśniała i nie gorzkała przez dłuższe stanie, bardzo dobrze jest sypać w śmietanę zebraną, w garnek kamienny naturalnie łyżkę stołową soli śniegówki, rachując mniej więcej na 3 garnce śmietany pół funta soli. Maślanka nie może już być użyta do kuchni, ale za to bywa dawana bydłu z wielką korzyścią. Wreszcie, kiedy mleko dłużej stoi w piwnicy dla podstania śmietany, formuje się z wierzchu rodzaj kożucha, który ma smak gorzki. Należy go zawsze tyłem noża, ostrożnie zdjąć przed zbieraniem śmietany, oddając ten kożuch na zaprawkę barszczu dla służby. Jeżeli masło świeże jest niesmaczne, należy je, połupane w kawały, nalać świeżem słodkim mlekiem, w którym niech zostanie 24 godzin, następnie przerabiać w tem samym mleku wyciskając zeń mocno, i lekko posolić, a będzie zdatne do użycia. Doświadczenie uczy, że gdzie jest pasza leśna aromatyczna, a staranie przy wyrobie masła za pomocą centryfugi nieustające, tam masło pod wpływem nawet suszonej paszy jest równie aromatyczne i dobre jak w lecie, czego dowodzi masło wyrabiane w spółce nadświdrzańskiej w okolicach rzeki Świdru.

Chleb.

Najpierwszym warunkiem dobroci chleba jest dobrze oczyszczone ziarno, co dziś przy udoskonalonych przyrządach do oczyszczania zboża jest łatwe do otrzymania, — kąkol, sporysz

i wyka, nie tylko że zatracają dobry smak w chlebie, ale są bardzo zdrowiu szkodliwe. Dalej bardzo ważnym warunkiem powiększenia pożywszych części w chlebie pytlowym, a co zatem idzie naturalnie i dobrego smaku, jest zarabianie mąki mlekiem, co przyczynia się do pulchności wyglądu i dłuższego zachowania w stanie świeżym. Wreszcie zarabianie chleba mlekiem słodkimi powiększa wydajność ciasta czyli chleba, który po upływie 10 dni jest jeszcze możliwym do użycia, szczególnie jeżeli do 10 funtów mąki żytniej dodamy funt kartoslanej, mieszając ją bardzo starannie na sucho z żytnią.

Bliższe szczegóły o wypieku chleba patrz „Jedynie praktyczne przepisy“ (wydanie 17, część IV).

Likier orzechowy.

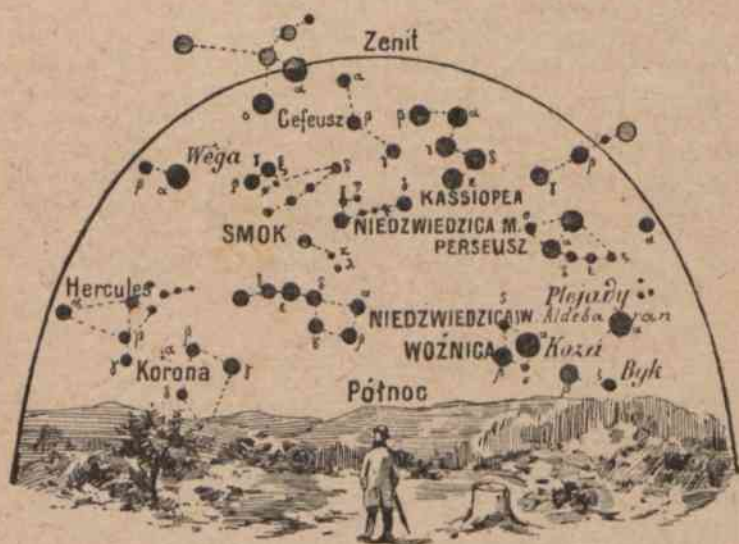
Dwa funty już nie zielonych, ale jeszcze nie dojrzałych orzechów, mniej więcej w połowie sierpnia, przetłuc lub lepiej można pokrajać w kawałki, włożyć w gąsiorek i nalać pół garnca spirytusu, zostawić w cieniu w pokojowej temperaturze na dwa tygodnie, często gąsiorem potrząsając, po tygodniu włożyć w orzechy kawałek duży cynamonu, 10 goździków i 3 przetłuczone na połowę pestki brzoskwińowe. Po dwóch tygodniach zlać spirytus przez woreczek płócienny nie wyciskając, tylko co samo zciecze. Zrobić syropu z 4 co najmniej funtów cukru, nalewając na niego kwartę wody, cukier w małych kawałkach nalany wodą, rozpuścić pierwszej niżeli pójdzie na ogień, w gotujący syrop wlać spirytus zdjąwszy rondel z ognia, wymieszać, pozlewać w butelki, a po roku likier smakuje jak stary tokaj.

Knedle ze słoniną.

Pół kwarty tartej bułki sparzyć dobrą kwaterką ciepłego mleka, gdy postoi i wypęcznieje wbić cztery żółtka, wsypać soli, mieć usmarzone $\frac{1}{4}$ funta młodej słoniny nieco ostudzonej, wlać ją razem ze skwarkami do ciasta, dwa lub najwyżej trzy białka wbić na pianę, wymieszać, sypiąc razem z pianą jedną łyżkę najpiękniejszej mąki pszennej, przesianej, wymieszać doskonale i robić w rękach, maczając je w mące, duże knedle wielkości małego kurzego jaja. Układać na stolnicy podsypanej mąką, a następnie gotować w obszernym rondlu na dużej wodzie, żeby luźno pływały pod pokrywą. Gdy dobrze wypłyną i napęcznieją, wyjmować łyżką durzslakową na półmisek i polać suto młodą słoniną; podają się na trzecią potrawę.

L. Ćwierczakiewicz.

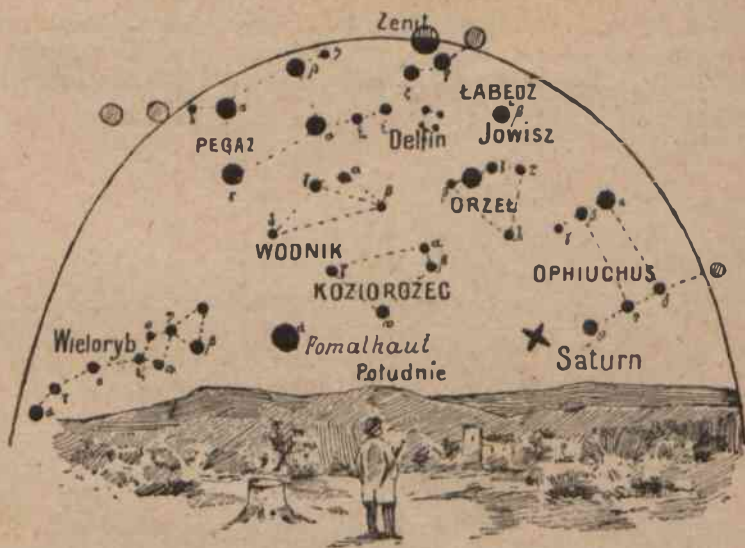
Karta nieba na miesiąc Październik.



Widok nieba od strony północnej.

Zwróciwszy się na północ mamy w zenicie naszym *Łabędzia* z krzyżem, *Małą Niedźwiedzicę* z *Gwiazdą Biegunową*, *Cefeusza* i *Niedźwiedzicę Wielką*. Na wschód widzimy *Kassjopeę*, w kształcie odwróconej bokiem litery M, *Perseusza* z *Kozą*, *Byka* z *Aldebaranem* i *Plejady*. Według legendy mitologicznej, *Kassjopea*, małżonka *Cefeusza*, króla *Etjopji*, chciała rywalizować pięknością z *Ne-*

reidami. Chcąc śmiałość tę ukarać, *Neptun* zesłał na *Etjopję* potwór morski, *Wieloryba*, który pustoszył kraj, aby przebłagać gniew boga. *Kassiopea* poświęciła córkę swą, *Andromedę*, którą kazala przykuć do skały. *Perseusz*, syn *Jowisza* i *Danai*, dosiadłszy konia skrzydlatego, *Pegaza*, zabił potwór, uwolnił *Andromedę* i pojął ją za żonę. Na zachód znajdujemy *Smoka*, *Wagę*, z gwiazdozbioru *Liry*, *Herkulesa* i *Koronę*.



Widok nieba od strony południowej.

W stronie południowej spostrzegamy w zenicie część konstelacji *Łabędzia*, następnie *Delfina*. *Wodnika* i *Koziorożca*; na prawo znajdujemy *Orła* i nisko nad horyzontem *Ophiuchusa*. Na lewo widzimy *Pegaza*, *Wieloryba*, i z konstelacji australskiej *Ryby*, gwiazdę 1-ej wielkości *Fomalhaut*.

Z planet *Wenus* świeci przed wschodem słońca, *Mars* w drugiej połowie nocy, *Jowisz* zaś i *Saturn* w początkach nocy. *Merkury* jest niewidzialny, wskutek zbyt blizkiego sąsiedztwa ze *Słońcem*.

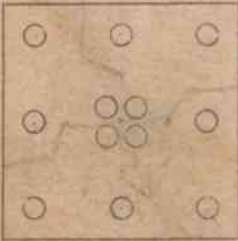
Zadania.

Życie lub śmierć.

Z Szanghaju wypłynął statek, wiozący 30 osób, w połowie Chińczyków, w połowie obcych narodowości. Trafiwszy na rafę, statek zaczął tonąć; wszelkie usiłowania naprawy były daremne. Spuszczono więc łódź ratunkową; takowa okazała się wszakże tak szczupłą, że mogła pomieścić najwyżej 15 osób. Postanowiono zdać się na losy, mianowicie ustawić wszystkich w koło i co dziewiątego wpuścić do łodzi, aż się w niej zbierze 15 osób. Cudzoziemcy stanęli tak, iż los padł na nich tylko.

Jakże się to stało?

Trudny podział.



Ogrodnik, umierając, zapisuje w testamencie czterem spadkobiercom wspólny ogród, z warunkiem, aby nie ścięto ani jednego drzewa. Ażeby zaś nikogo nie pokrzywdzić, każe posiadłość tę podzielić na cztery części równe i symetryczne, mieszczące każda po trzy drzewa; postać ogrodu i miejsce drzew wyobraża dołączony rysunek, gdzie drzewa oznaczono kółkami.

Spadkobiercy dotąd łamią sobie głowę nad tym trudnym podziałem, nie mogą więc wejść w posiadanie ogrodu. Możeby który z czytelników przyszedł im z pomocą?

Rozwiązania

Zadanie Newtona.

Nazwiemy dla skrótienia „przyrostem tygodniowym“ ilość trawy, wyrastającej w ciągu jednego tygodnia na jednym morgu. Zadanie więc przedstawić można tak:

1)	3 krowy w 2 tygodnie	}	zjadły	{	2 morgów	+	4 przyr. tygod.		
2)	2 krowy w 4	"	trawę	2	"	+	8	"	"
	Ile krow w 6	"	z	6	"		36	"	"

Według danej (1):

3) 3 krowy w 4 tyg. zjadły trawę z 4 morgów + 8 przyr. tygodn. Stosunek (3), zestawiony z (2), wykazuje, iż

4) 1 krowa w 4 tyg. zjada trawę z 2 morgów, ztąd

5) 2 " w 4 " " " z 4 " " " " z 4 " "

Stosunek (5), zestawiony z (2), wykazuje, że ilość trawy z 2 morgów równa się 8 przyrostom tygodniowym, czyli że trawa z 1-go morga = 4 przyr. tygodn. Zadanie więc sprowadza się do znalezienia, ile krów trzeba do zjedzenia w 6 tygodni trawy z $6 + \frac{36}{4} = 15$ -ie morgów. Widzimy z (4), że:

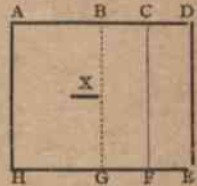
1 krowa w 1 tygodniu zjada trawę z $\frac{1}{4}$ morga, zatem

1 " w 6 " " " z 3 " "

Potrzeba więc będzie $\frac{15}{3} = 5$ krów.

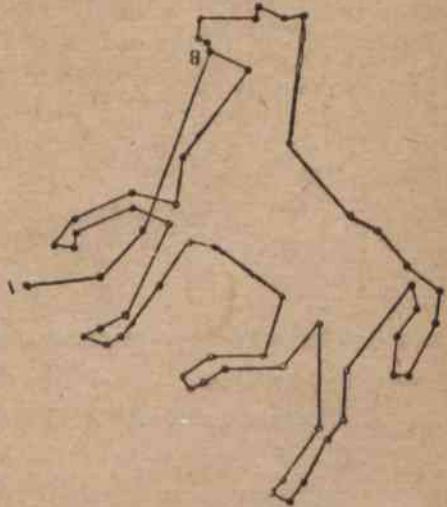
Trudny rysunek.

Wyciąwszy czworokąt, składa go się po linii BG, dotykającej końca kreski X, następnie jeszcze raz po linii CF; linja BG powinna być na zewnątrz, CF wewnątrz fałdy. Robi się piórem kreskę X; doszedłszy do fałdy, przechodzi się bez odjęcia pióra do środka boku DE (który przystaje do fałdy BG), poczem ciągnąc za bok AH, papier się rozkłada, a pióro idzie dalej po obwodzie czworokąta.



W poszukiwaniu rumaka.

Spojrzawszy na rysunek, czytelnik spostrzeże zaraz, że zaginął koń, nie rower, i że jeździec miał przed oczami rysunek swego rumaka, gdy na planie wsi oznaczył przebytą drogę. Widzimy także, że podróżny, aby dopełnić wskazanych warunków, musiał zacząć od A i skończyć na B, lub odwrotnie zacząć od B i skończyć na A. Największą trudność w dokładnym rozwiązaniu zadania, stanowi udeczka.



4 rb. w roku bieżącym, 4 rb.

rocznie w Warszawie.

1900-ym

rocznie na prowincji

„Kurjer Polski”

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Cena „Kurjera Polskiego“ w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1.

Przy „Kurjerze Polskim“ od Nowego Roku wychodzi:

„MIESIĘCZNIK“

ILLUSTROWANY,

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera“.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego“ (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

4 rb.

rocznie na prowincji.

WARSZAWA

Marszałkowska № 141.

4 rb.

rocznie w Warszawie.

Broszurowano w Zakładzie Galanteryjno-Introligatorskim i Broszurowni HENRYKA MEYERA Marszałkowska № 141, m. 27.

Дозволено Цензурою Варшава 14 Сентября 1900 года.

Redaktor i Wydawca **Ludwik Straszewicz.**

Ludomir Gałkowski

w Warszawie, Marszałkowska 138.

*Specjalna Fabryka i Magazyn Bielizny
Damskiej i Męskiej*

przeniesiony na drugą stronę ulicy Marszałkowskiej.

Płótna, Kretony, Perkale krajowe i zagraniczne, Bielizna stołowa, Ręczniki,
Chustki płócienne, batystowe i półbatystowe, Chustki jedwabne na szyje,
Krawaty, Szelki, Spinki, Szpilki do krawatów, Hafty, Koronki, Wyroby try-
kotowe i pończosznicze oraz wszelkie artykuły w zakres bielizny
wchodzące.

Wyszywanie monogramów i znaczenie bielizny.

 **Najlepszy krój koszul męskich.** 

J. Zabokrzecki i S-ka

WARSZAWA

Marszałkowska № 124, (dom Towarzystwa „Rossja“).

Adres telegraficzny: „Warszawa—Zabokrzecki“.

Zamiast miedzianych

WYROBY NIKLOWE

ze znanej największej
walcowni niklu

Fleitmann, Witte & Co.



Naczynia Kuchen'ne i Stołowe

oraz inne w zakres gospodarstwa wchodzące.

Naczynia niklowe nie wymagają pobielania, nie oksydują się nigdy i podług badań chemiczno-hygienicznych uznane zostały za zupełnie pewne pod względem zdrowia, czego nie można powiedzieć o naczyniach miedzianych, które, jak wiadomo, bardzo często stają się powodem zatrucia organizmu.



Tamże:

ŁÓŻKA ŻELAZNE,

Piece, Kuchenki, Wanny, Lodownie, Tace, Wagi,
Naczynia kuchenne

oraz inne przedmioty gospodarstwa domowego
z fabryk krajowych i zagranicznych.

KOMPLETNE WYPRAWY.

Wielki wybór praktycznych podarunków ślubnych i imieninowych
z zakresu gospodarstwa domowego.

Sklep przeniesiony z Senatorskiej na Marszałkowską № 124, do domu T-wa „Rossja.”

